

Hal Clement
Sam Merwin, Jr.

Obrabowana planeta

(Planet for Plunder)

Satellite Science Fiction, February 1957
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the novel "Planet for Plunder" by Hal Clement and Sam Merwin, Jr.
This etext was produced from Satellite Science Fiction, February 1957. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed. It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
<http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB+kolekcja%22&sort=-publicdate>

I

Statek Służby Utrzymania jest dość szybki i ma spore zdolności manewrowe, przynajmniej jak na jednostkę tego typu. Istniało jednak niewielkie prawdopodobieństwo, że poradzi sobie z obecnym zadaniem. Pilot dobrze o tym wiedział. Wiedział o tym, już od chwili kiedy pierwsze migotanie napięcia na detektorach ostrzegło go o obecności kłusownika. Jednak z chłodną determinacją tak charakterystyczną dla jego rasy, dokonał niewielkiej poprawki kursu, która jak miał nadzieję, powinna doprowadzić go do obszaru docelowego, z szybkością operacyjną.

Poprawka musiała być niewielka. Gdyby odchylenie od obecnej trajektorii lotu było za duże, nigdy by nie zdołał wykryć swojego celu, ponieważ przyrządy pokrywały tylko wąski stożek przestrzeni bezpośrednio przed dziobem. W minionych czasach, zbyt wielu pilotów dysponujących pokryciem pełnej sfery, nie mogło oprzeć się pokusie zawrócenia w celu zbadania sygnałów pochodzących z terenów, które statek już minął.

Przy jednej trzeciej prędkości światła, taki całkowity zwrot kursu był stratą zarówno energii jak i czasu. Nie dało się zawrócić w jakimkolwiek rozsądnym czasie, a z pewnością żaden kłusownik, czy inny przestępca, nie miał zamiaru czekać aż taki manewr zostanie zakończony.

Nawet w obecnej sytuacji podstawowe nadzieje pilota wiązały się z możliwością, że drugi statek będzie tak bardzo skupiony na swoich łupieżczych działaniach, iż nie wykryje jego pojawienia się i nie zareaguje na nie na czas. Wykrycie jego przylotu było możliwe jedynie wtedy, jeśli kłusownik, w przeciwieństwie do jego statku, miał więcej niż jednego członka załogi. Niestety, frachtowce ze sporym prawdopodobieństwem mogły mieć ich co najmniej dwóch, nawet przy absolutnie legalnych lotach, a pilot Służby Utrzymania znał przypadki, gdy maszyny kłusowników miały na pokładzie czterech ludzi lub więcej.

Wystarczyło, że będzie ich dwóch, aby niemal z pewnością udaremnić jego próbę, ponieważ maszyny wydobywcze i rozdzielające wymagały do obsługi tylko jednego człowieka, i pełna uwaga ewentualnych pozostałych członków załogi byłaby poświęcona obserwacji otoczenia. Tym niemniej ruszył w kierunku przeciwnika, po drodze analizując sytuację i planując dalsze działania.

Statek kłusownika był wielki – tak ogromny jak żaden z tych, które widział wcześniej. Musiał mieć ładowność netto mniej więcej pół miliarda ton – wystarczająco dużą, aby wyczyścić ze złóż minerałów planetę o całkiem sporych rozmiarach, szczególnie jeśli mógł się również pochwalić posiadaniem odpowiedniej aparatury pozyskującej i oczyszczającej. Nie

było sposobu, aby się upewnić co do tego ostatniego czynnika, ponieważ jak do tej pory nie było wskazań aby tego rodzaju aparatura pobierała energię. Co zresztą, w pewnym sensie było dosyć dziwne, ponieważ kłusownik musiał przebywać tutaj już od pewnego czasu.

Gdyby takie przepływy energii na pokładzie kłusownika miały miejsce, statek Służby Utrzymania wykryłby je już dużo wcześniej, co powodowałoby mniejsze trudności w dokonaniu odpowiednich zmian kursu. Mając do dyspozycji zaledwie pięć lat świetlnych, na obszarze których musiał zawrócić, przyśpieszenie niezbędne do realizacji tego zadania było trochę niepokojące. Nie na tyle aby powodowało u pilota jakiś faktyczny dyskomfort fizyczny. Była to kwestia czysto emocjonalna. Jego uwarunkowany ekonomicznie mózg zaniepokojony był wymaganą do tego stratą energii.

Miał już za sobą cztery lata świetlne, kiedy kłusownik zareagował w beczelny sposób. Przez krótką chwilę atakujący statek Służby mógł mieć nadzieję, że uda mu się wejść w zasięg ognia. Potem jednak stało się oczywiste, że gigantyczny frachtowiec zauważył go już dawno temu i zaplanował swój manewr z perfekcyjną wiedzą na temat jego ograniczeń.

Zaczął przyśpieszać niemalże w jego kierunku, pod kątem który pozwoliłby mu na minięcie go w bezpiecznej odległości. Jeśli statek Służby utrzyma obecny kurs, kłusownik prześlizgnie się obok niego tuż poza maksymalnym zasięgiem ognia – a gdyby jednak spróbował przeciąć mu drogę, prawdopodobnie sporo poza zasięgiem skutecznego strzału. Przez moment agent czuł nawet pokusę. Ale zanim kliknął w swym niewielkim pojeździe choćby jednym przekaźnikiem, przypomniał sobie o tym, o czym kłusownik musiał wcześniej pomyśleć – że planeta, chociaż może już została obrabowana, była jednak najważniejsza.

Musi sprawdzić, czy nie doznała ona jakichś zniszczeń, pomimo tego że, zgodnie z tym co było mu wiadome, była ona niezamieszкана. Już sam fakt, że kłusownik tutaj się zatrzymał, oznaczał jednak, iż musiało na niej być coś wartego zabrania. Należało więc, tak szybko jak to tylko możliwe, podłączyć ją do sieci produkcyjnej, której kompletność i doskonałość, była jedyną barierą między rasą agenta, a powszechnym w całej galaktyce głodem.

Utrzymał więc poprzedni kurs i nadał podczas dalszego lotu ogólne ostrzeżenie. Zawierało ono specyfikację złodzieja, jego kurs podczas ostatniej dokonanej obserwacji, plus informację że zdawał się on lecieć na pusto. Brak ładunku był pocieszającą oznaką. Być może znajdująca się przed nim planeta nie odniosła żadnej poważniejszej szkody. Niestety, mogło to również oznaczać, że grabieżca miał wyższy współczynnik energii do masy, niż jakikolwiek inny frachtowiec który agent kiedykolwiek widział lub o nim słyszał. Chociaż w to akurat, poważnie wątpił. Zakładał, że tamten statek jednak nie miał na pokładzie żadnego ładunku i odpowiednio do tego sformułował swoje ostrzeżenie.

Nastroju nie poprawił mu także incydent, mający miejsce tuż zanim gigantyczny statek wyszedł z zasięgu detektorów. W jego anteny trafiła wiązka, ewidentnie nadana z umykającej metalowej balii, oznajmiając:

— Teraz, możecie sobie tylko pomarzyć, że dostaniecie nas w swoje łapy! — nadszedł jasny i wyraźny przekaz z urzędnika.

I jeszcze raz, przekaźniki w lataczu Służby Utrzymania niemalże zostały zamknięte, lecz agent powstrzymał się, zadawałając się tylko powtórzeniem komunikatu ostrzegawczego, wraz z nowymi danymi które udało się wyciągnąć z kpin kłusownika – danymi dotyczącymi cech charakterystycznych głosu mówiącego. Potem już zupełnie skoncentrował się na problemie leżącej przed nim planety.

Oczywiście, będzie potrzebował więcej energii. Szybkość międzygwiazdną statku, trzeba będzie wytracić, zrównując ją z generalną prędkością gwiazd w tej części galaktyki, ponieważ nie był w stanie dokonać wszystkich niezbędnych badań tylko poprzez wizualną inspekcję planety, podczas błyskawicznego przelotu koło niej. Mógłby, oczywiście, dzięki takiej ekspresowej technice zdobyć całkiem niezły obraz zasobów metali, jakie na niej występowały, ale potrzebował także informacji o ich rozmieszczeniu. Jeśli będzie miał szczęście – i jeśli kłusownikowi rzeczywiście nie udało się załadować wszystkiego na pokład – niemal na pewno znajdzie tu jakieś złoża warte zarejestrowania i zgłoszenia do Służby Utrzymania.

Było dosyć oczywiste, o którą gwiazdę chodziło, ponieważ w promieniu kilku lat świetlnych znajdowała się tylko jedna. Agentowi przemknęła przez głowę myśl o samotności, a nawet przerażeniu, jakie musiało prześladować przeciętnego mieszkańca planety, położonej w tak niewielkiej odległości od niemalże pustej przestrzeni na obrzeżach galaktyki, zredukował więc tempo swojej deceleracji i dostosował je tak, aby zatrzymać się w odległości jakichś dwudziestu czterech średnic od fotosfery słońca.

Kłusownik rozpoczął swoją ucieczkę, na długo wcześniej zanim agentowi udało się dotrzeć na tyle blisko układu, aby wykryć poszczególne planety, i teraz stanął przed problemem określenia którą z planet czy planetoid tamten odwiedził. Było ich z pewnością wystarczająco wiele, aby coś spośród nich wybrać, a w zasadzie był pewien, że teraz podczas podejścia do układu wykrył wszystkie z nich.

Możliwość, że poruszał się kursem przez cały czas idealnie prowadzącym w kierunku jakiejś planety i w wyniku tego nie udało mu się zaobserwować jej widocznego ruchu, była zbyt znikoma aby się nią przejmować, szczególnie dlatego że wyliczył, iż znajdował się w dużej odległości od generalnej płaszczyzny orbitalnej układu. Tak więc, miał wszystkie planety. O którą z nich jednak chodziło?

Ponieważ i tak musiał je wszystkie sprawdzić, w tej chwili nie martwił się za bardzo wyborem. Skoro już poświęcił tyle energii i czasu na zatrzymanie się w tym zabitym dechami układzie planetarnym, byłoby bez sensu nie sprawdzić wszystkiego, co się dało. Przecież, zastanawiał się, nie można kazać komuś innemu przylatywać tutaj jeszcze raz, aby zrobić to, czym on nie zajął się wcześniej. A jednak, pomyślał, dobrze by było szybko dowiedzieć się, co udało się zrobić kłusownikowi, i czy w ogóle zdążył on cokolwiek zmagistrować.

Najbardziej wewnętrzna planeta układu definitywnie nie była ofiarą rabusia. Miała, oczywiście, mnóstwo wolnego żelaza, i agent zauważył z satysfakcją, że metal ten nie był skoncentrowany w jej jądrze. Gdyby kiedyś trzeba było poszukać żelaza tak daleko na zewnętrznych rubieżach galaktyki, wydarcie go z tej małej planetki, byłoby relatywnie łatwe.

Jednakże wszystkie ważniejsze metale zdawały się być rozpuszczone i rozproszone z irytującą jednostajnością po całym niewielkim globie – fakt niezbyt zaskakujący. Planeta była za mała, a jej temperatura zbyt wysoka, aby mogła na niej występować woda czy amoniak w płynnej formie. Zwykle procesy geologiczne, które wytwarzały złoża rudy, tutaj po prostu nie mogły funkcjonować.

Druga planeta stwarzała większe nadzieje – prawdę mówiąc po wstępnym badaniu wyglądała niemal idealnie. Znajdowała się na niej woda, chociaż nie w jakichś olbrzymich ilościach. Tym niemniej w okresie miliardów lat, od czasu utworzenia planety, w jej skorupie miał miejsce określony poziom aktywności hydrotermalnej, i pojawiło się na niej wiele dobrych koncentracji miedzi, srebra i ołowiu. Agent zdecydował, że wylądować tam i naniesie je na mapę, kiedy już zakończy wstępne badanie układu. Jeżeli była to planeta, którą przeczesali kłusownicy, ewidentnie nie zdołali zbyt wiele zdziałać. Wenus mogła być splądrowaną planetą.

Wkrótce jednak stało się jasne, że nią nie była. Wody Ziemi nie były zamknięte w jej litosferze – pokrywały trzy czwarte powierzchni planety. Spłukiwały one góry do mórz, zamarzały na biegunach, a na dużych wysokościach nawet na równiku. Znajdowały sobie drogę w głąb skał i łączyły się z innymi molekułami wody, będącymi w ich wnętrzu od czasu kiedy zestaliła się skorupa. Woda wychwytywała jony przenosiła je nieco dalej i wymieniała z innymi.

Krótko mówiąc, Ziemia miała na tyle dużo wody aby wytworzyć zjawiska geologiczne. Agent dostrzegł to niemalże na pierwszy rzut oka. Poświęcił odrobinę czasu na pobieżny przegląd okrążającego ją suchego satelity, ale potem skierował całą swoją uwagę na samą główną planetę. Zaczął nawet powoli przesuwając statek na zewnątrz orbity jaką zajmował, dwadzieścia milionów mil od Sol.

To, zdecydował, musi być planeta, którą wybrał kłusownik. Nawet bez specjalnej analizy, każdy kto posiadał choćby podstawy wykształcenia geologicznego, powinien wiedzieć, że tutaj muszą znajdować się koncentracje metali – a należy się spodziewać, iż cywilizacja wykorzystująca pół biliona ton miedzi na rok będzie miała co najmniej paru wyszkolonych geologów.

Agent wycelował nos swego niewielkiego krążownika w mały dysk, świecący jasno w odległości osiemdziesięciu milionów mil. Ruszył prosto w jego kierunku, po drodze przeczesując powierzchnię swojego celu wszystkimi sensorami wysokiej rozdzielczości, jakie miał na pokładzie. Ich promieniowanie sondowało całą powierzchnię, sięgając na milę pod nią, a następnie powracało niosąc ze sobą informację. Agent zaklął ponuro, kiedy wskaźniki przekazały mu tragiczną historię.

Kiedyś były tu koncentracje, to prawda. Nawet jeszcze trochę ich pozostało. Lecz coś pieczołowicie wyczyściło większość z nich,

pozostawiając niewiele nadających się do ekonomicznego pozyskania. Była to stara śpiewka. Gdyby dobre złoża były wydobywane w tym samym czasie co słabe, zyski były oczywiście niższe. Ale przynajmniej złoża mogły wtedy przetrwać nieco dłużej.

Upłynęła już cała wieczność od czasów kiedy jakikolwiek legalny operator z rasy agenta, mógł działać w ten sposób, to jest zbierając śmietankę dla osiągnięcia szybkich zysków, a gorsze złoża pozostawiając w spokoju. Takie praktyki niemalże zniszczyły przemysł na rodzinnej planecie agenta, miliony lat wcześniej, zanim nie zostały poważnie ograniczone przez utworzenie Rady Utrzymania.

Zniszczony przemysł, dla rasy znajdującej się na takim etapie rozwoju, jaki osiągnęła jego własna, równoważny był w praktyce wyrokowi śmierci. Nawet jeden na tysiąc spośród jego rodaków, nie mógłby mieć nadziei na uniknięcie śmierci z głodu, gdyby załamał się niezwykle złożony system wymiany handlowej.

Agent wiedział o tym – podobnie jak większość ludzi pracujących w jego zawodzie, widział pograniczne planety, na których chwilowe niedoskonałości systemu zbierały swoje tragiczne żniwo.

Jego furia na widok leżącej przed nim planety, mieszała się – i była przez nie ciągle podniecana – ze wspomnieniami potworności, jakie było mu dane zaobserwować. Najwidoczniej się mylił. Kłusownicy uciekli z olbrzymim ładunkiem – prawdę mówiąc, wcześniej musiało tam pracować całe mnóstwo statków.

Żaden pojedynczy statek, nawet taki potwór, jak ten niedawno widziany, nie byłby w stanie bez pomocy dokonać takich zniszczeń na planecie tych rozmiarów. Służba Utrzymania do tej pory tylko podejrzewała, że stoi wobec pewnego poziomu organizacji pośród kłusowników. Przed jego oczyma leżał obecnie frustrujący dowód, że podejrzenia te miały aż za dobre podstawy.

Zanim jeszcze statek znalazł się w odległości poniżej miliona mil od planety, przez aparat recepcyjny oraz umysł agenta po fali czystej reakcji, zaczęło przebijać się zastanowienie.

Z takiej odległości żadne precyzyjne mapowanie planety nie było możliwe. W pewnym sensie, odwzorowanie powierzchni nie było już konieczne, ponieważ pozostałe złoża minerałów niespecjalnie były już warte wydobywania – ale i tak, jak zwykle, trzeba było sporządzić mapy tektoniczne.

Planeta taka jak ta, znajdowała się w stanie ciągłej zmiany. Za milion, może dziesięć, a nawet sto milionów lat od dzisiaj, naturalne procesy w jej skorupie mogły wytworzyć nowe koncentracje. Te siły trzeba było przeanalizować, tak by można otrzymać odpowiednie prognozy. Jedynie dzięki tego rodzaju badaniom i prognozom Służba Utrzymania mogła wyprzedzić kłusowników przy następnych złożach metali, kiedy się one pojawiają.

Agent ponownie zaczął hamować, obecnie dostosowując prędkość lotu do szybkości poruszania samej planety. Jednocześnie rozpoczął bardziej szczegółową analizę jej powierzchni, uszczegóławiając ją nieustannie, w miarę malejącego dystansu. O wodzie już wiedział. Przypuszczał, że

gazowa otoczka składa się z metanu i pary wodnej, być może z odrobiną amoniaku, i uformowała się w tym samym czasie co reszta planety. Lecz przyrządy przekazały mu zupełnie inne wiadomości.

Ziemia utraciła swoją pierwotną atmosferę. Tragedia ta musiała mieć miejsce zanim jeszcze pierwszy osobnik z rasy agenta wypuścił się poza swój własny układ planetarny. Agent wykrył wolny tlen i ponownie zaklął. Wiedział, co to oznacza – fotosyntezę. Planeta była zainfekowana pewnymi związkami węgla, które zachowywały się niemalże jak żywe, jedynie może poza ich szaleńczo szybkim współczynnikiem reakcji.

Oczywiście, nie przedstawiały one prawdziwego niebezpieczeństwa, lecz należało zająć się tym problemem z odpowiednią troską i zachować czujność. Występowały one na całkiem sporej liczbie planet, o zakresach temperatur pozwalających na utrzymywanie się na nich od płynnego amoniaku – do płynnej wody, i już dawno temu wypracowano techniki prowadzenia analiz, a nawet operacji górniczych w ich obecności, pomimo tego, że często związki te miały destrukcyjny charakter dla parku maszynowego.

Statek Służby Utrzymania, naturalnie, zbudowany był ze stopów w rozsądnym zakresie odpornych na jakiekolwiek ataki wolnego tlenu, czy też zwykły wpływ związków węgla. W każdym bądź razie, nawet gdyby tę planetę cechował jakiś wyjątkowo wysoki poziom tych ostatnich, agent zawsze mógł wznieść swój statek ponad atmosferę. Taki manewr zdawał się być na ogół skuteczny w powstrzymywaniu rozrostu fotosyntetycznego życia.

Agentowi nie przyszło do głowy, że celowe może być ukrycie się. Przede wszystkim, był przecież na absolutnie legalnej misji. Po drugie i równie istotne, nie spodziewał się, że na planecie może przebywać ktokolwiek, kto zauważy jego przybycie.

Na podstawie obecności tlenu, z powodu natury tego gazu, automatycznie zaklasyfikował planetę, jako niezamieszkałą i nienadającą się do zamieszkania. W efekcie, wydarzenia mające miejsce w kolejnej połowie sekundy po jego maszynowej penetracji ziemskiej strefy ozonowej, spowodowały konieczność raczej drastycznej rewizji oceny sytuacji.

Pojawiły się wiązki promieni radarowych, które w pierwszej chwili zmusiły go do przyjęcia założenia, że na planecie znajdował się jakiś inny statek, który próbował nawiązać z nim łączność. Niemalże zaczął już odpowiadać, kiedy zorientował się, że promieniowanie to nie było modulowane, i trudno byłoby uznać je za mowę – albo może, dokładniej mówiąc, jego modulacja była zbyt prosta i regularna, aby mogła reprezentować słowa. Nawet jeśli takie promieniowanie nie musiało od razu oznaczać istnienia inteligencji, to jednak w oczywisty sposób implikowało obecność istot żywych.

Jakimś cudem, w tej tlenowej atmosferze, musiał wyewoluować organizm o zdolności do redukcji tlenków metali lub siarczanów i utrzymywania ich zredukowanych w postaci wolnego metalu. Na razie wydawało się, że jest to życie na stosunkowo niskim poziomie. Lecz jeśli nadal będzie się rozwijało, tak jak było to w przypadku gatunku agenta, z

czasem ten zakątek galaktyki może stać się dosyć interesującym miejscem. W analogicznych okolicznościach, człowiek mógłby wyciągnąć dosyć podobne wnioski słysząc na przykład cykanie świerszczy.

Początkowo agent również przypuszczał, że promieniowanie radarowe mogło nieść ze sobą mniej więcej taką samą treść jak cykanie świerszczy – napływało i odpływało regularnie oraz monotonnie, z wydawałoby się stałego źródła, i wyglądało na to, że proces ten będzie tak trwał przez wieki, dopóki nie ostygnie słońce. Jednak po kilku milisekundach od chwili gdy pierwsze pulsy uderzyły w jego receptory, zaczęły nadpływać inne. Dzieliły one prostotę wzorca okazywanego przez te pierwsze, ale było ich więcej.

W miarę poruszania się statku i zmiany odległości od ich źródeł, jasne stało się, że fale skupiane były raczej w wiązkach niż wysyłane we wszystkich kierunkach – oraz że wiązki te podążały za statkiem. Inteligentne czy nie, coś na planecie było co najmniej świadome jego obecności.

W trakcie następnych paru milisekund, przez umysł agenta przebiegły dziesiątki hipotez, ponieważ myśli mogą poruszać się błyskawicznie, kiedy wykorzystywane przez nie neurony zbudowane są z metalu, a niesione impulsy tworzą prądy elektryczne, a nie napięcia potencjału pomiędzy powierzchniami koloidowej membrany. Żadna z tych teorii nie zdołała go jednak usatysfakcjonować.

Nawet on w tej chwili nie mógł jednak już dłużej teoretyzować – ponieważ kadłub jego statku zaczął świecić jaskrawą czerwienią, a powierzchnia planety zmierzała mu na spotkanie, z dosyć dużą prędkością. Musiał wylądować w ciągu paru następnych sekund, zakładając że nie chce kontynuować swego teoretyzowania wisząc bez ruchu w atmosferze.

Zewnętrzna powierzchnia jego kadłuba była trochę trudna do kontrolowania, przy jej obecnej temperaturze. Żaden jednak z miriadów znajdujących się w jej wnętrzu przekaźników nie został uszkodzony przez temperaturę i srebrzysty metal posłuchał jego myśli tak jak zawsze, zwalniając i zatrzymując się nieruchomo parę jardów ponad ziemią, a następnie osiadając na powierzchni, podczas gdy agent analizował znajdujący się pod nim materiał.

Miał zwykłe szczęście, że pod statkiem nie było żadnej roślinności – a przynajmniej było to szczęście dla miejscowych strażaków. Gorące burty zaczęły odpowiadać na sygnały kontrolne, aczkolwiek odrobinę ospale. Cząsteczki piachu i gliny wchodzące w kontakt z kadłubem, zaczęły tańczyć, jak drobinki trocin na wibrującej płycie. I tak jak w przypadku trocin, taniec ten ułożył je w pewien określony wzorec.

Ten wzorec przyjął postać pustki pod samym kadłubem, podczas gdy nadmiar ziemi utworzył ogromne stosy wokół niego, ze wszystkich stron. Statek spoczął łagodnie na dnie uformowanego w ten sposób krateru, który pogłębiał się, w miarę jak statek nadal się zapadał. Osiadanie statku i pogłębianie się dziury, miało miejsce przez mniej więcej dwadzieścia stóp, zanim w końcu kadłub nie dotknął litej skały.

Kiedy to nastąpiło, poruszyły się kolejne przekaźniki, a skała rozpadła się na drobny pył. Ta faza trwała tylko przez kolejną stopę, i statek ułożył

się na idealnie dopasowanym kamiennym leżu, zaś odepchnięta ziemia przesuwała się z powrotem wokół niego, przykrywając jego ciągle rozgrzaną do czerwoności skorupę. Piasek ułożył się sam w niski pagórek, który niemal, ale nie do końca, pokrywał statek. Gdyby agent zadbał o lepsze maskowanie, mógłby wkopać się nieco głębiej – ale on chciał tylko uzyskać dobry kontakt ze skałą macierzystą. Miał do wykonania całe mnóstwo pomiarów i kwestia miejscowego życia, musiała poczekać dopóki ich nie zakończy.

II

Sygnał międzygwiazdowego gościa pochwyciła jedna z tych nowych, triangulacyjnych, pływających instalacji radarowych, jakieś dwieście mil na północny wschód od Virginia Capes. Ponieważ statek znajdował się ciągle głęboko w jonosferze, zdecydowanie za wysoko nawet dla najnowszych modeli samolotów, meldunek brzmiał: „...Niezidentyfikowany Obiekt Latający (UFO), wysokość (niepewn.) 50 ml. plus, szybkość (niepewn.) 3 600 m/h, kierunek północny zachód ku zachodowi...”.

Zawsze czujna i nadwrażliwa sieć, utworzona w celu ochrony życia i mienia kontynentu, zareagowała natychmiastowym alarmem. W sali centrali łączności w ogromnym gmachu nieopodal Waszyngtonu, zatroskani eksperci i oficjele zebrali się wokół tablic z wykreślanym położeniem celów albo stali w pełnym napięcia milczeniu przed gigantyczną mapą, na której wszystkie meldunki nanoszone były automatycznie w postaci ruchomych wiązek światła. Sytuacja międzynarodowa nie była aż tak napięta, aby prawdopodobna była natychmiastowa akcja nieprzyjaciela. Lecz w okresie Zimnej Wojny nie można było zignorować nawet cienia podejrzenia, ani złagodzić stanu natychmiastowej gotowości do działania.

— To przeklęte coś, cokolwiek by to nie było, kieruje się prosto na Chicago — warknął siwowłosa generał brygady, którego twarz znaczyły blizny i zmarszczki setek godzin spędzonych na walce w powietrzu.

— Schodzi też coraz niżej — dodał cywilny ekspert, marszcząc brwi na najnowsze meldunki, nadchodzące z coraz większą szybkością, w miarę jak dziwny obiekt powietrzny przemykał nad gęsto zaludnionymi regionami kraju. — Nad Akron wysokość wynosiła już tylko trzydzieści mil. I z każdą chwilą traci prędkość.

— To właśnie mnie martwi — odparł nieszczęśliwym tonem generał brygady. — Gdyby to był meteor, nabierałby prędkości. Płonałby jak kometa, nawet w pełnym świetle dnia.

— Nikt jak dotąd nie zbudował systemu sterowania pociskami dalekiego zasięgu, który by wyhamował nieprzyjacielską rakietę nad celem — zauważył trzeci członek wysoko postawionej grupy, który miał na sobie jasny szaro-niebieski letni mundur oficera marynarki. Powiedział to spokojnie, niemal nieśmiało, ale na jego piersi ponad zestawem różnokolorowych baretek i wstążek medalowych, widać było srebrne skrzydełka wysokiego rangą pilota.

— Nie podoba mi się to — stwierdził brygadier, wciskając dłonie głęboko w kieszenie spodni. — Tylko dlatego, że my nie mamy takiego systemu sterowania pociskami dalekiego zasięgu, wcale nie oznacza, że

oni czegoś podobnego nie wynaleźli. Wszyscy ci naukowcy, których przekabacili – i te tęgie głowy, które przechwycili kiedy weszli do Niemiec w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym... — Pozwolił, by jego głos zawisł w powietrzu.

— Wiadomo przecież, że meteorom zdarza się zachowywać bardzo dziwnie — zauważył oficer lotnictwa marynarki.

W tym momencie Stacja Wielkich Jezior przekazała meldunek, że UFO ciągle zwalnia, ciągle schodzi niżej, ale zmierza w stronę punktu położonego znacznie na zachód od Chicago. Rozległo się powszechne westchnienie ulgi.

Ale brygadier ciągle był niespokojny.

— Musimy postawić w stan alarmu każdą grupę przechwytyjącą na Północnym Zachodzie — powiedział cicho. — Przy tempie w jakim to tajemnicze coś obniża lot, teraz możemy być w stanie w każdej chwili je namierzyć – i zestrzelić.

To cywil wypowiedział na głos myśl, którą każdy z nich miał w głowie – myśl, której nikt z pozostałych nie ośmielił się ubrać w słowa.

— Najlepiej, cholera, byłoby, gdyby to coś okazało się latającym talerzem. Po prostu sobie odleci i zniknie gdzieś w sienie dali.

Nikt mu nie odpowiedział, chociaż wszyscy wymienili długie spojrzenia. Potem wrócili do sprawdzania meldunków, do planowania przechwycenia, które zdawało się być coraz bardziej możliwe, z każdą mijającą minutą. Tor obiektu zdawał się skręcać na bardziej bezpośrednio zachodni, jego prędkość nadal się zmniejszała, a wysokość spadała. Dowództwa grup myśliwców przechwytyjących w obszarze toru jego lotu zostały postawione w stan gotowości do startu. Niestety, kiedy obiekt znalazł się w zasięgu działania Nike, było to w tej części kontynentu w której nie było zainstalowanych żadnych systemów rakiet przechwytyjących.

Potem odebrane zostało połączenie telefoniczne z odległości 2 000 mil – od generała dowodzącego Dowództwem Bombowców Międzykontynentalnych. W związku z rutynowymi zadaniami realizacji stałych misji testowych, eskadra B-52, na wysokości znacznie przekraczającej możliwości cywilnej kontroli lotów, wykonała tej nocy symulowany lot bombowy z Teksasu do kompleksu górniczego wydobywania uranu, daleko w Północnozachodniej Kanadzie, w pobliżu Wielkiego Jeziora Niewolniczego. Obecnie samoloty znajdowały się w drodze powrotnej do Teksasu.

Jak powiedział generał dowodzący, osobliwie rzeczowym głosem, pomimo swego nosowego akcentu ze Środkowego Zachodu:

— Trzech moich obserwatorów właśnie spostrzegło wasze UFO, lecące kursem o kilka stopni na północ od zachodniego. Było dwie mile nad nimi, i poruszało się z prędkością ponad tysiąc pięćset. Było okrągłe i rozgrzane do czerwoności.

— Czy okrągłe jak talerz, panie generale? — spytał brygadier, załamującym się głosem.

— Nie... było okrągłe jak kula armatnia. I gorętsze niż bomba H – brzmiała odpowiedź.

Kiedy się rozłączył, na linii odezwało się Minneapolis. Obiekt bezpiecznie przeleciał, ciągle opada, ciągle traci prędkość... Bismarck w Północnej Dakocie, zgłosiło obiekt lecący w kierunku zachodnim. Potem nadszedł meldunek od obserwatora naziemnego w Miles City w Montanie, i kolejny z Billings. W obu przypadkach zaobserwowano okrągły, rozgrzany do czerwoności obiekt, przecinający niebo w kierunku zachodnim.

Potem, już nic...

To był ciężki dzień dla Sieci Radarowej.

Był to również, jak potwierdzały to kolejne wydarzenia, trudny dzień dla Polowej Ekspedycji Siedem, Lato 1957, Katedr Geologii i Klimatologii z Montana University of Mines.

Mierząc ją w kategoriach komponentu ludzkiego, ekspedycja była dosyć skromna i składała się z adiunkta Harolda Parsonsa, jego żony Candace i studenta z Klimatologii, Donalda MacLaurie, znanego regionalnym dziennikarzom sportowym jako Truck.

Na ich sprzęt składał się jeden jeep z dwukołową przyczepką, dwa namioty, które właśnie zostały spakowane na czas całodziennego podróży, zapasy żywności w puszkach i zestaw narzędzi oraz przyrządów, włączając w to licznik Geigera, przemycony przez Trucka MacLaurie i obecnie będący przedmiotem dyskusji między nim i doktorem Parsonsem.

— Posłuchaj, Truck — powiedział Parsons z całą cierpliwością, na jaką był w stanie się zdobyć. — To jest uniwersytecka ekspedycja terenowa, a nie polowanie na uran. Jeśli chcesz dostać zaliczenie, żebyś mógł sobie dalej grać w futbol tej jesieni, to trzymaj to klikające pudło gdzieś z dala ode mnie, a najlepiej nawet o nim nie myśl. Przyjechaliśmy na te wzgórza, żeby badać zmienność powierzchniowych oznak formacji rud miedzi, a przynajmniej ja jestem tutaj w tym właśnie celu. Z twoją pomocą, oczywiście – jeśli „pomoc” jest odpowiednim słowem w tym przypadku. Candace przyjechała tu aby badać formowanie się chmur na wzgórzach, dla oceny długookresowych efektów wpływu opadów atmosferycznych na operacje górnicze w okolicach Butte i Anaconda. Mam nadzieję, że dowiesz się wystarczająco dużo o geologii, żebym mógł ci zaliczyć we wrześniu, nie narażając na szwank mojej zawodowej uczciwości.

— Jeezu, panie doktorze... ja tylko miałem zamiar wypróbować go w swoim wolnym czasie — zaprotestował Truck.

— To właśnie usiłuję ci przez cały czas powiedzieć, Truck. Podczas tej wyprawy nie będzie żadnego wolnego czasu. — Parsons przerwał i dodał jeszcze nieco kwaśnym tonem: — Nie siedzisz teraz w tylnych ławkach w sali wykładowej, smacznie sobie drzemiąc. Jesteś w terenie!

Parsons nie musiał patrzeć na żonę, żeby wiedzieć jak zareagowała na jego tyradę. Oczywiście, Candace nie pozwoliła sobie na okazywanie dezaprobaty w obecności studenta. Ale aż za dobrze znał tę lekką pustkę w zazwyczaj bystrych i pełnych zrozumienia brązowych oczach, oraz niewidoczną aurę chłodu, która ją otoczyła. Były chwile, kiedy wolałby,

żeby nie była aż tak życzliwa i otwarta w swych relacjach z innymi ludźmi. Czyniło to jego własną rezerwę, tylko jeszcze bardziej wyrazistą.

Nie pomagało również i fakt, że chociaż sam osiągał w skarpetkach pełne sześć stóp wzrostu, to żeby spojrzeć w duże i po dziecięcemu uprzejme niebieskie oczy Trucka MacLaurie, musiał patrzeć mocno w górę. Czuł się również skrępowany faktem, że podczas gdy sam dobiegał już trzydziestki, a Truck miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, ten wielki byk wyglądał na jakieś pięć lat starszego od swego przełożonego.

Miał właśnie uciąć dyskusję, i powiedzieć: „No dobrze, ruszajmy już” – kiedy nad ich głowami z głośnym gwizdem przeleciało UFO.

Musiało być nie więcej niż milę ponad nimi i było okrągłe jak gigantyczne jajo fantastycznego ptaka-potwora, rozgrzane do czerwoności niby kamień do gotowania w dole na barbecue jakiegoś giganta. Przeleciało nad nimi niczym stwór rodem z piekieł, zmierzając na zachód, i szybko opadało. Nawet z takiej odległości pozostawiło po sobie wrażenie niesamowitego gorąca.

— Jeezu! — powiedział Truck, odprowadzając wzrokiem obiekt z jawnym niedowierzaniem w oczach. — To cholerstwo zaraz walnie w tamto kretyńskie wzgórze przed nami!

Trójka członków ekspedycji poprzedniej nocy urządziła obozowisko blisko środka suchej pustynnej doliny na wschodnim podgórzu Gór Skalistych, mniej więcej w połowie drogi między dwoma górniczymi osadami Brown i Hamilton. Obozując tam, ciągle znajdowali się w regionie, w którym nawet zanikające resztki widm osiedli górniczych, były rzadkością. Była to trudna, dzika kraina – tak bardzo trudna i dzika jak tylko może być podgórze Gór Skalistych.

Zachodni kraniec doliny był zamknięty przez łańcuch pomniejszych wzgórz, pośród których najwyższe wyrastało z dna doliny nie więcej niż na pięćset metrów. Pędzący na niebie obiekt nieuchronnie kierował się na ten właśnie szczyt. Spoglądając na to z mieszaniną zdumienia i niedowierzania, pozwalającymi opanować grozę, Parsons próbował sobie wmówić, że perspektywa może płać dziwne sztuczki, oraz że obiekt, niezależnie od jego natury, bez wątpienia poruszał się torem, który musi zanieść go jeszcze setki, może nawet tysiące mil, zanim uderzy w najeżony skałami teren.

Wtedy, niespodziewanie, obiekt skręcił na południe, unikając zderzenia tak gładko jakby był wprawnie pilotowany przez jakiegoś szalonego asa pilotażu. Okrążył szczyt dokoła, a nie przeleciał nad nim i zniknął z pola widzenia poza najeżonymi skałami zboczami góry.

Potem, wszystko się skończyło... żadnego uderzenia, wybuchu. Zupełnie nic!

— Hał, słonko — powiedziała Candace Parsons, — czy mógłbyś, na miłość Ozyrysa czy jakiemu tam bogu służyć, przypalić mi papierosa?

Przez kolejne niemal dwie minuty nie padło żadne słowo. Cała trójka stała jak zauroczona, wpatrując się w górskie ściany i czekając na coś, na cokolwiek. Nic się jednak nie działo.

I znów, Candace Parsons przerwała ciszę. Była elegancką, długonogą dziewczyną, o miękkich brązowych włosach wyglądających tak wspaniale,

jakby nigdy nie stosowała żadnych sklepowych ani domowych utrwalaczy. Cechowała ją również wybitna uroda, a przy tym jej postać i wygląd zachowywały przyjemny kobiecy charakter, nawet pomimo podróznego entourage'u i obszernego maskującego kształty obozowego ubrania.

Powiedziała:

— Jako że chyba żaden z was, geniuszy, nie ma żadnego pojęcia co to było, myślę, że powinniśmy to zgłosić przez radio, jak uważacie?

Parsons skinął głową. Przydepnął niedopałek papierosa i wcisnął go w piaszczystą ziemię.

— Może ten nasz cholerny nadajnik zdoła się przebić przez te wzgórza, które wczoraj pokonaliśmy...

Zostawił zdanie zawieszone w powietrzu i z Truckiem MacLaurie podeszli do jeepa.

Obaj razem wyciągnęli radio z przyczepki i ustawili je na otwartej przestrzeni. Po piętnastu minutach stało się jasne, że nie uda im się nawiązać połączenia. Parsons odłączył nadajnik i skinął na Trucka, żeby przestał kręcić generatorem. Potem popatrzył na futbolistę niemalże błagalnym wzrokiem.

— Nie, panie doktorze — oznajmił Truck. — Jeżeli pan myśli, że przetaszczę to pudło z powrotem przez góry, a pan i pani Candace zgarniecie dla siebie całą zabawę... No cóż, odpowiedź brzmi: nie. Niech zaliczenie przepadnie, jeśli musi.

— Ale dlaczego, Truck?! — zawołała Candace, która zrobiła licencjat z literatury angielskiej, na Midwestern University, na rok przedtem zanim kierunek jej zainteresowania przesunął się na Parsonsa i klimatologię. — To takie poetyczne.

Dostrzegła w jaki sposób obaj mężczyźni spojrzeli na nią i pokręciła głową:

— Ja też nie mam zamiaru wracać — oznajmiła stanowczo. — Zawsze chciałam zobaczyć UFO i jeśli myślicie, że przepuszczę taką szansę...

Parsons spojrzał kątem oka na leżące przed nimi wzgórza. Powiedział:

— OK, wy bando buntowników z Bounty. Załatwmy tę sprawę po drodze. Możemy uruchomić nadajnik, kiedy wespniemy się na następne wzgórza. Może wiadomość przebije się do Hamilton, albo Stevensville.

Chwilę później, kiedy zajmowali miejsca w jeepie, zapytał:

— Candace, nie żartowałaś sobie ze mnie, co?

— I kto tu żartuje? — odparła. — To nie wyglądało na latający talerz, ale nie wyglądało również na obiekt zbudowany przez człowieka. A czy ktokolwiek słyszał o meteorze, mającym na tyle zdrowego rozsądku, aby oblecieć dokoła wierzchołek góry?

— Może, mimo wszystko, dobrze że zabrałem ze sobą to tykające pudełko — zauważył Truck, którego ciało wypełniało większą część tylnego siedzenia jeepa. — Nie wiadomo, co ten obiekt będzie z siebie emitował, kiedy go znajdziemy.

— Jeśli w ogóle go znajdziemy! — spokojnie powiedział Parsons zręcznie kierując poobijany mały pojazd dookoła zdradzieckiego skalnego występu, skrytego pod osłoną zarośli.

Obiekt, czymkolwiek by nie był, przemknął ponad doliną w czasie poniżej minuty. Pokonanie tej samej odległości na powierzchni ziemi, zajęło ekspedycji niemalże cały dzień.

Przez cały poranek i wczesne popołudnie, gorące letnie słońce zalewało ich żarem bladego błękitnego nieba, zaczerwieniając jeszcze bardziej już wcześniej bolące oparzenia słoneczne i powodując u Trucka MacLaurie piekącą wysypkę, zmuszającą go do niemal nieustannego drapania się.

Zrobili tylko krótki postój na lunch – pod niskim wzgórzem, które oferowało jedynie bardzo kiepski cień. Nie zatrzymaliby się w ogóle, ale Candace nalegała, aby rozprostować nogi nawet jeśli zupełnie stracili apetyt. Zaserwowała im plastry szynki konserwowej na krakersach i tak gorącą kawę, że Truck zaczął się dopytywać, czy rzeczywiście użyła czajnika, czy też po prostu zostawiła ją przez dwie-trzy minuty na pełnym słońcu.

Kiedy ruszyli w dalszą drogę, stwierdzili, że słońce przesłaniają świeżo zebrane chmury, co spowodowało ogromne westchnienie ulgi potężnego futbolisty:

— Dzięki Bogu! W końcu przynajmniej pogoda poszła nam trochę na rękę.

— Nie podoba mi się to — powiedziała Candace, spoglądając z namysłem na rozciągające się z przodu zachodnie niebo. Jeep podskakiwał na drodze pod górę, w stronę wzgórz, i coś w jej tonie kazało Halowi Parsonsowi zwolnić i ostro na nią popatrzeć.

— O co chodzi, kochanie? — spytał.

— Według tabel meteorologicznych, w tym miejscu średnia opadów deszczu w ciągu całego sierpnia wynosi tylko jeden cal — powiedziała. — Poza tym, nigdy nie było tutaj pojedynczego opadu, większego niż jedna czwarta cala. Te chmury zbierające się przed nami, śmierdzą mi ciężkim deszczem.

— Odezwał się w tobie klimatolog — stwierdził Parsons, koncentrując się na pustynnym skalistym szlaku ciągnącym się przez wznoszące się przed nimi wzgórza.

— Odezwała się dziewczyna, która chętnie by się dowiedziała, co się tu dzieje — odparła Candace.

Na tylnym siedzeniu, Truck MacLaurie drapał się, pocił, nie odzywając się ani słowem.

Powoli, często objeżdżając, Parsons i Truck wprowadzili niewielkiego jeepa i jego przyczepkę na wyżyny górskich bezdroży i skierowali go w stronę przerwy w ciągnących się przed nimi wzgórzach. Było już po piątej, kiedy dotarli do najwyższego punktu przełęczy i zobaczyli dolinę po drugiej stronie wzgórz. Z punktu widzenia wszystkich ich zamiarów i celów, była to dokładna replika doliny, z której z takim trudem właśnie się wydostali.

— Niczego nie widzę — powiedział Truck, błędząc wzrokiem po panoramie krzaków, piasków i zerodowanych skał, która rozciągała się przed nimi.

— Ja też — przyznał Parsons, walcząc z uczuciem rozczarowania, zdając sobie sprawę, że miało ono absurdalny charakter. Nie było powodu aby zakładać, iż latający obiekt będący w stanie okrążyć wierzchołek

wznoszącej się na prawo od nich góry, wybierze potem ten pustynny kawałek ziemi na miejsce swego spoczynku. Mógł przecież równie dobrze ominąć kolejne szczyty, przelecieć nad kolejnymi dolinami, aby w końcu znaleźć jakąś szeroką, zieloną dolinę.

— Popatrzcie na te chmury! — zawołała Candace Parsons, spoglądając nie na rozciągającą się u ich stóp dolinę, ani na zamykający ją po przeciwnej stronie łańcuch wzgórz, lecz na niebo w górze. — Jeżeli szybko nie rozbijemy obozu, to czeka nas niezły prysznic.

— O kurczę! — wykrzyknął Parsons, podążając za wzrokiem żony. — Faktycznie, wygląda to dosyć paskudnie – i chyba wisi prosto nad naszymi głowami. Dalej, Truck.

— Dobrze, że jesteśmy tu na górze, a nie tam w dole — stwierdził młody gladiator o potężnym ciele, ruszając na pomoc swojemu profesorowi, przy ekwipunku obozowym. — Jedyne raz w życiu, kiedy widziałem takie chmury, to było w Colorado, gdzie grałem na lewej obronie, w college’u na pierwszych latach licencjatu. Skończyło się to błyskawiczną powodzią, która zmyła pół kampusu. W następnym roku przenieśliśmy się do Montana Mines.

— Ha! kochanie, zanim weźmiesz się za rozkładanie namiotów, lepiej spróbuj jeszcze raz nawiązać łączność przez radio — zasugerowała Candace Parsons. — Ja się zajmę rozbijaniem obozu, dopóki nie wyślesz wiadomości.

Jeszcze kiedy mówiła, duża kropla wody spadła jej na czoło, a dookoła zabrzmiał powolny stukot rozpoczynającego się deszczu. Zajęła się rozkładaniem namiotów, poruszając się szybko, sprawnie i z zaskakującą siłą, jak na wiotko wyglądającą kobietę. Jej myśli koncentrowały się jednak na pogodzie, która ich dopadła.

Coś takiego po prostu nie powinno się wydarzyć, ale jednak stało się. Wielka, szaro-biała masa chmur kotłowała się w górze, wypełniając całe niebo nad nimi, a padający deszcz stale się nasilał. Doświadczenie podpowiadało jej, że nie jest to wał burzowy, z którego można było się spodziewać co najwyżej krótkiej ulewy. Pomimo twierdzeń Trucka, wyglądało to raczej na preludium do długiego, stałego deszczu. Chmury, chociaż już wisiały nisko, nieubłagane opuszczały się jeszcze bardziej, niemalże zupełnie zasłaniając niebo i pokrywając całunem co wyższe wierzchołki otaczające dolinę.

Ze stanu kompletnego zatopienia w myślach wyrwał ją głos męża:

— Kochanie, podejdź tutaj. Połączyłem się ze Stevensville. Zgodnie z tym co mówią, wszystkie punkty obserwacyjne i każdy posterunek radarowy, pozostawały przez cały dzień w stanie alarmu. A my jesteśmy najbardziej na zachód wysuniętymi obserwatorami, którzy widzieli ten obiekt. Czekają tylko na jakiegoś kolejne potwierdzenie, aby rozpocząć badania terenu z powietrza.

— Jeśli wylądował gdzieś w okolicy — stwierdziła Candace Parsons, z niesmakiem mierząc wzrokiem rozmokłego papierosa — to w najbliższym czasie nie będą raczej w stanie wysłać nad te wzgórza samolotu – ani nawet helikoptera.

III

Wiązki radarowe zniknęły – albo przynajmniej przestały docierać do agenta Służby Utrzymania. Punkt w którym wylądował nie był w „zasięgu działania” żadnej ze stacji w sieci. Nie trzeba było mu jednak mówić, że ich operatorzy nie zapomnieli o nim.

Agent nie domyślał się jednak istnienia żadnych ewentualnych operatorów radarów. Prawdę mówiąc, nie domyśliłby się ich istnienia nawet gdyby radar nie był dla niego abstrakcyjnym tworem wyprodukowanym przez jakąś maszynę. Był zdecydowanie za bardzo zajęty nasłuchiowaniem.

Kiedy przystawi się ucho do ściany, albo do ościeżnicy drzwi w jakimś dużym budynku, usłyszy się niesamowitą liczbę rozmaitych dźwięków. Do ucha dotrą odgłosy zamykanych drzwi, trzaskających okien, cały zestaw skrzypnięć i stuknięć, których źródło często jest trudne, bądź nawet niemożliwe do określenia. Jedynym czego się nie usłyszy, to cisza.

W przypadku skorupy planety dzieje się mniej więcej tak samo, tyle że na znacznie większą skalę. Zawsze jest ona pełna wibracji, rozciągających się od poziomu gigantycznych wstrząsów – kiedy całe mile kwadratowe twardych skał napierają na podobne obszary po drugiej stronie uskoku tektonicznego – do widmowych ech dźwiękowych i leciutkich oscylacji termicznych powstających w miarę jak ciepło słoneczne przesuwają się z jednej strony góry na drugą, zaś skały rozszerzają się i kurczą dostosowując się do nowych temperatur.

Fale te wędrują, rozchodząc się promieniście od swego źródła, są odbijane i zwielokrotniane, w miarę jak wkraczają w regiony skorupy o odmiennej gęstości lub elastyczności, tracą energię w miarę rozchodzenia się, podgrzewając w nieskończenie małym stopniu skałę przez którą przechodzą. Mogą one roztopić się zupełnie w drganiach losowych – cieplnych – gdzieś w głębi trzewi planety. Albo mogą przedostać się na jej drugą stronę, jako solidna, mocna wiązka fal.

Jeśli mówimy o Ziemi, trwa to mniej więcej dwadzieścia minut. Potem znaczna część wiązki odbija się od strefy niskiej gęstości, jaką tworzy dno atmosfery lub wierzchołek litosfery - proszę sobie wybrać co się państwu bardziej podoba - i zaczyna wędrować z powrotem.

A każda zmiana w gęstości, strukturze krystalicznej, elastyczności, czy składzie chemicznym skał, ma jakiś wpływ na sposób rozchodzenia się tych fal. Mogą one przyspieszać albo zwalniać. Odbite fale, albo odbite tylko wybrane składowe fal złożonych, mogą się wytłumiać - próbowaliście kiedyś podbić linę strumieniem wody? - albo dalej przedostaną się tylko fale skompresowane. Fale odbite, spolaryzowane w jednym kierunku

mogą zostać wzmocnione poprzez interferencję; jeśli fale tego samego rodzaju zderzą się z nimi – poruszając się pod tym samym kątem, ale mając inną polaryzację – mogą się od nich odbijać.

Ważnym wnioskiem z tego wszystkiego jest fakt, że na przemieszczające się fale oddziałują rozmaite zmieniające się warunki. A to oznacza, że fale te niosą ze sobą wiele informacji.

Oczywiście, są one mocno zaszumione i chaotycznie posplatane. Wstrząsy dochodzą ze wszystkich kierunków, ze wszystkich możliwych odległości, wywołane są przez wiele różnych przyczyn i przez skały najróżniejszego rodzaju. Interpretacja ich nie polega wyłącznie na bezczynnym siedzeniu i słuchaniu. Niektórzy potrafią nastawić szereg aparatów radiowych na tuzin różnych stacji, z taką samą liczbą odmiennych programów muzycznych, a potem siedząc pośrodku dźwiękowego zamętu z potężnymi grzmotami, określić jak wiele fletów pojawiło się w każdej z orkiestr. Informacja jest dostępna, ale do jej wydobycia potrzebna jest niesamowita selektywność i wyrafinowane możliwości analityczne.

Agent był odpowiednio wyposażony do osiągania tak wysokiej selektywności i prowadzenia takich analiz. Jego czuły sprzęt był w stanie wykryć każdy ruch skały, aż do poziomu oscylacji termicznych jonów, przy częstotliwościach rozciągających się od najwyższych jakie były w stanie utrzymać grupy krzemowe, do najniższych harmonicznym planety rozmiarów Jowisza.

Gdyby jego przyrządy okazały się nieodpowiednie, mógł też nasłuchiwać sam. Ale ponieważ samo nasłuchiwanie wymagałoby projekcji części jego ciała przez kadłub i wejścia w bezpośredni kontakt ze skałą, czynność ta mogłaby wywołać wyniszczające napięcia w jego podobnym do kamiennego ciele i wymagałaby poświęcenia kilku milleniów. Nie planował realizacji tej alternatywy. Po to były maszyny, żeby ich używać. Czemu więc tego nie robić?

Zmysły agenta reagowały z elektroniczną szybkością - prawdę mówiąc, były one elektroniczne z natury, podobnie jak i jego wzorce myślowe. Proces odbierania grup impulsów i rozwiązywania wieloparametrowych równań niezbędnych do wydedukowania wszystkich związanych z nimi faktów, dotyczących ich pochodzenia oraz transmisji, można by po prostu określić jako użycie szybko działającego komputera, chociaż nawet on musiał na to poświęcić trochę czasu.

To zasadniczo, było niezbędne, ponieważ był bardzo uważny. Wstrząsy pochodzące z bliskiej odległości, do czasu zanim dotarły do niego, naturalnie, były w stanie zgromadzić w swych falach mniejszą liczbę niewiadomych. Dlatego więc, stanowiły one prostszy problem. Zaś po rozwiązaniu, problem taki dostarczał wartości, pasujących bezpośrednio do równań dla bardziej odległych źródeł fal, ponieważ ich przebiegi musiały przechodzić przez te same skały leżące w pobliżu niego.

Tak więc jego obraz otaczającej go litosfery rozrastał się stopniowo, w koncentrycznych sferach. Dostrzegał warstwy różnego rodzaju skał i, co znacznie ważniejsze, napięcia pojawiające się w każdej z tych warstw - napięcia, które czasami opadały do zera, rozpraszając się w niekończących

się drobnymi ruchami skorupy planety, zaś czasami narastały do granic wytrzymałości skał i nawet ogromna waga pokrywającego je materiału już nie mogła się im oprzeć i czasami się poddawała.

Wyczuwał zmiany, gdy uwieczona energia podnosiła temperaturę w przestrzeni w której była zamknięta, do poziomu na którym skała nie mogła być już nazwana ciałem stałym, nawet jeśli ciśnienie utrzymywało ją w stanie dalekim od określenia ją cieczą. Widział jak uformowane w ten sposób kieszenie magmowe migrowały w górę, w dół, w poprzek skorupy, jak monstrualne meduzy w niewiarygodnie lepkiem morzu.

Dostrzegał pewne punkty na planecie, w których dotarły one tak blisko powierzchni, że waga przykrywających je skał nie była w stanie dłużej już się oprzeć ciśnieniu rozpuszczonych w nich gazów. Wybuchowe erupcje wulkaniczne, stanowiły całkiem niezły widok, nawet obserwowane spod ziemi.

Jego zmysły, za pośrednictwem przyrządów statku, sondowały w głąb, aż do jądra planety, gdzie kieszenie magmowe występowały znacznie częściej. W takich kieszeniach spoczywały, utrzymywane w stanie rozpuszczonym – miedź, srebro, molibden i inne metale jakich potrzebowali jego rodacy. Pewnego dnia ruchy kieszeni mogły wynieść je w górne warstwy skorupy, gdzie stałyby się one dostępne. Były one porzucane po całej litosferze planety.

To były sprawy, które go interesowały. Musiał poznać siły działające tam w dole – nie na poziomie ogólnym, jak na przykład klimatolodzy wiedzą, że Arizona jest sucha, ale na tyle szczegółowym aby był w stanie przewidzieć kiedy i gdzie metale te dotrą do górnych warstw skorupy i uformują pokłady rudy. Najszybsze komputery elektroniczne do tej pory zbudowane przez ludzkość musiałyby pracować nad tymi problemami przez bardzo długi czas, nawet gdyby miały niezbędne dane. Agent z pewnością nie był od nich szybszy, ale był mniej zawodny.

Wiedział, że musi utrzymać tak wysoką jakość, dlatego poświęcał bardzo wiele czasu na wielokrotne sprawdzanie każdego kroku wykonywanych prac. Zadanie zabierało całą jego uwagę i chwilowo niemal zupełnie ignorował impulsy pochodzące z pobliża powierzchni – a jeszcze bardziej całe mnóstwo drobnych sygnałów które wywodziły się sponad niej.

Aby przyciągnąć uwagę pracownika Służby Utrzymania, potrzeba czegoś znacznie bardziej interesującego niż ludzkie reakcje. Oczywiście, już dawno temu, potwierdził swoje oryginalne spostrzeżenie, że złoża surowców na planecie, zostały zrabowane. Obecnie jego główne zadanie polegało na określeniu w jak długim czasie normalne procesy diastroficzne i inne zjawiska geologiczne będą je w stanie zastąpić.

Zgodnie z ogólną wiedzą, na planecie o rozmiarach i budowie Ziemi, takie zastępowanie powinno trwać dziesiątki milionów lat. Kieszenie magmowe musiały pokonać drogę z bogatych w metale głębin do zewnętrznych warstw skorupy. Ponadto musiały wejść w kontakt z

materiałami, które mogłyby się w nich rozpuścić, albo osadzić, jak w przypadku pewnych metali, których poszukiwał.

Procesy geologiczne, które koncentrowały związki metali w złoża rud, zależały w znacznym stopniu od istnienia wody lub amoniaku w stanie ciekłym, mogły więc występować jedynie blisko powierzchni planety. Oczywiście, kieszeń magmowa, powstała pięćset mil pod powierzchnią, mogła w ogóle nie powędrować do góry. Mogła przemieszczać się w dowolnym kierunku w jakim miała ochotę, albo w ogóle nie ruszać się z miejsca.

Gęstość, skład chemiczny i temperatura topnienia otaczającego ją materiału, zdolność kieszeni do utrzymania wewnątrz pierwiastków radioaktywnych, które mogły być odpowiedzialne za jej powstanie, wszystkie te elementy stanowiły podstawowe czynniki w kwestii jej dalszego zachowania. Równie ważne było pytanie, czy krystaliczna otoczka kieszeni będzie w stanie absorbować lub uwalniać energię, w miarę jak przekształcała ją narastająca temperatura - jak również kwestia występowania w pobliżu jednej lub większej liczby ogromnych kieszeni żelaznych, które w przypadku gdyby były położone od strony jądra, odbierałyby część energii. Wszystko to oddziaływało na sposób przemieszczania się kieszeni, jak również na samo jej istnienie.

Stosunkowo łatwo można było przewidzieć, na czysto statystycznej podstawie, liczbę pokładów rud, jakie miałyby się utworzyć w danym okresie, np. dziesięciu milionów lat. Ale agent potrzebował znacznie dokładniejszych informacji na ten temat. Kiedy frachtowiec wysyłany jest do zabrania metalu z jednego określonego miejsca i przewiezienia go w inne, jego harmonogram z pewnością ucierpi, jeśli statek będzie musiał czekać na swój ładunek, choćby i milion lat. Zburzone harmonogramy lotów nie stanowią tylko drobnych niedogodności. W cywilizacji rozprzestrzenionej na całe jądro galaktyki, w której żadna z planet składowych nie jest samowystarczalna, skutki takich opóźnień w transporcie mogą być katastrofalne.

Tak więc agent mierzył wszystko bardzo uważnie i w trakcie tego procesu zaczęła mu się pokazywać pewna dziwna rzecz. Impulsy, które nie do końca pasowały do tego uporządkowanego wzorca, jaki wydedukował podczas swego przybycia - impulsy o naturze, którą uznał początkowo za trudną do przyjęcia.

Potem pomyślał, że przecież kłusownicy byli tutaj już od pewnego czasu przed jego wylądowaniem, i wyjaśnienie stało się dla niego jasne. Impulsy te miały podobny charakter, jakie wysyłać musiał kadłub jego własnego statku, kiedy wykopywał sobie miejsce obecnego schronienia. Była tylko jedyna logiczna rzecz, jaką kłusownicy mogli tutaj pozostawić. Zostały po nich pewne dowody prowadzonych przez nich prac wydobywczych.

Wykazali przy tym, stwierdził, dosyć niezwykle zdolności przewidywania, jak na swój gatunek, połączone z bezwzględnością, skłaniającą agenta do zastanowienia, czy w ogóle wykryli wiązki radarowe, które towarzyszyły jego przybyciu. To co zrobili kłusownicy, tego po prostu nie wolno było uczynić zamieszkałej planecie.

Te niepokojące sygnały pochodziły od wykrytych przez agenta robotów drażących, stopniowo torujących sobie drogę do serca planety. Każdy z nich, w miarę jak agent cierpliwie obliczał ich pozycję, kurs i prędkość, okazywało się że zmierza do miejsca, w którym uwolnienie stosunkowo niedługiego impulsu energii, przemieści precyzyjną równowagę sił w określonym kierunku. Kierunek ten był dosyć oczywisty. Kłusownicy spodziewali się wrócić po następny ładunek i stymulowali siły diastroficzne we wnętrzu Ziemi, aby im go dostarczyły.

Była to technika często używana przez uprawnionych producentów metali, ale wyłącznie na niezamieszkałych planetach. Ruchy górotwórcze, nawet stymulowane w podobny sposób, wymagały wprowadzić jakieś pół miliona lat, aby wynieść fragment terenu o parę tysięcy stóp. To jednak, ciągle nie dawało dostatecznie dużej ilości czasu na ucieczkę istotom, które bez pomocy urządzeń mechanicznych mogły potrzebować mniej więcej takiego samego okresu czasu na pokonanie kilkuset stóp.

Z punktu widzenia agenta obecność takich ładunków głębinowych, oznaczała że Ziemia miała w stosunkowo krótkim czasie stać się kipiącą, drżącą powierzchnią zmiażdżonych skał, stopionej lawy i pływających tratw z materiału krzemowego, zbijających się, łamiących i kotłujących na przeraźliwie wzburzonym morzu rozdzieranej energią cieczy.

Taki bezlitosny skutek mógł okazać się nieunikniony, ponieważ on nie mógł być tutaj przez cały czas. Ale... co wytworzyło te wiązki radarowe?

Wzburzyło go to, że jakakolwiek posiadająca życie planeta, mogła być potraktowana w taki sposób. Fakt, czy życie to było w chwili obecnej inteligentne, czy nie, był nieistotny. Wystarczyło kilka pokoleń, aby przekształcić gatunek żywych stworzeń z czegoś równie pozbawionego inteligencji jak sama planeta, która go zrodziła, w istoty będące w stanie zrozumieć w najdrobniejszych szczegółach mechanizm działania gwiazdy, z całym zróżnicowaniem jego natury, istotnym dla tego zagadnienia. Jeśli te wiązki pochodziły od żywych organizmów, coś trzeba było zrobić z tymi robotami-kretami.

Agent po prostu nie miał odpowiedniego wyposażenia, żeby załatwić tę sprawę. Mógł walczyć swoim małym statkiem. Mógł badać i analizować. Mógłby nawiązać łączność z drugim krańcem galaktyki, gdyby jakiegoś rodzaju zjonizowane warstwy w atmosferze planety w tym mu nie przeszkadzały.

Niestety, nie miał na statku własnych robotów-kretów, ani żadnej broni, która byłaby w stanie penetrować skały czy nawet atmosferę, z jakiejś większej odległości. Nie wytrzymałby także temperatur panujących w głębinach do których dotarły już niektóre z robotów drażących kłusownika. Tak więc, nie mógł również ruszyć statkiem za robotami, nawet gdyby był w stanie przekopywać się przez ziemię równie szybko jak one. Stał przed naprawdę trudnym problemem.

Wezwanie pomocy było co prawda możliwe, ale niemalże na pewno pozbawione sensu. Jego rewir patrolowy położony był tak daleko w

kierunku zewnętrznych rubieży galaktyki, że jakkolwiek komunikat potrzebowałby kilku tysięcy lat, aby dotrzeć do miejsca, w którym mógłby go ktoś odebrać - a statki które by na niego odpowiedziały, potrzebowałyby trzy razy więcej czasu na pokonanie tej odległości, niż wzywające je wiązki fal.

Do tego czasu większość, a może nawet wszystkie, roboty-krety dotrą do już wyznaczonych im miejsc przeznaczenia. Wyłączą wtedy pola chroniące je przed ciśnieniem napierających skał. Bez tego rodzaju osłony, żadna substancja materialna we wszechświecie nie zdoła utrzymać pół tony radioaktywnych izotopów, stanowiących ich ładunek, w podkrytycznej separacji. Cała zawarta w nich energia wypromieniuje na zewnątrz i ta drobna jej część nie będąca ciepłem, rozpocznie dalszy proces.

Oczywiście, nawet takie ilości energii są niczym w porównaniu ze zwykłymi jej zasobami zmagazynowanymi w skorupie planety. Ale jeśli uwolni się je w pieczołowicie dobranych punktach i w jeszcze bardziej pieczołowicie dobranych odstępach czasu, dokonają one dokładnie tego, co było celem kłusowników. Agent Służby Utrzymania sprawdzając umiejscowienie robotów-kretów nie znajdował błędu w obliczeniach geofizyka kłusowników. Na swój sposób, można go było nazwać geniuszem w swojej dziedzinie!

Mógłby, oczywiście, zorganizować przylot tutaj oficjalnych frachtowców, kiedy działania te przyniosą właściwe skutki, i w ostatecznym wypadku z pewnością tak zrobi. Najpierw jednak musi rozwiązać kwestię, czy wchodzi w grę zagrożenie czyjogoś życia, czy nie. Po raz pierwszy, od chwili kiedy rozpoczął prowadzenie swych analiz, agent skierował swoją uwagę na warstwy powierzchniowe planety.

W tym momencie niemalże stanął jak wryty, ponieważ przyszła mu do głowy nowa teoria. Ta planeta miała w atmosferze wolny tlen. Czy tutejsze żywe istoty, jeśli w ogóle jakieś tu istniały, mogły się rozwijać w pobliżu jej powierzchni? Może w głębszych warstwach? Lecz wątpliwości te potrwały tylko przez krótką chwilę. Pomyślał o promieniach radarowych, które były jedynym dowodem wspierającym podejrzenia istnienia tu życia. Nie mogły one przechodzić przez warstwy skalne o żadnej poważniejszej grubości. Kiedy jego zmysły, coraz bardziej rozszerzającymi się kręgami zaczęły przeszukiwać otaczające go fragmenty skorupy planety, zaczął zastanawiać się nad kwestią, jakie żywe stworzenie byłoby w stanie funkcjonować w takim środowisku. *Myśl teraz, myśl, skoncentruj się!*

Była tu pewna oczywista możliwość. Stworzenie mogło zamieszkiwać maszynę zbudowaną aby je chronić, tak jak to było w jego przypadku - co z kolei mogło implikować fakt, że odnalezione tu życie nie miało charakteru rodzimego dla tej planety. Gdyby okazało się to prawdą, lokalizacja tego stworzenia lub stworzeń, powinna być stosunkowo prosta. Jednak, w takich okolicznościach, trzeba by było zakładać, że populacja była bardzo niewielka, ponieważ przygotowanie maszyny dla każdego członka dużej populacji byłoby czystą niemożliwością. Byłoby to także niezbyt rozsądne - nawet jeśli możliwe.

Bardziej fantastyczny pomysł polegałby na tym, że o ile istoty żywe na tej planecie składały się ze związków węgla, podobnie jak i on sam, ich

metalowe elementy zbudowane były z bardziej odpornych substancji – może metali z grupy platynowców. Agent nie widział powodu dla którego nie mogłyby one służyć równie dobrze jak wapń w systemie nerwowym. Można by nawet pomyśleć o aluminium, znając jego właściwości w środowisku tlenowo-wodnym.

Wreszcie, należało także rozważyć możliwość, że to jakiś statek jego własnej rasy spadł gdzieś tu i uległ uszkodzeniu - najbardziej fantastyczna ze wszystkich opcji. Mało prawdopodobne aby któryś z tych statków mógł się znaleźć tak daleko na zewnątrz galaktyki, i trudno było sobie nawet wyobrazić nieszczęśliwy wypadek, po którym operator pozostałby przy życiu, bezpieczny przed wpływami środowiska, podczas gdy jego przyrządy komunikacyjne uległyby uszkodzeniu do takiego stopnia, że nie byłby w stanie emitować nic więcej poza prymitywnymi gwizdami.

Ponadto, wiązki radarowe które go obmacały, miały zbyt wiele punktów pochodzenia. To mógłby okazać się zbyt trudny orzech do zgryzienia.

Prawdę mówiąc, w tej chwili po prostu niemożliwe było stwierdzenie, która z tych rozważanych hipotez, czy może jeszcze innych, jakie mu na razie nie przyszły do głowy, była najbliższa prawdy. Póki co nie można było zrobić nic innego, jak tylko podjąć dalsze poszukiwania. Nie zajęło zbyt wiele czasu, zanim jego uwagę przyciągnęły w miarę rytmiczne impulsy, pochodzące z odległości nie przekraczającej paru najbliższych mil.

Miały one, oczywiście, charakter sejsmiczny, ponieważ całe jego nasłuchiwanie prowadzone było poprzez warstwy skalne - ale szybko stało się oczywiste, że pochodziły one z samej granicy między litosferą i atmosferą. Niemal od razu uświadomił sobie, że ich źródła były ruchome.

Ten ostatni fakt dosyć poważnie komplikował analizę. Agentowi zajęło więc trochę czasu wywnioskowanie, że emitowały je zestawy mniej lub bardziej więcej twardych obiektów, zawsze poruszających się w parach, które uderzały w litosferę od zewnętrznej strony. Czasami były to dosyć długie okresy regularnych, powtarzających się głuchych huków, powodowanych przez jedną lub więcej par uderzających obiektów, i okresom tym towarzyszył zawsze ruch punktów w których uderzenia te miały miejsce.

Za innym razem, łomotanie miało charakter nieregularny, zarówno pod względem częstotliwości, jak i energii, a zazwyczaj, chociaż nie zawsze, sekwencje te rozchodziły się promieniście ze stosunkowo stałego punktu emisji. Wydawało się, że istnieje sześć najważniejszych centrów, wytwarzających impulsy. No cóż, w każdym razie był to jakiś postęp. Systematyczne myślenie mogło samo w sobie dawać tyle radości!

Dosyć oczywiste było, że jeśli te zaburzenia powodowane są przez miejscowe żywe stworzenia, to musiały być one na tyle cywilizowane, iż potrafiły projektować i budować maszyny. Ponadto sześć maszyn, znajdujących się tak blisko siebie, naprawdę domagało się chwili zastanowienia. Fakt ten sugerował co nieco na temat gęstości zaludnienia planety.

Na planetach znanych agentowi, zaledwie jedna osoba na tysiąc miała maszynę umożliwiającą jej poruszanie się. Podobne wyposażenie pozostałych, byłoby nie tylko szczytem głupoty. Byłoby to po prostu niemożliwe, ponieważ nigdy nie udało się zdobyć dostatecznej ilości materiałów dla tego celu, a jeszcze ważniejszym powodem był fakt, że bardzo niewiele osób cechował temperament odpowiedni do aktywności fizycznej. Nawet jeśli ta rasa, wyposażona w maszyny, powiedzmy, jednego na stu swoich członków, odkrycie takiej liczby zebranych w jednym miejscu, sugerowało albo niesamowitą gęstość zaludnienia, albo... czy czasami nie mogło to oznaczać, że oni szukają jego?

Do tej pory nie zastanawiał się, jak takie dwuwymiarowe poszukiwania mogłyby wyglądać. Te maszyny, zaczął rozmyślać, musiały mieć możliwość poruszania się wyłącznie po powierzchni ziemi - może też tuż pod powierzchnią - a ich operatorzy zakładali, że znajdował się gdzieś blisko powierzchni litosfery.

Agent prześledził zarejestrowane w pamięci drogi poruszania się tych stworzeń w najbliższej przeszłości, i doszedł do wniosku że rzeczywiście ich ruchy mogło tłumaczyć założenie, iż czegoś szukają, dysponując przy tym bardzo ograniczonym zakresem obserwacji sensorycznej. Zastanowił się przez chwilę nad tym ostatnim założeniem, stwierdzając że w ogóle mu się ono nie spodobało.

Prawdopodobnie, do próby namierzenia jego położenia musiały także być wykorzystywane wiązki radarowe. Nie wyczuwał ich impulsów, ponieważ był zakopany w ziemi, chociaż pewna część jego kadłuba pozostawała odsłonięta. Jednak jego uwagę tak kompletnie przykuły prowadzone prace, że mógł ich nie zauważyć. Zaczął z większą uwagą nasłuchiwać na pasmach promieniowania elektromagnetycznego, i niemal natychmiast je odebrał. W jednej chwili rozwiały się jego ostatnie wątpliwości, jakie mogłyby jeszcze mieć, odnośnie inteligencji tej rasy.

Każdej z maszyn wydawało się towarzyszyć jedno źródło emisji radiowej, chociaż agent stwierdził, że nieco trudniej je precyzyjnie zlokalizować, niż źródła sejsmiczne. Najwidoczniej fale radiowe odbijały się od powierzchni nie będących częścią jego mentalnego obrazu tego fragmentu planety, co nieco utrudniało próby ich wykrycia. Zmylił go przypuszczalny fakt, że tylko jeden z tych operatorów nadawał - i zastanawiał się, dlaczego nie otrzymywał żadnej odpowiedzi.

Ten problem jednak szybko znalazł swoje rozwiązanie. Uważniejsze nasłuchiwanie ujawniło, że odpowiedzi nadchodziły, lecz z pewnego stałego miejsca, położonego w większej odległości. Agent nie próbował wykonać sejsmicznego sprawdzenia otoczenia tego źródła promieniowania, ponieważ już wystarczająco wiele rzeczy wymagało jego uwagi.

A jednak, dlaczego jedna z tych maszyn, czy też jadący nią kierowca, zaangażował się w taką konwersację dalekiego zasięgu? Z pewnością inni, skoro można było im na tyle zaufać, aby powierzyć im kierowanie tego rodzaju urządzeniami, musieli od czasu do czasu mieć również swoje własne pomysły. Nawet mu nie przyszło do głowy, że impulsy te mogłyby nie reprezentować mowy - złożoność ich wzorca była zbyt duża, aby mogło chodzić o cokolwiek innego, chociaż ich ton był odrobinę

monotonny - i to zupełnie dosłownie. Częstotliwość była stała, a jedynie amplituda podlegała modulacji.

Jedną z możliwości, oczywiście, polegała na tym, że miał do czynienia tylko z jednym operatorem, przekazującym lub dyskutującym sprawy ze swym znajdującym się w oddali kolegą, i kontrolującym wszystkie sześć z blisko położonych maszyn. Jednak w takim przypadku powinien wykrywać impulsy używane przez tamtego do sterowania podporządkowanymi mu pojazdami, a zmysły agenta niczego takiego nie odbierały.

Czy możliwe było, że polecenia transmitowane były za pośrednictwem metalowych przewodów, a nie promieni radiowych? Oczywiście, musiałyby być one niesamowicie elastyczne, ponieważ ich względne pozycje nieustannie się zmieniały. Ależ tak, mogło tak być!

IV

Candace Pearsons tego wieczora przygotowała kolację w większym namiocie, na bezogniowej kuchence. Ponieważ, pomimo całego wrodzonego jej ducha niezależności, cieszyło ją bycie kobietą i żoną Hala, a w dodatku przekonała się, że nie jest w stanie zarówno intelektualnie jak i emocjonalnie zaakceptować tego co się wydarzyło dzisiejszego dnia, skoncentrowała się na przygotowaniu najlepszego posiłku jaki był możliwy w tych okolicznościach.

Podczas gdy Hal i Truck ciągle siedzieli nad radiem, schowani pod brezentem przyczepki, otworzyła parę puszek z chili, wzmocniła dodatkowo ich zawartość proszkiem z torebki i postawiła na kuchence całą patelnię pożywnej meksykańskiej potrawy. Zagotowała czajnik gorącej kawy, usmażyła kilkanaście ćwierć-calowej grubości plastrów bekonu i zamieszała podgrzewane chili. Potem zaniósła mężczyznom duże talerze pełne parującego pysznego jedzenia. Wyglądali, pomyślała, na równie mocno zgnębionych oraz mokrych, jak i ona.

Kiedy wróciła do nich z kawą, zauważyła że ledwie co tknęli zawartość swoich talerzy, powiedziała im więc:

— Lepiej najedzcie się solidnie, panowie. Diabli wiedzą kiedy w tej ulewie uda mi się ugotować kolejny ciepły posiłek.

Hal popatrzył na nią zmieszany, oderwał się od nadajnika i wziął swój talerz.

— Przepraszam cię, kochanie — odparł. — Ale niezależnie od tego w co wdepnęliśmy, zdaje się że siedzimy w tym po uszy. Mieliśmy na antenie chyba wszystkich, poza może prezydentem, i każdy wypytuje nas co u licha tutaj się dzieje.

— Pozwólcie, że zastąpię was przez chwilę — zaproponowała.

Truck, na chwilę opuszczając posterunek przy korbie prądnicy, aby skosztować swoje wiktuały w, jak się zdawało, trzech potężnych chapnięciach, oświadczył:

— Obawiam się, szanowna pani, że to będzie impreza na całą noc.

I dokładnie tak się to skończyło, ponieważ zdumiony, podniecony, zaciekawiony i odrobinę wystraszony świat nie chciał zostawić ich w spokoju. Stopniowo stawało się coraz bardziej oczywiste, że żaden inny obserwator, ani ludzki, ani elektroniczny, nie zarejestrował dalszego lotu tajemniczego obiektu, który Truck nazwał „Największym Niewiadomoco”. A więc, zanim deszcz sobie nie odpuści i pokrywa niebios się nie uniesie, Ekspedycja Parsonsów była definitywnie przygwożdżona i uwiązana do tej sprawy.

Zaś deszcz, zgodnie z przewidywaniami Candace nie dawał za wygraną. Co, samo w sobie, było jednym z najbardziej niezwykłych elementów całej sytuacji. Zgodnie ze wszystkimi doniesieniami, burza która ich ogarnęła, rozpościerała się na obszarze nie więcej niż paru mil kwadratowych, koncentrując się nad doliną i otaczającymi ją terenami.

Okoliczność ta skłoniła Trucka do sugestii:

— No cóż, ograniczony obszar burzy powinien raczej ułatwiać sprawę. Teraz wystarczy że wyznaczą środek obszaru przykrytego chmurami. W tym miejscu powinno siedzieć to coś – przyjmując, że nasze Niewiadomoco ściąga tutaj te wszystkie otaczające nas chmurzyska w jakimś złowrogim celu.

— Jakim cudem mogłoby ściągnąć chmury, które nawet nie istniały w chwili kiedy tutaj spadło? — spytała Candace.

— No to, stworzyło swoje własne chmury — zaproponował wesoło Truck. — Jak komuś się to nie podoba, nich sobie wymyśli inne uzasadnienie.

Candace i Hal Parsonsowie wymienili między sobą zaskoczone spojrzenia. Pierwszy podniósł się na nogi Parsons. Wszyscy siedzieli po turecku na ziemi, schronieni we większym namiocie. Parsons wstał szybko, mówiąc:

— Zostaw na chwilę tę prądnicę, Truck. Gdzie jest ten twój licznik Geigera?

— Chyba nie chce mi pan powiedzieć, że ma pan zamiar *teraz* wypuścić się na poszukiwania uranu! — spytał żartobliwie Truck, spełniając polecenie.

— Nie do końca — odparł Hal Parsons, nieco ponurym tonem. — Doskonale Truck – dzięki.

Ani on, ani Candace nie śmieli ubrać w słowa obaw, jakie ich ogarnęły. Każdy obiekt potrafiący emitować promieniowanie, zdolne do stworzenia takiej gwałtownej lokalnej burzy, musiał być w stanie emitować promieniowanie o śmiertelnej dawce dla wszystkich istot ludzkich, znajdujących się w jego zasięgu. Obojgu przed oczyma stanęli japońscy rybacy, którzy w 1955 roku wpadli w opad radioaktywny setki mil od terenów prób atomowych na Eniwetok.

Candace przyniosła lampę elektryczną, a Hal zszedł mniej więcej pięćdziesiąt stóp w dół, z przełączny na której obozowali. Słyszała złowrogie klik-klik-klik licznika, którym jej mąż obracał dokoła, i widziała wyraz niezwykłego napięcia na jego twarzy – wyraz wyostrzony przez potoki deszczu i jasne światło latarni. Przez głowę przebiegła jej dziwna, przeszywająca myśl, że to wcale nie był jej mąż, tylko ktoś obcy. Szybko ucięła te myśli, odpychając je od siebie, nie pozwalając na zasianie w swym umyśle ziaren paniki.

Oznajmił:

— Poziom jest wysoki, ale to może być spowodowane przez wiele różnych czynników.

Candace skinęła głową, a on zrobił kilka kolejnych kroków. Następnie nachylił się nisko nad dużą kałużą, która utworzyła się w zagłębieniu

ziemi, i przytrzymał licznik tuż nad nią. Szybkość kliknięć wzrosła o wyraźnie słyszalny poziom. Po chwili wyprostował się i wyłączył przyrząd.

— Jesteśmy w porządku — stwierdził. — Deszcz jest radioaktywny, to prawda. Ale jeśli nie będziemy siedzieli tutaj przez miesiąc, czy dwa, mało prawdopodobne, aby wyrządziło nam to jakieś trwałe szkody.

— Wolałabym nie uszkodzić *mojej* trwałej — odparła. — Nie robiłam sobie nowej od sześciu miesięcy i loki rozlecą się lada tydzień.

Kiedy to powiedziała, poczuła się jak idiotka, wygłaszając taką uwagę w takiej chwili. Z drugiej strony, pomyślała, to może być ta chwila, w której kretynizm rzeczywiście może się do czegoś przydać.

Hal powiedział delikatnie:

— Zamknij się, kochanie — i dalej szli do obozu w milczeniu, z umysłami pełnymi dziwnie podobnych myśli, nadziei oraz obaw. Coraz bardziej stawało się jasne, dzięki radiu oraz ich własnym doświadczeniom, że Niewiadomoco zdecydowało się wylądować na Ziemi gdzieś w pobliżu i prawdopodobnie dokładnie wiedziało co robi.

— Wiesz — powiedział Hal, po zapaleniu wilgotnego papierosa, — jeśli rzeczywiście nasz przyjaciel o czymś takim pomyślał, to nie mógłby znaleźć lepszego sposobu, żeby się wyrwać spod obserwacji. Znalezienie go pieszo, w takim deszczu, niemalże graniczy z niemożliwością. A dla przedstawicieli władz, pozostających na zewnątrz tego obszaru, dostanie się tutaj nie będzie łatwą sprawą. Do tego czasu nasze ślady zmyje deszcz. Prawdę mówiąc, z tego co wiemy, ta dolina za nami do rana zostanie zatopiona. Nie mogą prowadzić obserwacji z powietrza, z powodu chmur – a ich pułap jest tak niski, że nie wierzę aby helikoptery były w stanie wylądować gdzieś w najbliższej okolicy.

— Może on rzeczywiście zaplanował to z rozmysłem — zauważyła Candace, z namysłem ponownie zapalając swojego papierosa.

— Ale, to sugeruje... — Hal dziwnie na nią popatrzył.

— To sugeruje inteligencję, to prawda — żona szybko wskoczyła mu w słowo. — Tak samo jak i zręczny, pewny sposób sterowania, wczoraj kiedy obleciał górę. Kluczowym pytaniem teraz jest – jakiego rodzaju jest to inteligencja.

— Wywołujesz u mnie ciarki na plecach — stwierdził Hal. Przysiedli razem. Popatrzył na nią w świetle latarni elektrycznej i uśmiechnął się. W uśmiechu tym trudno było jednak szukać śladu wesołości i kiedy jej dłoń przesunęła się w jego stronę po mokrej ziemi, pochwycił ją niemal żarliwie.

Truck MacLaurie stanął koło nich.

— Jeśli szanowne, gruchające gołąbki, są tym zainteresowane — poinformował ich, — to właśnie dostałem wiadomość, że za pięć minut wysyłają nad nas samolot, który spróbuje zrzuć flarę przez chmury. Chcą wiedzieć, czy ją zobaczymy – i gdzie.

Parsonsowie podnieśli się na nogi i czekali przy radiu, przez kolejne długie chwile. Wydawało im się, że minęła cała wieczność, zanim w końcu

usłyszeli odległe buczenie samolotu. Szybko rosło ono w siłę i, niemal natychmiast, zdawało się dolatywać prosto sponad ich głów. Odbiornik zatrzeszczał i Hal Parsons odezwał się do mikrofonu:

— Zbliżacie się do nas — powiedział do załogi. — Tu Parsons. Odbiór.

— Roger Dodger, panie doktorze — doleciał pływający głos lecącego w górze lotnika. — Rzucamy flarę za pięć sekund. Powinniście ją zobaczyć na dwóch tysiącach sześciuset, kiedy wybuchnie. Dajcie nam znać, jak spotkacie jakieś małego zielonego ludzika.

— Strzelajcie — odparł Parsons. Zmarszczył brwi i dodał krótko. — I przestańcie błaznować.

— Roger Dodger — zabrzmiała odpowiedź i Parsons, przez krótką chwilę, zamarzył żeby ten super-beztroski lotnik wylądował nosem na ziemi tuż za swoją flarą. Potem przypomniał sobie jednak kretyńską uwagę Candace na temat jej trwałej i dotarło do niego, że niektórzy ludzie potrzebują takiej nonszalancji jako antidotum na silne napięcie. Odłożył więc tę kwestię na bok i czekał...

Flara buchnęła światłem, nie więcej niż pół mili od nich, jej jaskrawość rozproszyła gęstą mgłę i deszcz. Jednak, jeśli chodzi o samą dolinę, nie zobaczyli w jej świetle niemal nic. Potem, powoli, wypaliła się, pozostawiając ciemności jeszcze bardziej gęstymi, niż były wcześniej.

Parsons opisał to, w tych okolicznościach nie rozwodząc się specjalnie nad szczegółami, a pilot odparł:

— No cóż, nie powiedziało nam to niczego nowego. Proszę pozostać na nasłuchu, panie doktorze.

Ciekawe, pomyślał sobie Parsons, zabrzmiał na zniechęconego.

Zajaśniał poranek, szary i mokry. Ale nawet pomimo tego, trójka ludzi na górskiej przełęczy poczuła się podniesiona na duchu światłem nowego dnia. Deszcz nadal padał mocno, nie słabnąc nawet na chwilę, a kłębki mgły czepiały się zboczy górskich zarówno nad nimi, jak i pod nimi - tak daleko jak tylko mogli przebić się wzrokiem.

Przy świeżej kawie zjedli śniadanie złożone z podgrzanych resztek posiłku, których nie dali rady zjeść do końca poprzedniej nocy.

— Nigdy bym nie pomyślała, że będę miała tu do dyspozycji miniaturowe jezioro do zmywania naczyń — oznajmiła Candace, zanurzając talerze w potężnej kałuży świeżej deszczówki i wycierając je do sucha ręcznikiem. — Na tego rodzaju wyprawach zawsze musiałam szorować talerze piaskiem.

— Taa — stwierdził Truck MacLaurie, — i to w dodatku jezioro pełne radioaktywnej deszczówki.

— Zamknij się, Truck — ostro powiedział Hal Parsons, po chwili już żałując że nie powstrzymał języka.

Po raz pierwszy w życiu przyszło mu do głowy, że ludzie potrafiący stawić czoła ponurej rzeczywistości i robić sobie z niej żarty, są być może znacznie lepszymi realistami od tych, którzy przyjmują ją tak poważnie że nawet mówienie o niej im przeszkadza. Najbardziej niepokoił go wcale nie

fakt, że deszcz był lekko radioaktywny. Istniała możliwość, że wielkie Niewiadomoco mogło emitować promieniowanie obcej natury, bardziej zabójcze dla ludzi niż wskazywał to licznik Geigera. Ignorując milczącą reprimendę Candace, wsiadł powoli do jeepa.

Nawet pomimo tego, że zbocze nie było specjalnie strome, zjeżdżanie po zachodniej stronie przełęczy okazało się znacznie trudniejszym zadaniem niż wtaszczenie jeepa do góry po jej wschodniej stronie. Powodem był oczywiście nieustający deszcz, który zmienił słabo utwardzoną piaskowo-pyłową powierzchnię górskiego szlaku, w zdradziecką rzekę mułu i błota.

Ta część podróży zmusiła Trucka do heroicznych wręcz wyczynów. Już niemal na dnie doliny, niewielki pojazd ześlizgnął się bokiem do świeżo powstałego strumienia, skutkiem czego jego tylne koła utknęły, a przyczepka przewróciła się na bok. W ułamku sekundy wielki futbolista zeskoczył z tylnego siedzenia jeepa w głębokie po kostki błoto i napinając potężne mięśnie na karku, postawił przyczepę na koła.

Zanim Hal i Candace zdążyli do niego podbiec, odpiął hak holowniczy i z ogromną siłą wyciągnął przyczepę z wody.

— Brezent utrzymał szczelność — oświadczył radośnie, nawet specjalnie nie zasapany. Z włosami rozklejonymi na całym czole i mokrym ubraniem przywartym do ciała, wyglądał jakby właśnie wyszedł spod prysznica, który brał mając na sobie wszystkie rzeczy. Dodał z uśmiechem na ustach: — Niech pan wsiada za kierownicę, panie doktorze, a ja popchnę.

Wymagało to ich połączonych wysiłków, ale w końcu wyciągnęli jeepa z wody i wycofali go na bardziej solidny grunt. Candace schowała się z powrotem pod rozkładany dach jeepa, zaś Hal i Truck podczepili ponownie przyczepkę.

Czując się kompletnie zawstydzony swoją uprzednią ostrością, Hal oznajmił:

— Truck, bardzo mi przykro, jeśli trochę cię poprzednio sponiewierałem, ale ta cała sprawa dała mi w kość. To znaczy, z powodu Candace i... — Pozwolił by to ostatnie zdanie zawisło w powietrzu.

Truck położył masywną, mokrą dłoń na i tak już przemoczonej koszuli Hala i odparł szeroko uśmiechnięty:

— Panie doktorze, niech pan się mną nie przejmuj. Zostałem już przemielony przez tak wielu trenerów, którzy regularnie urządzali mi piekło w szatni, że parę kuksańców od człowieka, którego szanuję, nie wyrządzi mi żadnej specjalnej szkody.

Z jakiegoś powodu atmosfera zelżała, chociaż deszcz ciągle padał – i, dziwnym sposobem, od tej chwili wszystko zaczęło iść łatwiej. Dwadzieścia minut później dotarli do dna doliny, rozciągającego się przed nimi niemal poziomo, niknącego we mgle skrywającej góry po przeciwnej stronie.

— No dobrze — zauważył Truck z tylnego siedzenia, kiedy Hal powoli zaczął wyhamowywać jeepa — teraz, kiedy już tu dotarliśmy, co zrobimy dalej?

Parsonswie wymienili spojrzenia. Do tej pory dotarcie do doliny wydawało się tak ogromnym problemem, że żadne z nich nawet nie zastanawiało się nad następnym krokiem.

Candace roześmiała się i oznajmiła:

— Ja, na przykład, teraz zrobię sobie krótką przerwę, aby przypudrować sobie buzię, jeśli w tej wilgoci w ogóle uda mi się to zrobić... i jeśli gdzieś na wierzchu znajdę jakiś puder.

Ku swemu sporemu zdumieniu, Hal stwierdził że po głowie mu chodzi jedynie parafraza pewnej starej dawno już zapomnianej i dosyć ordynarnej murzyńskiej przyśpiewki, która zgodnie z wszystkimi regułami, powinna spoczywać pogrzebana we wspomnieniach rzadkich ekscesów jego młodości. Powiedział:

— To czego szukamy jest gdzieś tuż przed nami, i jeśli tego nie znajdziemy, to już nie będzie winą tego czegoś.

— Hej, panie doktorze! — zawołał Truck. — Skąd pan to wytrzasnął?

— Pewnie — wtrąciła kwaśno Candace, — z tego samego miejsca, z którego wytrzasnął mnie.

To młodszy z mężczyzn otrzeźwił ich, poważnie strofując:

— Hej ludzie, przestańmy się wygłupiać — powiedział Truck. — Skoro już tutaj jesteśmy, to może zastanówmy się, co możemy zrobić aby znaleźć naszego nieludzkiego przyjaciela. I pamiętajcie, szanowni państwo, że to wy jesteście tutaj mózgowcami. Ja tu tylko sprzątam.

— Obawiam się, że będziemy musieli ponownie skorzystać z twojego licznika Geigera — odparł Hal Parsons. — I bez żadnych dowcipów, proszę! Jeśli uda nam się znaleźć jakąkolwiek zmianę w intensywności promieniowania padającego deszczu, może da nam to szansę...

— Załapałem, panie doktorze.

Znowu młody Goliat zeskoczył z jeepa i zaczął się szarpać z brezentem przyczepki.

— Kochanie, czy myślisz, że to się może udać? — spytała Candace.

Hal Parsons wzruszył ramionami.

— Niewykluczone — powiedział. — Naprawdę może.

Ale się nie udało. Równie nieubłagane jak deszcz nadal padał, jego lekka radioaktywność, nie wykazywała żadnych zmian. Po dwugodzinnym testowaniu kałuż, obaj mężczyźni wrócili do jeepa, gdzie Candace po raz kolejny przygotowała im kawę. Nie pytała o wynik ich eksperymentów. Wystarczyło jedno spojrzenie na ich twarze, kiedy wyłonili się z mgły, aby powiedzieć jej wszystko, czego chciała się dowiedzieć.

— Karnoty¹ — powiedział jej mąż, podnosząc twarz znad pustego cynowego kubka i ocierając usta rękawem. — Nie na tyle dużo, aby warto o tym donosić – ale wystarczyło, aby zwodzić nas przez godzinę fałszywymi śladami. Może trudno ci w to uwierzyć, ale to cholernie wielka dolina.

— I z każdą chwilą robi się coraz większa — oznajmił żałośnie Truck MacLaurie, z zanurzonym w kubku z kawą nosem. Popatrzył na Hala Parsonsa i spytał: — No to, panie doktorze – co dalej?

¹ Karnoty – jedna z rud uranu (przyp. tłum.)

Parsons próbował sklecić w głowie jakąś konstruktywną odpowiedź, kiedy Candace machnęła na niego ręką, żeby był cicho, i uniosła głowę do góry. Pozostali podążyli za jej spojrzeniem, lecz nie dostrzegli niczego poza chmurami, deszczem i mgłą. Potem usłyszeli ten dźwięk - buczenie samolotu niemal prosto nad ich głowami. Bez słowa obaj mężczyźni oddali Candace puste kubki i ruszyli w stronę przyczepki.

Kilka minut potrwało zanim uruchomili ponownie radio i podjęli próbę połączenia się ze znajdującą się w górze załogą. Podczas gdy Truck kręcił korbą baterii aby uzyskać jak największą moc zasilania, Parsons zajął się nadajnikiem, mówiąc do niego pośpiesznie:

— Parsons wzywa samolot. Parsons wzywa samolot. Słyszemy was. Słyszemy was. Odpowiedzcie nam, odpowiedzcie nam. Odbiór...

Jednak w odpowiedzi, w słuchawkach słychać było jedynie hałas zakłóceń, przez które od czasu do czasu można było dosłyszeć słabe, niezrozumiałe mamrotanie próbującego się do nich przebić radioperatora z góry. Candace spojrzała na Parsonsa z niepokojem, jej włosy na deszczu pozlepiały się w dziwaczne pasma. Pokręcił bezradnie głową.

— Próbuje dalej — powiedziała cichym głosem. — Hal, próbuj dalej, kochanie.

Wzbierała w nim frustracja, lecz skinął głową i spróbował ponownie.

— Parsons wzywa samolot. Parsons wzywa samolot — zaczął wywoływać.

Tym razem nie było wątpliwości, co do odpowiedzi. Nadeszła równie czysto jak głos dolatujący z jakiegoś niewykończonego sąsiedniego pokoju. Brzmiała ona:

— Parsons wzywa samolot. Parsons wzywa samolot.

— Kto to jest? — warknął, przypominając sobie beczelne komentarze przekazane przez radio z samolotu, ostatniej nocy.

— Kto mówi? — rzucił ostro do mikrofonu. — Halo?

— Kto mówi? Halo? — odparł przedrzeźniający głos.

Parsons odparł krople deszczu z oczu i warknął:

— Co u diabła się tutaj dzieje? To nie jest zabawne, koleś!

A głos odpowiedział:

— Co u diabła się tutaj dzieje? To nie jest zabawne, koleś!

— Skończ z tym natychmiast, dowcipnisiu! — zawołał gniewnie. — Jeśli masz wiadomość dla nas, dawaj ją i odlatuj.

Na co jego dręczyciel odparł:

— Kto mówi? *Halo?*

— Hal, kochanie! — wtrąciła się Candace, która przycisnęła się do niego i odwróciła jedną ze słuchawek, aby usłyszeć kpiącą wiadomość. — Hal, kochanie, on odpowiada twoim głosem.

— I co z tego? — oznajmił Hal. — Kimkolwiek jest ten dowcipniś, mam zamiar dopilnować, aby wypruto mu flaki — kiedy już się stąd wydostaniemy.

— Chwileczkę. — odsunęła go kuksańcem od nadajnika, pochyliła się nad mikrofonem i powiedziała wyraźnym głosem: — Łubu-dubu, ram-tam-dram.

Odpowiedź powróciła równie wyraźna jak jej słowa – i stanowiąca równie perfekcyjną reprodukcję jej głosu.

— Łubu-dubu, ram-tam-dram.

Patrzyli na siebie nawzajem, aż w końcu podszedł Truck, przerywając panującą ciszę. Odsunął włosy do tyłu i powiedział:

— Co się dzieje – jakaś prywatna gra, czy ktoś inny może też dołączyć?

— Zaczyna na to wyglądać — stwierdził spokojnie Hal, a jego opanowany głos zmagał się z płomieniem szalonej ekscytacji w oczach — że nasze wielkie Niewiadomoco równie ochoczo wykazuje ochotę na nawiązanie kontaktu z nami, jak my z nim. — Potem, zwracając się do Candace, zapytał: — A ty jak myślisz, kochanie?

— Myślę — powiedziała — że gdybym to ja była obcym, chciałabym zostać spikerką radiową, i mogłabym odbierać tylko H. V. Kaltenborna¹, to odpowiadałabym mu dokładnie to samo co on mówi do mnie.

¹ H. V. Kaltenborn (1878-1965) – znany amerykański komentator radiowy (przyp. tłum.).

Dla agenta Służby Utrzymania stawało się coraz bardziej jasne, że mógł tak sobie tutaj leżeć, do czasu aż któreś z kolejnych trzęsień ziemi nie złapie go w pułapkę. Generowałby pięćset nowych teorii na sekundę, nie zbliżając się nawet o krok w kierunku wiedzy o tym, co się wokół niego dzieje. Musiał dokładniej przebadać te maszyny. Jediną kwestią była sprawa taktyki. Czy miał udać się do nich, czy też ściągnąć ich do siebie?

Zdecydował się najpierw wypróbować ten drugi gambit, ponieważ dawał on większe sposobności wyciągnięcia informacji o ich naturze i możliwościach. W ten sposób byłby w stanie precyzyjnie określić jakie bodźce oddziaływały na zmysły, w które byli wyposażeni, i zakres w jakim potrafili analizować to, co wykryli.

Naturalnie, żadna z odebranych fal ich promieniowania, jak do tej pory nie zdradziła agentowi Utrzymania jakichkolwiek treści. Dokładniej mówiąc, te parę wzorców, które choćby odlegle pasowało do wzorców jego własnej mowy, nie zwiodło go nawet na chwilę swym przypadkowym podobieństwem. Nie przypuszczał również, aby tubylcy mogli odnieść większe powodzenie w swoich pracach nad jego językiem.

Pierwsza próba zwrócenia ich uwagi, polegała po prostu na transmisji odpowiednich uwag na szerokim paśmie częstotliwości, innych niż te używane przez nich. Tak jak się raczej spodziewał, nie dało to żadnej zauważalnej reakcji. Ich podróż i konwersacja trwały nadal, nie zmienione. Kiedy jednak powtórzył te próby na tych samych długościach fal, których używali tubylcy, efekty pozostały równie niesatysfakcjonujące, jak wcześniej. To było już ogromnie frustrujące.

Ich ruch do przodu ustał, i kiedy kilkakrotnie powtórzył ich sygnały, wszystkie sześć pojazdów zdawało się zebrać w tym samym miejscu. W przerwach między jego transmisjami, mowa tubylców brzmiała niemal nieustannie. A jednak miał wątpliwości, czy został chociaż usłyszany.

Spodziewał się raczej, że może nastąpić próba odpowiedzi mu w ekwiwalentny sposób, lecz nic takiego nie miało miejsca, nawet pomimo tego, iż próbował wysyłać fale w rozmaitych seriach długich i krótkich impulsów, co powinno być łatwe do skopiowania. W końcu wykorzystał długości fal odpowiadające impulsom radarowym, które wyczuł podczas swego przybycia, i które przypuszczalnie emitowane były przez członków ich rasy.

Jednak, nie odpowiedzieli na te wzorce nawet gdy w przypływie desperacji zwiększył długości czasu trwania emisji promieniowania do trzech-czterech tysięcznych mikrosekundy. Same wzorce mowy tubylców

zmieniały amplitudę nośną w krótszych okresach niż te – musieli przecież, czuł to, być w stanie rozróżniać takie przedziały!

Agent zaczął rozmyślać nad ogólnym poziomem inteligencji, tej nowej obcej rasy. Musiał nieustannie, z uporem przypominać sobie fakt, że skoro potrafili poruszać się tak szybko, musieli umieć projektować i budować skomplikowane maszyny. To było wstrząsające, żeby nie powiedzieć: co najmniej.

Potem przyszło mu do głowy, że wszystkie obserwowane przez niego pojazdy, mogły być zdalnie sterowane, że fale elektromagnetyczne, które odbierał, były impulsami sterującymi. Tak, tak, to musiało być to! Poświęcił trochę czasu na skorelowanie sygnałów radiowych z ruchami maszyn. Ta próba, oczywiście, kompletnie zawiodła, ponieważ ludzie równie chętnie rozmawiają pozostając bez ruchu, jak i poruszając się.

Pomysł ten okazał się więc kiepskim narzędziem do weryfikacji jego hipotezy – nie obalał jej, ponieważ maszyny mogły potrafić robić wiele najrozmaitszych innych rzeczy, poza krążeniem po okolicy. Spróbował więc powielić niektóre z kompletnych zestawów ich sygnałów, obserwując uważnie, czy wywoła to jakiegokolwiek poruszenie wśród pojazdów. Zdawał sobie sprawę z tego, że ich jednostce kontrolnej może nie spodobać się to co robił, ale przyjął że kiedy już zostanie nawiązany kontakt, z pewnością będzie mógł przedstawić satysfakcjonujące wytłumaczenia na ten temat.

Skutkiem eksperymentu było kompletne zatrzymanie ruchu maszyn, o ile mógł to stwierdzić. Efekt był więc niezupełnie taki, jakiego oczekiwał. Ale przynajmniej w końcu coś udało mu się osiągnąć. Przez kilka pełnych sekund zapanowała cisza, zarówno na pasmach sejsmicznych, jak i elektromagnetycznych.

Potem ponownie rozpoczęło się tubylcze trajkotanie – to musiała być mowa – w seriach sygnałów wydających się długimi dla agenta, ale które z pewnością były znacznie krótsze, niż te wykorzystywane wcześniej. Powielał każdą serię sygnałów, która do niego dotarła.

— Kto mówi? Halo?

— Kto mówi? Halo?

— Co u diabła się tutaj dzieje? To nie jest zabawne, koleś!

— Co u diabła się tutaj dzieje? To nie jest zabawne, koleś!

— Skończ z tym natychmiast, dowcipnisiu! Jeśli masz wiadomość dla nas, dawaj ją i odlatuj.

— Kto mówi? Halo? — Agent zdecydował, że ta ostatnia grupa sygnałów była za długa, aby warto ją naśladować, tak więc powrócił do jednego z wcześniej przesłanych wzorców.

Działanie to doprowadziło ponownie do krótkiej chwili ciszy, po której nastąpił wzorzec, niedługi, lecz z nową modulacją, którą dokładnie odtworzył. Przez kilka kolejnych pełnych minut rozmowa, o ile można to tak określić, trwała dalej. Poczuł teraz przypływ prawdziwej dumy z siebie, rodzaj egzaltacji i podziwu dla własnej osoby, z tego że był w stanie

ciągnąć tę sprytnie stworzoną pozorację, z całkowitą wiarą we własne siły, energią, dochodząc przecież do bez wątpienia niemałych sukcesów.

Agent Służby Utrzymania już dawno temu określił, co maszyny tubylców niemal na pewno robią, i z zadowoleniem wykrył, że ponownie wyruszyły one w drogę. Ale kiedy w swych analizach doszedł do określenia kierunku ich jazdy, z pewnym rozczarowaniem odkrył, że nie poruszają się one w jego stronę.

Miałby pewne problemy z odgadnięciem motywów ich działania, gdyby jechały one w kierunku bezpośrednio przeciwnym do jego położenia. Jednakże kąt pod którym się poruszały prowadził je mniej więcej ku niemu, chociaż minęłyby go wyraźnie ze swojej prawej strony. Początkowo wydało mu się to bardzo tajemnicze. W końcu jednak zauważył, że cała grupa poruszała się wzdłuż zagłębienia w powierzchni litosfery i wyciągnął z tego hipotezę roboczą, że ich maszyny nie potrafiły, bądź potrafiły lecz ze znaczną trudnością, pokonywać nierówności terenu o nachyleniu większym niż kilka stopni.

W takim przypadku, oczywiście, mogli nie być w stanie do niego dotrzeć, bezpośrednio czy w jakiś inny sposób, ponieważ spoczywał zagrzebany w ziemi w pewnej odległości ponad dnem doliny. Rozważył ponownie opuszczenie swojego leża i wyjście im na spotkanie, ale doprowadziło go to do tej samej decyzji co przedtem – więcej będzie mógł się dowiedzieć obserwując ich, jak robią wszystko własnymi siłami.

W czasie podróży rzadko się odzywali – ale agent zauważył, że zawsze był w stanie skłonić ich do nadawania, przerywając emisję swojego własnego sygnału. Gdyby nie poruszali się tak dziwnym kursem, mógłby przypuszczać, że korzystali z jego emisji, aby ich do niego doprowadzić. Jego emisji! A jednak utrzymywali swój dziwny kierunek ruchu, dopóki nie znaleźli się nieco poza najbliższym punktem w stosunku do jego umiejscowienia, gdzie zatrzymali się. Potem miała miejsce krótka wymiana sygnałów z jakimś dalej umiejscowionym tubylcem, ewidentnie w maszynie atmosferycznej, i jazda została wznowiona, pod kątem prostym do poprzedniego jej kierunku, ale w niewłaściwą stronę.

Tak więc, pojazdy oddalały się od zagrabanego w ziemi statku, kierując się w lewą stronę. Agent Służby Utrzymania chwilowo dał sobie spokój z teoretyzowaniem i zadowolił się samą obserwacją. Stłumił narastające podniecenie i zastygł bez ruchu jak kamienny posąg.

Nie jechali zbyt długo w nowo obranym kierunku. Po mniej niż pół godziny, zatrzymali się znowu, przeprowadzili kolejną krótką konwersację, po której zaczęli wycofywać się po własnych śladach, w końcu przejeżdżając tor swej poprzedniej jazdy. Widać było, że ciągle są zainteresowani transmisjami agenta. W każdym razie, kiedy tylko zaprzestawał nadawania, przez cały czas powtarzali swoje początkowe sygnały „Hello” i „Kto to”, na które oryginalnie odpowiedział. Nie podążali w dokładnie kierunku źródła emisji, ale na pewno – niemal na pewno – byli nim jakoś zainteresowani.

Wtedy, zupełnie nagle, wstrzymali dalszą jazdę i wydawało się, że zupełnie stracili zainteresowanie całą sprawą. Grupa rozpadła się i jej członkowie przez pewien czas poruszali się chaotycznie po okolicy. Potem

ponownie się zebrali i stopniowo zapadli w całkowitą ciszę, a przynajmniej do poziomu, na którym agent nie był pewien, czy sporadyczne impulsy dochodzące z zajmowanego przez nich obszaru wywołane zostały ich ruchami.

Właśnie stworzył kolejną teorię i ten nowy pomysł poważnie go zaniepokoił. Najchętniej by go zignorował, ale nie mógł. Przyszło mu do głowy, że stworzenia te mogły być w stanie wykrywać promieniowanie elektromagnetyczne takiego rodzaju jaki emitował, ale nie potrafiły określić kierunku, z którego ono napływało. Słyszał o przypadkach defektów fizycznych wśród swych rodaków, które prowadziły do podobnych skutków.

Pomysł, że takie upośledzenie mogłoby mieć powszechny charakter pośród tej rasy, spowodował ciężki skurcz wyobraźni agenta, ale jednocześnie bawił się tą myślą. Dzięki temu zdał sobie również właśnie sprawę, że zarejestrowane przez niego dziwaczne ruchy obserwowanych stworzeń, rzeczywiście mogły zostać wytłumaczone dzięki założeniu, iż poszukiwały go one w warunkach tego rodzaju ułomności – dlatego co jakiś czas zatrzymywały się i zbierały razem. Trudno było jednak dopasować do ich sposobu postępowania jakąś uporządkowaną procedurę poszukiwawczą. Jaki mógł być powód ich obecnego zatrzymania się? Że też zawsze muszą mu na głowę spadać jakieś trudne sprawy. Jaki mógł być ten powód?

Brak paliwa? Niepojęte, zakładając nawet minimalny poziom inteligencji ze strony operatora, czy też operatorów.

Powierzchnia gruntu, po której nie mogły poruszać się ich maszyny? Nieprawdopodobne, ponieważ kilku z nich jednak pokonało pewną odległość w jego stronę, podczas tego chaotycznego miotania się po okolicy, po zatrzymaniu się głównej grupy. No i byli jeszcze przecież ci inni, w atmosferze.

Mechanizmy zasilane energią słoneczną, które zatrzymywały się po nadejściu nocy? To było możliwe, chociaż wykorzystywanie takich urządzeń na obracającej się planecie, na której każdej doby słońca nie było widać przez połowę czasu, wydawało się odrobinę dziwne. Ponadto wątpliwe było, by maszyny były na tyle duże aby były w stanie wychwycić niezbędne ilości promieniowania słonecznego. Agent miał już całkiem niezły obraz ich rozmiarów i masy, z paru zebranych obserwacji tego jak wyglądają po rozdzieleniu się, oraz energii z jaką uderzały o powierzchnię ziemi.

A może w ogóle nie są nim zainteresowani i zatrzymali się po prostu dlatego, że dotarli do swego wcześniej zamierzonego punktu docelowego? To wydawało się boleśnie aż za bardzo prawdopodobne, gdyby patrzeć wyłącznie na trasę ich podróży – a jednak niemal niemożliwe, biorąc pod uwagę ich reakcję na jego transmisje.

Sprawy doszły do takiego punktu, że agent zaczął poważnie rozważać możliwość, iż zdobycie informacji o zagrożeniach stojących przed mieszkańcami tej planety może mu się nigdy nie udać. Ich zachowanie, przynajmniej jak do tej pory, zdawało się nie wykazywać żadnych elementów, które mógłby uznać za przejawy rozumnego działania. Jego

umysł był otwarty, przynajmniej na tyle, by zdawać sobie sprawę, że mogło to działać w obie strony, a jednak taka możliwość nie wróżyła zbyt dobrze szansom udanego porozumienia się pomiędzy dwoma zainteresowanymi, inteligentnymi rasami. Nawet między jego rodakami trafiali się cynicy twierdzący, że szaleństwo oraz ignorancja zawsze kroczą ramię w ramię i występowanie ich stanowi biologiczny pewnik w całym kosmosie.

Jeszcze raz stanął przed pytaniem, czy powinien wyruszyć tym maszynom na spotkanie, czy też czekać na nie tam gdzie był, a w tym ostatnim przypadku, jak długo powinien na nie czekać. Z pewnością, jeśli miał potwierdzić możliwość, że były one zasilane energią słoneczną, nie powinien ruszać się stąd, przynajmniej aż do zakończenia nocy.

Jednak żadna inna hipoteza nie była możliwa do przetestowania bez fizycznego przebadania tubylców oraz ich maszyn, z bliskiej odległości. Zdecydował się więc poczekać do wschodu słońca, oraz jakiś rozsądny okres po nim. Potem, jeśli te stworzenia nie ruszą ponownie w drogę, generalnie gdzieś w jego stronę, sam ich poszuka.

Jak się okazało, nie musiał się ruszać. Pojawiające się słońce ujrzało pojazdy już w drodze, co samo w sobie miało wartość informacyjną, chociaż o negatywnym charakterze. Po krótkim okresie losowego krążenia, zgromadzili się po raz kolejny, przez krótki czas wydawali się naradzać w milczeniu, a następnie ruszyli dalej, trasą obraną wcześniej poprzedniego dnia. Ponadto jeszcze raz przesłali sygnał, który agent zinterpretował jako prośbę do niego, o rozpoczęcie transmisji.

Wydarzenia z poprzedniego popołudnia, powtórzyły się w pewnych szczegółach. Przez krótki odcinek, grupa jechała koło stacji agenta, po czym zatrzymała się i wykonała skręt pod kątem prostym. Tym razem, w prawą stronę, w kierunku ukrytego agenta - i agent zdał sobie sprawę, że jego teoria o ich ograniczeniach sensorycznych, musi być co najmniej częściowo poprawna.

Aby zlokalizować źródło transmisji radiowej, musieli wykonać zestaw skomplikowanych manewrów - manewrów, które świadczyły o tym, że nawet sama zdolność do oceny intensywności promieniowania radiowego, była u nich dosyć prymitywna. Tym razem, zawężenie obszaru poszukiwań, na tyle na ile wydawały się im pozwalać ich zmysły radiowe, zajęło im mniej więcej jedną dziesiątą okresu obrotu planety.

Do wczesnego przedpołudnia wykonali kolejne dwa skręty pod kątem prostym, a potem rozproszyli się, aby indywidualnie przebadać pozostający obszar niepewności. Agent rozsiadł się wygodnie w swojej dziurze i czekał na odkrycie. To powinno mu wiele powiedzieć.

Po pierwsze, jak blisko te stworzenia będą musiały się dostać, aby wykryć go bezpośrednio? Czy będzie w stanie wcześniej wykryć ich prądy nerwowe? Co zrobią, kiedy go odnajdą? Jak długo zajmie im stwierdzenie, że nie jest rodzimym mieszkańcem z ich planety? A, co najważniejsze, czy będą mieli jakieś konstruktywne pomysły odnośnie środków komunikacji z nim? Czy ktoś będzie próbował oszukiwać? W chwili obecnej, agent mógłby oświadczyć z całą szczerością, że on tego nie robi. Tyle że, jeśli nawet on stoi w tym względzie wobec pewnej niemożliwej do pokonania

ściany, to jakże mógłby sensownie oczekiwać od nich, że wyjdą z czymś naprawdę nowym i genialnym?

Utrzymywał swoje zmysły w stanie pełnej czujności, starając się wychwycić pierwszą, inną niż fale radiowe czy sejsmiczne, wskazówkę zbliżania się ziemskich maszyn. Przypuszczalnie byli z natury mniej więcej elektryczni, wiedział więc że pola elektryczne i magnetyczne musiały wcześniej czy później dać mu dosyć dokładny obraz ich budowy. Kiedy znajdą się jeszcze trochę bliżej, pola elektryczne systemów nerwowych operatorów maszyn powinny pozwolić mu na określenie ich kształtów i konstrukcji ciała - zakładając oczywiście, że w tej grupie maszyn znajdował się co najmniej jeden operator, czego jak do tej pory ciągle nie można było przyjąć jako pewne.

Chociaż na jego skryty w ziemi statek w końcu natknęła się maszyna wyposażona w radio, to jednak radio w tym czasie nie było używane. W wyniku tego, agent dosyć szybko zdecydował, że w maszynie nie było operatora. Radio, oczywiście, zostało użyte natychmiast w chwili kiedy statek został dostrzeżony - ale zasada jego działania i natura była dla obcego dosyć oczywista, i raczej w ewidentny sposób nie miała ona nic wspólnego z inteligentną istotą.

Był to jednak jedyny znajdujący się w pobliżu obiekt, z działającymi obwodami elektrycznymi. Ponadto od żadnej z pozostałych maszyn, które szybko zgromadziły się wokół statku, nie docierały do niego jakiegokolwiek bezpośrednio oznaki życia. Ponieważ trudno było mu uwierzyć nawet w swoje własne teorie, agent ponownie sprawdził radio - tylko po to, aby jeszcze raz dojść do tych samych wniosków.

Ich stopień organizacji nie był wystarczająco złożony, aby można było porównać go choćby z jednym żywym kryształem, a co dopiero z całym układem nerwowym. Wniosek wydawał się być nieunikniony. Te maszyny nie tylko nie przewoziły układów kontrolnych, ani też nie były kontrolowane zdalnie, ale nawet same pojazdy działały *bez żadnych możliwych do wykrycia sił elektrycznych*.

Takie urządzenia, oczywiście, nie mogły być niewidzialne. To, że nie potrafił ich dostrzec, oznaczało po prostu, że zastosował niewłaściwe środki obserwacji - każdy materiał da się zobaczyć w ten czy w inny sposób. Pozostawało tylko pytanie, jakie były te właściwe środki w tym konkretnym przypadku.

Oczyszczone metale oddziaływały na pola elektryczne lub magnetyczne, albo na oba rodzaje pól, w sposób pozwalający na ich wykrycie. Tutaj obecnych było tylko kilka fragmentów zbudowanych z takich materiałów - fragmentów dosyć ewidentnie ukształtowanych przez istoty inteligentne, ale nie stanowiły one ani części ciała inteligentnej istoty, ani nie były nawet częścią jakiegoś złożonego mechanizmu.

Nieprzewodzące kryształy odbijały i zakrzywiały wiele rodzajów promieniowania. Może więc te rzeczy, da się *zobaczyć* dzięki temu zjawisku. Jedyny problem z tą koncepcją polegał na tym, że oczy nie były normalną częścią fizycznego wyposażenia agenta. Chociaż jego statek posiadał kilka oczu, używanych w nawigacji - gwiazdy najłatwiej wykryć i rozpoznać przy pomocy fal świetlnych - akurat tak się trafiło, że wszystkie

położone były pod ziemią. Nie przyszło mu do głowy, że mogą się do czegoś przydać na powierzchni planety.

Teraz już wszystkie maszyny kręciły się po powierzchni gruntu, w bezpośredniej bliskości statku. Jedna z nich znalazła się nawet na kilka chwil na odsłoniętej sekcji jego kadłuba, dając mu po raz pierwszy szansę na uzyskanie naprawdę dobrego przybliżenia jej masy. Niestety, nie potrafił określić precyzyjnie jak wiele z energii promieniującej z jej kroków, było skutkiem jej wagi.

Maszyna na jego kadłubie niosła niewielką rurę jonizującą, której działanie w chwili obecnej było zakłócanie przez łagodną radioaktywność statku – aktywność absolutnie normalną po spędzeniu miliona lat w przestrzeni międzygwiazdnej. Cel użycia rury był nie bardziej zrozumiały niż cel korzystania z radiatora elektromagnetycznego. Obydwa urządzenia nie były w stanie poruszać się, ani myśleć. Jedyna możliwość jaką widział, zdawała się polegać na tym, że rura związana jest jakoś ze zdalnym sterowaniem tych maszyn. Może to były jakiegoś rodzaju organy zmysłów?

Uznał, że nie ma żadnego logicznego powodu, aby nie podnieść statku na wysokość pozwalającą spojrzeć na te obce maszyny. Dowiedział się już wszystkiego, czego mógł się dowiedzieć, z miejsca w którym obecnie się znajdował. Oni też zobaczyli jego. Byli zainteresowani i wykazywali co najmniej przebliski inteligencji. Nie mogli – a przynajmniej ich maszyny nie mogły – określić kierunku z którego napływały fala radiowe.

Ciągle nie było dla niego jasne, czy te maszyny były pod kontrolą jednego osobnika, czy kilku. Wydawało się, że nie ma sposobu przebadania tej istotnej kwestii, w najbliższym czasie. Agent chciał się również dowiedzieć, tak szybko jak to tylko było możliwe, jakiego rodzaju mechanizm mógł funkcjonować, nie wysyłając żadnych możliwych do wykrycia pól elektrycznych – a do tego wydawało się niezbędne obejrzenie ich. Tak, musi obejrzeć je oczyma.

Kadłub wystygł już dawno temu i bez trudu mógł go kontrolować. Znowu wzbudził jego wibracje i jednocześnie zastosował tyle mocy silników, aby przeciwdziałać ciężarowi statku oraz jego zawartości. Przez krótką, przelotną chwilę zastanawiał się, czy odległy operator mógł wykryć migotanie miriadów przekaźników, odpowiadających na jego impulsy myślowe, czy też nawet na pola elektryczne samych myśli.

Gdyby to była prawda, to z pewnością nie potrafiliby ich właściwie zinterpretować. Gdyby byli w stanie to zrobić, maszyny znalazłyby go znacznie wcześniej i w tej chwili agent mógłby już organizować naradę na temat najlepszych środków przechwycenia robotów drążących. Taką możliwość, zdecydował, można było zignorować.

Statek patrolowy uniósł się bez trudu, aż do chwili kiedy połowa jego masy znalazła się nad ziemią. Pilot przez chwilę utrzymywał go w takiej pozycji, podczas gdy rytm drgań kadłuba ubijał i utwardzał rozdrobnioną na proszek ziemię, która zsunęła się pod niego. Potem ponownie wyłączył silniki i zaczął się przyglądać swoim gościom przy pomocy przed chwilą odsłoniętych oczu.

VI

Radość niewielkiej grupy poszukiwaczy, okazała się krótkotrwała. To prawda, że nawiązali komunikację z Niewiadomoczym – lecz najwidoczniej wszystko co obcy mógł i był w stanie na tym polu osiągnąć, to naśladowanie ich głosów i komunikatów w zaskakująco drwiący sposób. Po piętnastu minutach coraz bardziej narastającego rozdrażnienia, Truck MacLaurie zyskał sobie kilka nieprzyjemnych spojrzeń ze strony Parsonsa, stwierdzając:

— Hej! Ciekawe czy on potrafi śpiewać?

Candace nie poprawiła uczuć geologa, wybuchając na tę infantylną uwagę gromkim śmiechem.

Zawołał:

— To nie jest śmieszne, do jasnej cholery! Jak niby mamy wydobyć z tego chociaż odrobinę sensu? Patrząc na wasze zachowanie, można by pomyśleć, że jesteśmy na pikniku dla szkółki niedzielnej - a nie w środku czegoś śmiertelnie poważnego, a nawet przerażającego!

— Myślę, że przede wszystkim, musimy to znaleźć — odparł Truck ocierając twarz mniej więcej do sucha dużą niebieską bandaną. Wyglądał na bardziej zakłopotanego i zaniepokojonego, niż pozwolił sobie na to jeszcze chwilę wcześniej.

Candace popatrzyła ze smutkiem na resztki swojego papierosa.

— Ciekawe tylko — oznajmiła — jak niby mamy to zrobić.

— Pojedźmy za namiarem radiowym — zasugerował Truck. Powiedział to lekkim tonem, ale z oczu zniknęła mu cała lekkomyślność.

— Wsiadajmy — polecił Parsons, kiwając głową w stronę jeepa. — Zobaczmy, czy te komunikaty emituje naprawdę nasz przyjaciel.

Przejechali jedną czwartą mili i przetestowali obcego. Zdumiewający naśladowca zmałpował ich równie czysto i mocno jak wcześniej.

— Może — zauważyła optymistycznie Candace, — pojechaliśmy prosto w jego stronę.

— Mało prawdopodobne, moja droga — odparł Parsons.

Ale podjechał jeepem kawałek drogi przez ciężki teren, pod kątem prostym do ich poprzedniego kierunku jazdy, zanim wykonał kolejny test. I znowu w odpowiedzi pojawiła się prześmiewcza powtórka, bez żadnej zauważalnej zmiany głośności czy odchylenia monotonnego tonu.

— Niech to diabli! — wykrzyknął gorąco. — On nie nadaje na fali kierunkowej.

— A czemu niby to jesteś taki pewien, że to jest on? — spytała Candace.

— Niech ci będzie — odparł Hal, z odrobiną rezygnacji w głosie. — Ona nie nadaje na fali kierunkowej.

— Hal, słoneczko, nie chodziło mi o to — przerwała mu Candace. — Zastanawiałam się tylko, czy nie wpuściliśmy się w maliny, myśląc o naszym przyjacielu, jako o istocie inteligentnej.

— On, ona, czy też ono byli na tyle mądrzy, aby wczoraj oblecieć wierzchołek górski — zauważył z tylnego siedzenia Truck. — To wymaga działania mózgu.

— Albo odpowiedniej maszyny — nie zgodziła się Candace. — Przypuśćmy, że za tym co tutaj się dzieje, nie stoi nic więcej niż tylko maszyna.

— To — oznajmił Hal, opierając przedramiona na znajdującej się przed nim kierownicy — prowadzi do pewnych bardzo interesujących możliwości. Załóżmy przez chwilę, że to jest maszyna. Ewidentnie rakietą - jeśli to jest faktycznie rakietą - mogłaby mieć układy reagujące, które umożliwiły jej uniknięcie rozbicia się - na przykład o górę. Ale jeżeli jest to maszyna, to ktoś lub coś musiało ją zbudować. Żadne inteligentne stworzenie nie wyprodukowałoby czegoś tak skomplikowanego bez jakiegoś celu i nie wysłałoby tego na ślepo w kosmos.

— Może to wcale nie jest z kosmosu. Może to Komuchy ją wystrzelili, żeby rozsiewała zarazki, czy coś podobnego — zauważył Truck.

— A ty jak zwykle od razu myślisz o najbardziej widowiskowych możliwościach — odparła Candace. Potem zmarszczyła brwi i przecesała ociekającą wodą dłonią ruinę swoich włosów. — Gdyby to była prawda, statek by nam nie odpowiedział - nawet w drwiący sposób. Siedziałyby cichutko jak mysz pod miotłą. Stawiam wszystkie pieniądze - posłuchaj kobiecej intuicji! - że on jest z kosmosu. Gdyby to był pocisk rakietowy, który zgłupiał, możesz być pewien, że grube ryby z Pentagonu nie podniosłyby takiego rabanu.

— No cóż, nie rozwiążemy tego problemu siedząc na tyłku i dyskutując o nim — stwierdził praktycznie Hal. — Musimy go szukać, póki nie znajdziemy.

— Jak masz zamiar to zrobić? — spytała Candace.

Wyjaśnił im. Będą musieli to robić na piechotę, przeszukując całe dno doliny oraz zostawiając za sobą kawałki materiału i znaczniki kierunkowe, za każdym razem kiedy dotrą do wzgórz, tak by nie krążyć po własnych śladach.

— W ten sposób — zakończył — możemy przynajmniej określić gdzie go nie ma, jeśli nie uda się zrobić niczego więcej.

— Możemy też porządnie zmoknąć — mruknął Truck.

Parsons zamknął mu usta spojrzeniem, i zajęli się swoją robotą. Niemalże nie rozmawiali ze sobą, ponieważ ogarnęły ich ponure, poważne myśli i skupili się na tym co robili.

Był to dzień pełen żmudnej, niewdzięcznej pracy, polegającej na brnięciu w przesiąkniętym wodą piachu i błocie. Kiedy, w miarę jak światło dnia ciemniało, powrócili w końcu do schronienia w jeepie, cała trójka była kompletnie wyczerpana.

— Jeszcze dwa, trzy dni czegoś takiego — poskarżył się Truck, — a moje nogi będą za bardzo umięśnione nawet do futbolu.

To nie było to, co chciałby naprawdę powiedzieć. To była tylko na szybko wymyślona zasłona dymna, mająca skrywać jego prawdziwe emocje.

— Myślałam, że odpadną mi nogi po drugiej stronie doliny, kiedy ją po raz ostatni przeszliśmy — powiedziała Candace, dopasowując się do jego nastroju. — Hal, kochanie, jak uważasz, gdzie on może być?

— Gdzieś tu jest — odparł Parsons, pragnąc aby stopy przestały go boleć i piec. — Po prostu nie przeszukaliśmy właściwych miejsc.

— Lepiej może wróćmy się trochę wyżej i zajmijmy się pracą z radiem — powiedziała Candace. — To może nam pozwolić upiec jakąś pieczeń.

— Jestem teraz za bardzo zmęczony, aby chciało mi się jeść — odparł jej Parsons. — Ale masz rację.

Zaczął doprowadzać jeepa do porządku, dodając:

— Może ktoś znalazł go gdzieś indziej.

— To byłoby wspaniale! — stwierdziła Candace. — Trudno jednak mieć na to nadzieję.

Ich meldunek na temat obcego był jedynym. Parsons rozmawiał z generałem Jakimstam, który dzisiejszego popołudnia przyleciał odrzutowcem z Waszyngtonu do Butte, żeby być bliżej regionu krytycznych wydarzeń. Najwidoczniej cały świat został poruszony możliwością kontaktu z wysłannikiem obcej rasy.

— Jak wyglądają sprawy na ziemi? — spytał generał.

— Kiepsko! — otwarcie przyznał Parsons.

Przedstawił generałowi zwięzły opis wydarzeń tego frustrującego dnia, przez który przeszła ekspedycja.

— Chce pan powiedzieć, że naprawdę pan z nim rozmawiał? — spytał generał.

— Można by tak powiedzieć — odparł Hal i przeszedł do bardziej szczegółowych wyjaśnień.

— Jak pan myśli, czy moglibyśmy wysłać helikopter pod tą gęstą pokrywę chmur? — chciał wiedzieć generał. — To pozwoliłoby nam wykonać namiar na miejsce, w którym mniej więcej się znajduje.

Parsons ponuro popatrzył na mgłę, która owinęła całunem wierzchołek wzgórz i wypełniała zupełnie całą dolinę.

— Obawiam się, że nie ma na to najmniejszych szans — odparł. — Ta cholerna mgła wokół nas, jest gęsta jak zupa. Jesteśmy tu przygwożdżeni, ale trudno!

Candace, która stała obok niego z talerzem gorącego jedzenia, usłyszała tę część rozmowy i powiedziała:

— Hal, kochanie, może gdyby udało im się umieścić samolot nad nami i wiedzieliby dokładnie gdzie jesteśmy, moglibyśmy otrzymać jakiś namiar na naszego przyjaciela. Spytasz go?

— Kłopot polega na tym — odparł jej Parsons, — że transmisje naszego chłopczyka nie sięgają tam w górę. A jak mamy określić gdzie znajduje się każde z nas, jeżeli nic nie widzimy przez chmury?

— O co chodzi? — dopytywał się generał. — Co się dzieje?

— To pani Parsons — wyjaśnił Hal. — Zastanawia się, czy nie moglibyście jutro wysłać nad nas samolotu, który pomógłby nam ustalić namiar radiowy na naszego przyjaciela.

Zapadła chwila ciszy. Potem:

— Proszę przekazać swojej żonie, że kiedy to wszystko się skończy, ma u mnie wielkie pudło cygar z filtrem. Dobry Boże! To pierwszy naprawdę konstruktywny pomysł, który ktokolwiek zgłosił w tym bajzlu. Ale to będzie wymagać trochę pracy. Na szczęście ta zupa, która wisi nad wami, nie przekracza znacznie poziomu dwóch tysięcy stóp. Proszę być na nasłuchu za godzinę. Na razie rozłączam się i życzę powodzenia.

— Co on powiedział? — niecierpliwie spytała Candace, kiedy Parsons pstryknął przełącznikiem i machnął na Trucka, żeby przestał kręcić prądnica.

— Powiedział, że kiedy wygrzebiemy się z tego bajzlu, masz u niego pudło najlepszych cygar z Hawany, kochanie — odpowiedział jej Parsons, odbierając swoje jedzenie. — Mmm! Jaka ta fasola dobra! Co z nią zrobiłaś?

— Och... po prostu pozwoliłam ci trochę popracować na apetycik, to wszystko — stwierdziła Candace. Potem jej oczy się rozszerzyły. — Chcesz powiedzieć, że on naprawdę ma zamiar to zrobić?

— Ma zamiar spróbować — doprecyzował Hal z pełnymi ustami. Przechylił swój cynowy talerz, żeby chociaż odrobinę deszczówki spłynęło z niego na ziemię. — Jeśli w ogóle kiedykolwiek uda nam się nawiązać kontakt z tym stworzeniem, obiecuję że pierwsze o co je poproszę, to wyłączenie tych fontann.

— Amen, co do tego — zgodziła się Candace.

— Marzyłem o zdobyciu opalenizny, która przetrwałaby przez całą zimę — żałośnie dorzucił Truck.

Generał połączył się przez radio idealnie co do sekundy. Następnego ranka, o dziesiątej, mieli spróbować uzyskać namiar z powietrza. Było to skomplikowane, ale uważał, że da się to zrobić.

— Musimy znaleźć to stworzenie – albo raczej wy musicie je znaleźć. Czy wiecie, że w drodze jest już ekspedycja z łasicami, która ma was wzmocnić?

— Łasice! — Parsons był zaskoczony. — Ale przecież dojechaliśmy tu bez problemów jeepem.

— Teraz nie dalibyście rady tego zrobić — odparł mu generał. — Te dwa dni mokrej pogody rozmyły wszystkie szlaki. Ale nie martwcie się. Wkrótce się do was przebijemy. Odnajdźcie tylko naszego przyjaciela i dopilnujcie żeby nie wystartował zanim się z nim nie porozumiemy.

— Jaki jest aktualny werdykt — zapytał Parsons. — Czy on pochodzi spoza Ziemi?

— Na to wygląda. Rosjanie zaklinają się na brodę Karola Marksa, że oni nie mają z tym nic wspólnego. Określają to jako jakieś nowy temat do straszenia nimi przez imperialistycznych podżegaczy wojennych. No dobra, jutro rano będziemy nad wami.

I po raz kolejny ekspedycja nie zaznała zbyt wiele snu. Ale ich niepokój nie był wynikiem frustracji, bezwartościowej jak poprzedni dzień

starań w celu wykrycia obcego. Zaczęło w nich narastać poczucie coraz silniejszego podniecenia, wrażenia stojącego tuż przed nimi odkrycia, potęgująca się świadomość miejsca, w którym umieściło ich przeznaczenie.

— Jeżeli oni mają rację — rozmyślała na głos Candace, — ty i ja, kochanie, będziemy pierwszą parą ludzi w historii, którzy skomunikują się z istotą z innej planety.

— Tylko na czym będzie polegała ta komunikacja? — spytał Hal. — Równie dobrze moglibyśmy wydzierać się w Echo Canyon.

— A co ze mną? — wtrącił się Truck. — Czy ja też nie będę z nim rozmawiał?

— Oczywiście, Truck — ciepło powiedziała Candace, reagując z szybko wzrastającym kobiecym współczuciem dla młodego gladiatora czującego się odstawionym na boczny tor. — Możesz omówić z nim nawet maskę twojego przyszłego zespołu piłkarskiego.

— Jeeezu - dzięki ci, Wielmożna Pani — odparł Truck, czując że ponure ciemności jego nastroju odrobinę się rozjaśniły.

Zapadł w milczenie, najwyraźniej rozważając skutki świeżo nabytego znaczenia swej osoby i wpływu tego faktu na pewne osoby z płci Candace. Ona i Hal wymienili znaczące spojrzenia. W obojgu coraz bardziej narastały ciepłe uczucia w stosunku do Trucka. Może nie był urodzonym kandydatem do doktoratu, ale jego siła i wytrzymałość, jego serdeczność i sprawna wrodzona inteligencja, czyniły go wartościowym członkiem mocno zżytego zespołu, jakim się stali.

Wstali razem ze świtem i ponownie zwinęli obozowisko. Po raz kolejny zjechali na dno doliny, kierując jeepem i przyczepą z wyjątkową uwagą, aby uniknąć jakiegoś przypadkowego wypadku, który mógłby uszkodzić ich sprzęt radiowy. Jeśli chodzi o pogodę, to z pewnością sytuacja w czasie nocy się nie poprawiła. Mgła i deszcz były równie gęste jak wczoraj i wcześniej już mocno nasiąknięta wodą ziemia, z wolna zmieniała się w rozkiszłe błoto. Ponad godzinę zajęło im zlokalizowanie kawałka wyżej położonego gruntu, w którym by beznadziejnie nie ugrzęzli.

— Zobaczmy, czy nasz przyjaciel ciągle nadaje — zaproponowała Candace.

Rozstawili cały kram, a Truck uniósł mikrofon. Powiedział:

— Cześć, tam — natychmiast otrzymując odpowiedź: — Cześć, tam.

Parsons popatrzył groźnie na odbiornik.

— Jeżeli nasz chłopczyk się nie zamknie, kiedy zacznie nadawać generał — zauważył — będziemy mieli straszne zamieszanie.

— Damy radę — pewnie odparła Candace.

Generał, jak zwykle, odezwał się dokładnie o czasie. Powiedział:

— Jestem gdzieś nad wami w helikopterze i mam kolejny helikopter w nasłuchu. Najpierw chcemy złapać namiar na was. Potem spróbujemy namierzyć obcego, a przynajmniej wskazać wam jego kierunek.

— Cześć, tam! — oznajmił głos z gwiazd.

— Co to, u diabła, ma być? — spytał generał, zaskoczony.

— To — wyjaśnił Parsons — jest nasz nieznany gość. Będziecie musieli go ignorować, jeśli będzie nam tak ciągle przerywał.

— Okay, panie Parsons, bierzmy się do roboty — powiedział generał.
— Niech pan zacznie nadawać tablice statystyczne – czy co tam innego przyjdzie panu do głowy.

Parsons zastosował się do polecenia, nadając tabliczkę mnożenia. Po początkowych próbach naśladowania go, Niewiadomoco później najwidoczniej dało sobie z tym spokój i przestało nadawać. Dziesięć minut później, z odbiornika popłynął głos generała:

— Mamy was — oznajmił. — Teraz zobaczymy, czy uda wam się skłonić do odpowiedzi właściciela tego cudownego głosu.

Parsons nakłonił do działania nieznanego gościa, używając krótkich, zróżnicowanych zdań. Zaczynał już, jak poczuł to z rosnącym podekscytowaniem, co nieco dowiadywać się na temat obcego. Dwu lub trzykrotnie, gdy ludzkie przemowy były zbyt długie i zawiłe, lub nawet tylko zawierały znaczną liczbę powtórzeń, tamten po prostu przerywał nadawanie. Ewidentnie, musiał więc tutaj działać jakiegoś rodzaju selektywny umysł, określający które zdania warte są powtórzenia, a które nie – nawet pomimo tego, że najwyraźniej żadne z nich nie miało dla obcego sensu.

— Okay, Parsons, mamy go! — powiedział generał. — Ma pan pod ręką kompas?

Krótko przekazał współrzędne kierunkowe i zakończył mówiąc:

— Przepraszam, że nie możemy dać wam więcej danych. Widzimy was może pół mili od nas, ale nasza własna lokalizacja jest zbyt mało stabilna, aby dać wam przyzwoite oszacowanie odległości. Jeżeli ruszycie w kierunku, który wam podałem i będziecie trzymać oczy szeroko otwarte, powinniście go znaleźć.

— Zrobimy co w naszej mocy, generale — odparł Hal. Potem, spoglądając wzdłuż namiaru kierunkowego, który właśnie dostał, zawołał z konsternacją: — Do diabła, ten namiar prowadzi prosto wzdłuż linii wzgórz na północnym krańcu zagłębienia doliny.

— Dacie radę — powiedział generał z przekonaniem. Hal w tym momencie był dosyć daleki od tego uczucia. — Powodzenia. Ale bądźcie ostrożni. On może być niebezpieczny.

— Teraz nam to mówi! — stwierdziła Candace, która przywłaszczyła sobie jedną z pary słuchawek.

Musieli zostawić jeepa w miejscu gdzie był i wyruszyć pieszo, potykając się, ślizgając, obijając sobie nogi i na próżno wbijając wzrok w mgłę, w poszukiwaniu jakichś śladów obcego. Po pokonaniu odcinka o długości jednej czwartej mili, ich marsz został nagle zastopowany, kiedy wzgórze przez które szli przecięła stroma szczelina.

— No to, mamy bigos — wymamrotał Parsons. — Będziemy musieli znaleźć drogę, żeby to obejść.

Znalezienie drogi obejścia szczeliny zajęło im około pół godziny. Byli mniej więcej w połowie drogi w górę jednego z łagodniejszych wzgórz zamykających dolinę z przeciwległej strony, kiedy Truck, toczący się jak czołg kawałek z przodu, wydał z siebie dziki wrzask, który odbijając się echem od skały do skały, zabrzmiał jak potężne wezwanie do bitwy olbrzymiej armii.

— Hej, tutaj jest! Znalazłem go! Chodźcie tu, szybko! Znalazłem go!

Był duży. Chociaż w jakiś niewytłumaczalny sposób musiał wkopać się w zbocze góry, tak że tylko niewielki fragment jego górnej części, widoczny był ponad ziemią, to jednak krzywizna ciemno-szarej, nieregularnej i nierównej metalicznej powierzchni, wskazywała na średnicę przekraczającą dwadzieścia stóp. Spoczywał tam, nieruchomy, z pozoru nieszkodliwy, wyglądający jak olbrzymi garnek w ołowianym kolorze, wyrzucony z okna jakiegoś domu farmerskiego w Nowej Anglii.

— Znaleźliśmy go! *Zna-le-źliśmy!* — skandował Truck, a potem nagle zrobił się zupełnie blady, kiedy przerażający sens odkrycia tego nieruchomego, milczącego obiektu, jego bliskie położenie i obcość, nie spoczęły brzemieniem na jego duszy.

— Zabieraj się stamtąd, natychmiast! — słowa Parsonsa zabrzmiały niemalże piskliwie. — Diabli wiedzą jakiego rodzaju promieniowanie to może emitować!

Truck skreślił się, jakby w śmiertelnym przerażeniu i popędził z powrotem w dół.

— Mój Boże — wydyszał. — Zostawiłem licznik Geigera w przyczepie.

— Przynieś go — rzucił mu w odpowiedzi Parsons. — I sprowadź jeepa najbliżej jak tylko się da. Widać, że cokolwiek tam jest w środku tej skorupy, może komunikować się tylko przez radio.

— Wiem... pewnie — odparł Truck. — Ja... zaraz wrócę z Geigerem.

Ledwie zdążył odwrócić się, żeby wykonać polecenie, kiedy Candace wyrwał się cichy pisk, i zawołała:

— Popatrz, Hal! Nie podchodź bliżej! To coś dosłownie zagotowało ziemię wokół siebie!

Działo się coś bardzo dziwnego. Jakieś niewidoczne prądy spowodowały, że przed chwilą jeszcze piaszczysta ziemia w której spoczywał obiekt, zaczęła wrzeć jak woda gotująca się w kotle. Kiedy Parsons pośpiesznie zabierał żonę z obszaru objętego zakłóceniem, myślał o tym, że użycie przez nią słowa „zagotować”, było osobliwie trafne. Z bezpiecznej odległości na zboczu sąsiedniego wzgórza, cała trójka obserwowała jak znaczny obszar ziemi wokół przybysza zachowywał się tak, jak stała materia absolutnie nie powinna się zachowywać.

Truck jako pierwszy wyczuł zamiary przybysza. Wskazując na niego swym wielkim, brudnym paluchem, zawołał:

— Na miłość Boską, on leci do góry!

Zdjęci grozą patrzyli jak ciemno-szara kula, pochodząca ewidentnie skądś spoza Ziemi, powoli wyłania się ze swojego ziemnego leża, robiąc się coraz większa i większa, w miarę jak unosiła się do góry, odsłaniając coś co wydawało się być dziobem statku oraz parą przezroczystych, okrągłych obiektów, które wyglądały jak oczy.

VII

Międzygwiazdny podróżnik, oczywiście wiedział wcześniej, że znajduje się w dolinie, w miejscu położonym w połowie drogi w górę jednego z jej zboczy. Wzgórza, które ją otaczały, nie były szczególnie wysokie, zwłaszcza jak na standardy obowiązujące na tej planecie. Agent służby Utrzymania naprawdę miał dosyć dokładne pojęcie o rozmiarach Himalajów, mimo dzielącej go od nich odległości – nawet jeżeli bardziej był zainteresowany określeniem tempa ich wypiętrzania się. Tutejszym wzniesieniom poświęcił jedynie przelotną myśl, a potem zaczął studiować to, co znajdowało się bliżej jego urządzeń wizyjnych – urządzeń, które grupa Parsonsa całkiem poprawnie określiła jako „oczy”.

Nie udało mu się. Nawet drobne rzeczy położone w odległości pięciu mil były widoczne wyraźnie, a wiszące jeszcze dalej chmury złożone z kropelek wody lub amoniaku, wyglądały nawet jeszcze wyraźniej. Ale kiedy kierował swoją uwagę na obiekty znajdujące się coraz bliżej statku, stawały się one coraz bardziej pozbawione kształtu i coraz trudniejsze do przeanalizowania.

Przeklinając się za swą dziurawą pamięć, zdał sobie sprawę z powodu takiego stanu rzeczy. Jego oczy były idealnie doskonałymi przyrządami – dla celów, do których zostały stworzone. Były to starannie ukształtowane soczewki z fluorku wapnia, zaprojektowane do widzenia w polu niemal pełnej półkuli, a pod krzywizną ich powierzchni skupiającej znajdował się bezpośrednio czuły na światło materiał jego ciała. Drobnutkie kryształki metalu w jego kamiennych tkankach, odbierały światło i, tak jak wielu osobników ze swej rasy, nauczył się interpretować obrazy świetlne, formowane przez soczewki.

Był w tym jednak pewien haczyk. Nie miał żadnego mechanizmu, pozwalającego na zmianę kształtu lub pozycji soczewek. Ale tak naprawdę, czemu miałyby go mieć? Jego oczy przystosowane były do tego, aby umożliwić mu wyznaczenie kierunku gwiazd, odległości do których, z każdego praktycznego punktu widzenia, można było w zasadzie zawsze traktować jako nieskończone. Nigdy wcześniej nie potrzebował żadnych urządzeń do skupiania wzroku.

Oczy miały stopę średnicy i niemal równie dużą ogniskową. Obiekty znajdujące się w odległości setek jardów, stanowiły rozmazane plamy. Te w odległości sześciu stóp były zaledwie dziurami w tle. Kierując się wzrokiem mógł powiedzieć tylko, że w jego pobliżu były jakieś poruszające się obiekty, oraz uzyskać mgliste pojęcie o ich rozmiarach. Poza tym, szczegóły były nierozróżnialne.

Najbliższy warsztat naprawczy, w którym jego urządzenia mogłyby zostać zmodyfikowane, znajdował się mniej więcej sześć tysięcy lat świetlnych stąd, w kierunku środka galaktyki. Mógłby oczywiście odsunąć swe ciało od jednej, czy większej liczby soczewek, co spowodowałoby w konsekwencji skupienie oka na odległości paru stóp - gdyby sprawy mogły czekać przez niezbędne do tego lata, a nawet wieki. Niestety, nawet gdyby sprawy poczekały, to tubylcy oraz ich maszyny, prawdopodobnie - nie.

Mógł poczekać dopóki nie odejdą i przyjrzeć się im, kiedy znajdą się wystarczająco daleko od niego. Albo jeszcze lepiej, mógłby odlecieć na odległość, z której będą dobrze widoczni dla jego wzroku. Pytanie, pojawiające się w związku z tym, oczywiście dotyczyło kwestii, jak tubylcy zareagują na taki ruch z jego strony. Jednak jeśli nie wykona żadnego ruchu, prawdopodobnie niczego się nie dowie. Dlatego ponownie uruchomił procedurę wznoszenia się i pchnął statek pół mili w górę.

Proces obserwacji i w jej efekcie sfotografowania szczegółów wszystkiego co leżało w dole, zajął mu tylko parę mikrosekund. Potem przesunął się kilkaset jardów w jedną stronę i powtórzył procedurę. Trzy sekundy później, osiadł z powrotem w tym samym miejscu, z którego wystartował, z trwale zapisanym w pamięci całkiem niezłym obrazem otaczającego go dziwnego sprzętu.

Rozumiał już dlaczego impulsy sejsmiczne zawsze docierały do niego w parach. Każda z maszyn wspierała się na dwóch podporach, tak zamocowanych aby mogły swobodnie się przesuwać o kilka stopni. W trakcie krótkiego okresu obserwacji, maszyny przemieszczały się w wystarczającym stopniu - oddalając się od miejsca, w którym spoczywał statek - aby mógł przeanalizować ich zaskakujący sposób poruszania. Jak się wydawało, polegał on na balansowaniu na jednej z podpór, upadaniu w pożądanym kierunku i przechwytywaniu masy maszyny drugą podporą zanim całkiem upadnie na ziemię. Cały proces powtarzany był cyklicznie.

Okazało się, po obliczeniach, że wartość przyspieszenia grawitacyjnego planety, nakłada górne ograniczenie na szybkość poruszania się, możliwego przy pomocy tego rodzaju środków. Agent stwierdził, że ma lekkie wątpliwości co do inżynierskich korzyści jego używania. Jeśli chodzi o podróż po powierzchni planety, koła wydawały się rozwiązaniem prostszym - chociaż nieregularny charakter powierzchni mógł sprawiać dalsze trudności. Niewielu agentów służby Utrzymania, stanęło wcześniej przed problemami tak trudnymi do rozwiązania.

Przynajmniej wyeliminował ostatnie możliwe wątpliwości, co do tego że stworzenia te były maszynami nie-metalowymi i nie-elektrycznymi. Na własne oczy widział jak poruszały się w sposób, który potwierdzał i wypełniał luki w jego obserwacjach sejsmicznych. To oznaczało, że tubylcy byli nie tylko tak po prostu cywilizowani, ale rozwinęli nauki fizyczne do poziomu równego, a być może wyższego niż w przypadku rasy samego agenta. Ta ostatnia ewentualność, była z pewnością możliwa, ponieważ nie miał najmniejszego pojęcia, jaka była zasada działania tych urządzeń. To była niepokojąca myśl, ale powstrzymał się przed rozmyślaniem nad nią w emocjonalny sposób. Ewidentnie mieli także jakieś wyposażenie

elektryczne. Detektor sygnału, urządzenie nadawcze, jak również cylinder jonizacyjny, były z absolutną pewnością równie sztuczne, jak jego własny statek. Ich wiedza naukowa, niezależnie od stopnia jej rozwoju, nie mogła być całkowicie odmienna. Było więc możliwe, że uda mu się czegoś o niej dowiedzieć. Jeżeli miał rację, ważne że zaczął to robić – ponieważ sprzęt potrzebny do zatrzymania kretów, musiał być dostarczony przez tych ludzi w dosyć krótkim okresie czasu.

Agent przebadął jeszcze raz, z całą precyzją, na jaką pozwalało mu posiadane wyposażenie sensoryczne, każdy szczegół otaczających go stworzeń, które teraz powoli wracały po swej pośpiesznej rejteradzie. Nadał ponownie w eter swoje „Halo” i uważnie zanotował sobie w pamięci, jak ono wpłynęło na to co dobiegało z odbiornika. Kiedy nadeszła odpowiedź, sprawdził z równą uwagą źródło energii modulującej.

Wynik był interesujący Odbiornik najwidoczniej nie traktował fal nośnych jako istotnych. Odfiltrowywał je i wykorzystywał w większości swoich obwodów sygnał wtórny, składający się z oryginalnych modulacji. Był on używany do wywoływania zmian siły pola magnetycznego, które dalej, o ile agent mógł powiedzieć, stosowane było do wprawiania w ruch mechaniczny czegoś, zasadniczo nie-metalowego.

Był w stanie tylko z grubsza coś powiedzieć o wielkości i kształcie tego czegoś, na podstawie miejsca jakie pozostawiono na nie w całym mechanizmie. Wszelkie oznaki zdawały się wskazywać, że całe urządzenie po prostu retransmituje mechanicznie modulację oryginalnego sygnału, w atmosferę.

Wiedział, oczywiście, że gazy mogą przenosić fale ciśnieniowe, ale nigdy mu nie przyszło do głowy, że mogłoby to być przydatne do czegoś sensownego. Po prostu nie znalazł tych kilku chwil, niezbędnych do tego aby zastanowić się, czemu jego metoda zakopywania się była bardziej efektywna na planetach posiadających atmosferę. Nie było sensu robić sobie wyrzutów z powodu takich przeoczeń, teraz, kiedy mleko się już rozlało. W każdym bądź razie, pewien był jednego. Fale ciśnieniowe wykorzystywane były do przesyłania sygnałów sterujących maszynami. Z pewnością nie było tu żadnych innych możliwości.

Służyły one także do celów komunikacyjnych, ponieważ jak się okazało, podobne fale ciśnieniowe odbierane były przez ten sam dysk w urządzeniu sygnałowym i wykorzystywane do modulacji transmitowanych przez nie impulsów elektromagnetycznych. Ten proces wydawał się sensowny jedynie jako sposób komunikacji dalekiego zasięgu. Prawdopodobnie fale ciśnieniowe nie przenosiły energii przez gaz aż tak efektywnie, jak promieniowanie elektromagnetyczne niosło ją przez kosmos. Jak do tej pory, wszystko się zgadzało.

Wszystko to łączyło się, w mniejszym lub większym stopniu, z ewidentnym faktem, że maszyny te nie miały charakteru elektrycznego, nawet jeśli nie potrafił powiedzieć, na jakiej zasadzie one właściwie działały. Niezbędna była do tego, oczywiście, jakiegoś rodzaju bardziej

precyzyjna analiza. Metal, który potrafił wykryć w otoczeniu tych stworzeń, wydawał się być zupełnie pozbawiony celu i nie widział, w jaki sposób miałby on wspomagać ich działanie.

Występował on w niewielkich, niepołączonych ze sobą elementach, i nie wykrywał w nim żadnych przepływów energii elektrycznej, jeśli pominąć przelotne prądy generowane przez ruch metalu w polu magnetycznym planety.

A więc, maszyny zbudowane były niemal w całości z nieprzewodników i agent powinien być w stanie łatwo sprawdzić w jaki sposób urządzenia składające się wyłącznie ze strumieni gazu i pól magnetycznych, mogły być przydatne dla istot ludzkich.

Oznaczało to, że analiza będzie musiała zostać przeprowadzona przy użyciu wysoce pośrednich metod. Chemik, wyposażony w swoje maszyny laboratoryjne, wykonałby tę pracę w ciągu paru mikrosekund. Lecz urządzenie przenośne, takie jak statek zwiadowczy, nie miało żadnego wyposażenia zaprojektowanego z myślą o tego rodzaju celach.

Przypuszczał, że była to jedna z sytuacji, w których rozsądni członkowie jego rasy - czyli olbrzymia jej większość - skorzystaliby z możliwości okazania swej wyższości nad tymi, którzy ograniczeni byli do korzystania z maszyn. Zawsze tak było. Było to dosyć powszechny pogląd pośród tych, których życie miało przede wszystkim intelektualny charakter. Ludzie czynu, tacy jak agent, sprzeciwiali się mu, wyraźnie widząc że jest to konieczne w ich pracy. W chwili obecnej, jednak, agent raczej żałował, że na jego miejscu nie ma jakiegoś normalnego człowieka, który okazałby swą wyższość intelektualną.

Wtedy uświadomił sobie, że przecież posiadanie szeregu maszyn nie dyskwalifikuje go jako istoty inteligentnej. Jeśli jakikolwiek członek jego rasy był w stanie rozwiązać ten problem, to równie dobrze mógł to być on, jak ktokolwiek inny. Będzie musiał wykorzystać całą swoją wiedzę, oczywiście, nie tylko wyspecjalizowaną informację, jakiej wymagały od niego całe te minione milenia lotu.

Powinien mieć tu wystarczająco dużo wiedzy. Oczywiście, kiedy wybrał takie życie, był jeszcze bardzo młodym człowiekiem, lecz miał wiele czasu na przemyślenia, zanim jego kariera tak naprawdę się rozpoczęła. Miał także całkiem sporo czasu na myślenie, gdy dryfował pośród gwiazd. Czasu na myślenie i możliwości zebrania danych, jakich nie miały istoty myślące uwiązane do powierzchni planet.

Musiałby powrócić do najbardziej fundamentalnych zasad myślenia – jeżeli udałoby mu się to zrobić. Po pierwsze, zdecydował, na bazie informacji, które wydawały się odpowiednimi przesłankami, ta planeta była zamieszkała - zaś jej mieszkańcy używali maszyn i dlatego mieli swobodę ruchu - oraz maszyny te opierały się na technologii niemal, ale nie do końca, odmiennej, w porównaniu z wykorzystywaną przez niego.

Tym niemniej, ich urządzenia musiały działać w warunkach tych samych praw fizyki, które obowiązywały wszędzie indziej we wszechświecie. Oznaczało to, że musiały pobierać energię w jakiejś formie, musiały wykonywać założone działania i w końcu musiały emitować część z tej energii jako ciepło.

Energia ta nie mogła mieć charakteru elektrycznego ani magnetycznego, gdyż obecność tego rodzaju energii wykryłby bezpośrednio. Nie miała ona także charakteru grawitacyjnego, ponieważ potencjał grawitacyjny tych maszyn – mierzony w funkcji ich odległości od środka planety – prawdę mówiąc wzrósł od czasu, kiedy je po raz pierwszy wykrył. Oczywiście również, niespecjalnie było możliwe, aby na takiej zasadzie mogło działać jakieś źródło pierwotne, poza zasięgiem jego detektorów. Ale na razie, niezbyt się tym przejmował. To można było zostawić na później, do dalszych rozważań.

Niemal z pewnością, nie istniało żadne bezpośrednie mechaniczne połączenie tych maszyn z jakimś odległym źródłem energii. Był pewien, że w czasie swojej krótkiej podróży w górze, zauważyłby coś takiego.

Niewątpliwą możliwością, jaka pozostawała, była jednak energia chemiczna. Normalnie – co zwykle oznaczało, jak kwaśno stwierdził, okoliczności w których inteligencja nie miała łatwo – reakcje chemiczne były zbyt wolne dla użytecznego dostarczania energii, nawet jeśli były one odpowiedzialne za samo istnienie życia. Jednakże na planecie przepełnionej tak dziwnie aktywnymi związkami węgla, lepiej było nie podchodzić do tej kwestii aż tak dogmatycznie.

Wiadomo było, że w takich warunkach reakcje zachodziły z ogromną szybkością, chociaż jak do tej pory powstało niewiele prac ilościowych na temat zagadnień związanych z tego rodzaju energią. W każdym bądź razie, całkiem do przyjęcia było istnienie jakiejś metody bezpośredniego przekształcania związków chemicznych w energię mechaniczną, bez wykorzystywania elektryczności jako stadium pośredniego.

Patrząc na to z tego punktu widzenia, jasne stawało się kilka wniosków odnośnie samej planety. Tubylcy mogli na niej przetrwać dzięki albo naturalnemu albo inteligentnemu przystosowaniu, w bogatej w tlen atmosferze. Tlen był jednym z najbardziej zaraźliwie aktywnych pierwiastków istniejących w naturze. Dlatego nie powinno być zbyt zaskakujące znalezienie tego rodzaju istot ludzkich, które rozwinęły technologię chemiczną i pominęły elektryczność, której żywe stworzenia logicznie powinny używać. Ale chwileczkę. Oni jednak wcale nie pominęli elektryczności.

Wśród stojących przed nim pojazdów znajdowały się maszyny pomocnicze, które jej używały. Być może ci ludzie początkowo opracowali normalną technologię, lecz z jakichś niezrozumiałych powodów nigdy nie opanowali lotów kosmicznych! Było to bardziej niż prawdopodobne, gdyby założyć, że oni nie tylko tolerowali tlen, ale *go potrzebowali*.

W takim przypadku nieuchronnie musieliby wyczerpać w stosunkowo niedługim czasie zasoby metalu każdej pojedynczej planety.

Stanęliby więc przed następującym wyborem: albo opracować maszyny, które nie wymagałyby dużych zasobów metalu, albo na parę milionów lat, jakie zajęłoby nowym złożom metali skupienie się do stanu użyteczności, popaść w barbarzyństwo.

Rasa ta mogła odnieść sukces jedynie w pierwszym przypadku – i w tej sytuacji wyczerpanie lokalnych złóż rud metali nie mogło być uznane za kłusownictwo. Rabuś mógł wypuścić swoje torpedy w przypływie

chwilowego gniewu, uznając, że regularny frachtowiec dotarł tu jako pierwszy i mając nadzieję, że w ten sposób uda mu się zakłócić harmonogram produkcji metali na tej planecie.

Był to bardzo atrakcyjny pomysł, lecz agent zdecydował, że nie powinien posuwać się aż tak daleko na drodze czystej spekulacji. Powinny tu być jeszcze inne dostępne źródła energii poza reakcjami chemicznymi, niezależnie od tego, jak bardzo ta anergia wydawałaby się obiecująca. Na przykład wykrywał nacisk na kadłub, który wydawał się być spowodowany przez prądy w atmosferze. Prądy te musiały nieść ze sobą energię, choć na pierwszy rzut oka wydawało się, że jej ilość nie jest wystarczająca do wprawiania w ruch tych maszyn.

Była również energia jądrowa. Oczywiście ci obcy nie używali jej bezpośrednio, ale pozostawała możliwość, że była ona ich głównym źródłem, przechowywanym w jakiejś niezniszczalnej formie wewnątrz nich. Tę możliwość uwiarygadniała obecność lampy jonizacyjnej, która mogła być używana do lokalizowania materiałów radioaktywnych. O ile oczywiście, normalne zmysły tych stworzeń byłyby niezdolne do wykonania tego zadania. Energia atomowa, która nie pozostawała pod ścisłą kontrolą, była zawsze, jako temat rozważań, czymś dosyć przerażającym i nie rozwodził się nad innymi mało prawdopodobnymi kwestiami, z nią związanymi.

Już wcześniej rozważał kwestię energii słonecznej, ale jak dotąd nie widział niczego, co mogłoby zrównoważyć jego wcześniejsze zastrzeżenia w stosunku do tej teorii. Ogólnie rzecz biorąc, idea energii chemicznej wydawała się najbardziej warta rozważenia w dalszych dociekaniach.

Przeszukał swoją pamięć w poszukiwaniu niewielkich strzępków wiedzy na temat szybkich reakcji chemicznych zachodzących w środowisku wolnego tlenu i znalazł kilka pomocnych informacji. Po pierwsze, *wiązały się one* z energią słoneczną - wykorzystywały ją zazwyczaj do rozkładu wody. Tlen uwalniany był do otoczenia, a wodór łączył się z tlenkami węgla, tworząc węglowodany.

Te z kolei mogły reagować ze sobą, z prostymi związkami i z częścią wolnego tlenu, tworząc niezwykle złożone substancje, których szczegółowa struktura nigdy nie została przebadana przez żadnego chemika z jego rasy. Taka sytuacja powinna oczywiście skutkować ciągłym wzrostem ilości wolnego tlenu w atmosferze planety, kosztem wody.

Obserwacje wskazywały, że rzeczywiście zwykle osiągnano równowagę pod tym względem. Kwestią dyskusyjną pozostawało to, czy tlen ponownie łączy się spontanicznie w związki z wodorem, czy też zachodzą inne szybkie reakcje tego samego typu, jak reakcje fotosyntetyczne. Nawet agent potrafił jednak zrozumieć, że połączenie tlenu z prawie każdym złożonym związkiem węgla i wodoru zwróciłoby energię pierwotnie dostarczoną przez słońce.

Jeśli związki te miałyby rozsądną gęstość, powinno być możliwe przechowywanie w ten sposób sporej ilości paliwa w bardzo małej przestrzeni, wykorzystując następnie tlen atmosferyczny do łączenia się z nim w razie potrzeby. Nawet bez dokładnych danych był pewien, że

mogłoby to stanowić odpowiednie źródło energii dla maszyn, które obserwował.

Czy było coś, co mógł przeoczyć? Nie... nie był nic wart, gdyby nie potrafił zachować dokładności, kiedy podejmował się zadania opartego na obiektywnej analizie naukowej. Człowiek czynu musiał dbać o swoją dumę, a on nawet jeśli nie był intelektualistą w ścisłym tego słowa znaczeniu, to posiadał naprawdę pierwszorzędny umysł.

Jak można było sprawdzić tę teorię eksperymentalnie? Gdyby okazała się słuszna, gdzieś na tych maszynach lub w ich wnętrzu powinien znajdować się zapas związków wodoru i węgla. Powinny one być w stanie w dosyć szybkim tempie pochłaniać tlen atmosferyczny. Powinny też wydzielać wodę i ewentualnie tlenki węgla.

Nie miałyby możliwości rozpoznania związków wodoru i węgla, nawet gdyby je znalazł, więc próba rozebrania jednego z mechanizmów na części nie miała większego sensu. Oczywiście, gdyby jego operator mu na to pozwolił. Wydawało się jednak, że istnieje możliwość zaatakowania problemu za pośrednictwem innych faktów. Jeśli reakcja utleniania, jaką sobie wyobrażał, przebiegałaby w zamkniętej przestrzeni, co działałoby się z ciśnieniem? Zastanawiał się nad tym problemem.

Wytworzenie stałych tlenków zmniejszyłoby ciśnienie poprzez usunięcie tlenu. Powstanie dwutlenku węgla pozostawiłoby je niezmienione, ponieważ po reakcji byłaby taka sama liczba cząsteczek jak przed reakcją. Wytworzenie wody lub tlenku węgla spowodowałoby wzrost ciśnienia, ponieważ każda cząsteczka tlenu zostałaby przekształcona w dwie cząsteczki wynikowe.

Wszystko to, oczywiście, przy założeniu, że woda i tlenki węgla są w tej temperaturze gazami. Metoda ta dawała mu dwie na trzy szanse na nauczenie się czegoś - a nawet więcej, ponieważ było prawdopodobne, że razem zachodziły tutaj dwie lub wszystkie trzy reakcje. Tylko w przypadku wytworzenia samego CO₂ wynik byłby negatywny. Problem polegał na tym, jak zamknąć jedno z tych urządzeń w gazoszczelnym pojemniku z ograniczoną ilością powietrza?

Pojemnik, oczywiście, miał do dyspozycji. Jego własny statek miał sporo wolnej przestrzeni, pozostawionej celowo, aby umożliwić późniejsze jego modyfikacje, jeśli i kiedy zostaną one opracowane. Praktycznie w każdym dowolnym miejscu był w stanie otworzyć swój kadłub, dla celów konserwacji. Otwory te zostały oczywiście tak zaprojektowane, aby można je było uszczelniać, aby nie przepuszczały gazów, gdyż w jego pracy bardzo prawdopodobne było, że trzeba będzie działać w korozyjnej atmosferze, takiej jak ta.

Musiał upewnić się tylko, że wpuszcza powietrze z planety tylko do komór, w których nie może ono dostać się ani do jego własnych tkanek, ani do obwodów statku. Nie, zaraz. Test powinien zająć mu tylko kilka minut lub godzin, a nie lat. Zarówno jego ciało, jak i srebrne przewody były w stanie wytrzymać kontakt z tlenem przez tak długi czas, a później mógł się go pozbyć, otwierając kadłub w próżni kosmicznej. To znacznie ułatwiało sprawę.

Ale w jako sposób miał wykryć zmianę ciśnienia, jeśli już do niej dojdzie? Posiadał oczywiście manometry. Lecz były one wyprowadzone na zewnątrz kadłuba. Nikt nie przewidział potrzeby pomiaru ciśnienia wewnętrznego. Musiał jeszcze trochę nad tym pomyśleć.

Jakie efekty mogło wywołać ciśnienie, oprócz tych czysto mechanicznych? Zmiany we właściwościach elektrycznych odsłoniętych przewodów nie byłyby na tyle duże, by nawet agent potrafił je wykryć. Zmiana prawdopodobnie nie byłaby na tyle szybka, by zauważalnie wpłynąć na temperaturę. A nawet gdyby tak się stało, agent nie byłby w stanie stwierdzić, czy zmiana została spowodowana prawami przemian gazu, czy po prostu działaniem maszyny.

W zakresie temperatur tej planety i tak nie mógł być tak naprawdę pewien, czy wszystkie produkty reakcji chemicznych są gazowe. Sam fakt, że wykrył je w tej formie podczas podejścia, nic nie znaczył. Spektrograf na podczerwień, którego używał, mógłby wykryć nawet ich śladowe ilości. Szkoda niestety, że jego odbiorniki były skierowane na zewnątrz.

Agent nie potrafił sobie przypomnieć krzywych ciśnienia oparów żadnego z oczekiwanych produktów reakcji - chociaż, jeśli się nad tym zastanowić, coś tu jednak musiało być płynne. Świadczyły o tym chmury, które widział, kiedy spowodował ich skroplenie. Nie mógł jednak zakładać, że był to jeden z poszukiwanych produktów reakcji, a jego najlepszym pomysłem było jednak spowodowanie zmiany ciśnienia. Jeśli mu się to uda...

VIII

Oszołomiona i wstrząśnięta trójka ludzi wpatrywała się w międzygwiazdowego podróżnika, który w tej chwili w tak niesamowity sposób niespodziewanie ujawnił się w pełnej krasie. Zaś międzygwiazdny podróżnik wpatrywał się w nich przez matowe, nieprzejrzyste wizjery.

Pierwsza odezwała się Candace Parsons.

— Zobaczcie! — wykrzyknęła pełnym napięcia, dziwnie cichym głosem.
— Przecież... on wygląda jak gigantyczna batysfera! Może... — zamilkła.

Hal Parsons, ignorując deszcz spływający mu po twarzy, spytał:

— Może co, kochanie?

— Nie wiem. — Głos Candace nadal był niepewny, drżący. — Tak sobie pomyślałam, że może... jeśli on jest z kosmosu... nasza atmosfera jest dla niego jak ocean. Może to jest batysfera?

— Dlaczego mówisz o tym czymś „on”? — spytał ostro jej mąż. — Cokolwiek siedzi tam w środku, najprawdopodobniej nie ma większego pojęcia o płciach, jakie znamy my, niż ameba.

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem, Hal. — Candace otarła deszczówkę z twarzy ręcznikiem w kolorze khaki, który przyniosła z jeepa. — Nie wiem, ale on... jakoś kojarzy mi się z mężczyznami.

— Jeśli to jest batysfera — wtrącił Truck MacLaurie, siląc się na powagę — to niech mnie diabli jeśli miałbym się w niej kąpać. Jak w ogóle się z niej wydostać?

— Truck! — powiedziała Candace, przygryzając wargę. — Czy ty naprawdę nie wiesz, co to jest batysfera?

— Czy to nie jest po prostu okrągła wanna? — spytał Truck.

— Dla twojej informacji — wyjaśniła Candace, bardziej dla siebie niż młodemu mężczyźnie, który popełnił błąd — batysfera to kuliste urządzenie zaprojektowane przez Williama Beebe do obserwacji podwodnych głębin. Profesor Piccard użył później ulepszanego modelu do...

Jej mąż, który nie odrywał wzroku od przybysza z kosmosu, nagle skoczył na nią i wcisnął ją twarzą w zbocze wzgórza. Kiedy to robił, krzyknął do Trucka:

— Na miłość Boską, padnij na ziemię!

Obcy był już w ruchu. Tym razem nie było co do tego wątpliwości. Candace, z bladą jak popiół twarzą, poczuła wibracje o sile równej prawie trzęsieniu ziemi, które emanowały od wzbijającej się kuli i uniosła wzrok, akurat w chwili by zobaczyć, jak pędzi ona w niebo, pozostawiając za sobą wrzącą ziemię i błoto.

Start obcego był tak szybki, jak opisywane w prasie bulwarowej błyskawiczne piki w górę, przypisywane latającym spodkom. Przybysz wystrzelił na wysokość tysiąca stóp - dwóch tysięcy - i znów poczuł gryzący odór metalu rozgrzanego do granic możliwości przez tarcie o atmosferę.

Czuąc nagle, szokujące, nieprzystające do sytuacji rozczarowanie, Candace zawołała:

— Och, on odlatuje! Opuszcza Ziemię!

— Nie, nieprawda — poprawił ją Truck, wpatrując się ponuro w deszcz.
— Popatrzcie tylko na to!

„To”, okazało się być nagłym manewrem bocznym wykonanym przez obcego. Przemieścił się kilkaset metrów w bok i ponownie znieruchomiał. Najwyraźniej potrafił on tak samo zawisnąć nieruchomo w powietrzu, jak wtedy gdy leżał zagrzebany w skalistej glebie.

Candace dostrzegła wielkie, okrągłe oczy, zredukowane w oddali do zaledwie kropek, wpatrzone w ich całą trójkę. Poczuła paraliżujący strach. Było teraz oczywiste, że obcy nie był zadowolony z bliskiego kontaktu z ludźmi i był zdeterminowany, aby nie pozwolić na dalsze badania.

Jako druga - ale wcale nie mniej przerażająca - pojawiła się myśl, że od kosmity trudno było oczekiwać humanitarnych sympatii. Prawdopodobnie nie wahałby się bardziej przed ich unicestwieniem, niż większość ludzi przed zabiciem uciążliwych owadów.

Spojrzała na męża, szukając uspokojenia, lecz w jego pełnych strachu oczach dostrzegła odbicie własnych obaw. Dawno temu, w liceum na biologii, dowiedziała się, że legenda o zdolności węża do paraliżowania ofiary hipnotycznym spojrzeniem była kompletnie fałszywa. Jednak wbite w obcego spojrzenie Hala zdawało pasować do tej starożytnej opowieści. Wzrok jej męża pozostawał utkwiony w dziwny obiekt unoszący się niemal nieruchomo nad ich głowami, na wpół przesłonięty przez tumany mgły, którą sam stworzył.

Nagle Candace krzyknęła. Obcy wracał, lecąc prosto na nich z prędkością pocisku V-2. Zanim echo jej krzyku zdążyło ucichnąć i zamilknąć, przybysz wylądował - nie na nich, lecz w swym poprzednim miejscu spoczynku. Spoczywał tam lekko, górując nad najbliższą okolicą, a jego nieprzezroczyste bliźniacze soczewki wciąż nieubłagane były skierowane na nich.

Harold, podnosząc się powoli z przesiąkniętej wodą ziemi, zauważył:

— Zastanawiam się, jaki do cholery był cel tego manewru.

Candace, bliska ataku hysterii wskutek przerażenia i wstrząsu, odpowiedziała mu:

— Równie dobrze mógłbyś zapytać, dlaczego takie stworzenie robi cokolwiek.

— Zabawna rzecz — ciągnął dalej Truck, otrzepując błoto z przodu ubrania. — Myślę, że to stworzenie chciało nam się lepiej przyjrzeć. Zauważyliście, jak wpatrywało się w nas tymi rybimi oczami przez cały czas, gdy tańczyło w górze rock'n'rolla?

— Zauważyłem — odparł zwięźle Harold Parsons, a jego twarz wciąż była pozbawiona naturalnych kolorów. — Zastanawia mnie tylko, dlaczego musiał tak skakać.

Truck zmarszczył brwi, spoglądając na potężne kształty obcego. Następnie popatrzył na swoich towarzyszy i potarł szczecinę na brodzie.

— Zabawna rzecz — powtórzył. — Teraz jestem całkowicie pewien, że on wcale nie próbował nas przestraszyć.

— A więc, jak myślisz, co *to* coś próbowało zrobić? — spytała Candace.

Truck uczeplił się pewnego pomysłu i niczym buldog nie zamierzał z niego rezygnować.

— Pewnie to nie będzie to miało większego sensu dla was, jajogłowych — oznajmił ze swoim południowo-zachodnim akcentem, — ale sposób, w jaki to coś się zachowywało, przypominał mi mojego wujka. Jego oczy nie są już tak dobre jak kiedyś, a nie chce nosić okularów dwuogniskowych. Tak więc, kiedy chce się dobrze przyjrzeć czemuś z bliska, musi odchylić głowę do tyłu. Wiecie, o co mi chodzi?

— Jeśli twój wujek wygląda tak jak to coś — powiedziała Candace, kiwając głową w stronę obcego — to nic dziwnego, że masz problemy ze studiami.

— Chwileczkę, kochanie — powiedział Hal, patrząc na MacLauriego w sposób zbliżony do podziwu. — Myślę, że on faktycznie na coś wpadł. Przyjrzyj się dobrze tym obiektom, którymi patrzy nasz przyjaciel - jeśli w ogóle one do tego służą. Jego oczy mają zbyt płaską krzywiznę, by mógł widzieć cokolwiek małego i z bliska, bez jakiegoś elementu skupiającego. Nie widzę żadnych dowodów na to, że takowy posiada. W takim razie... — Przerwał.

— Chce pan powiedzieć, że mam rację? — zapytał z niedowierzaniem Truck.

— Chcę powiedzieć, że możesz mieć — oznajmił Parsons. — Nieźle ci idzie, Truck.

Przez chwilę wyglądał na zamyślonego, po czym dodał:

— Jeśli naprawdę to jest jakaś maszyna do podróży kosmicznych - a dotychczasowe oznaki czynią to wysoce prawdopodobnym - to jej oczy byłyby zaprojektowane do oceny obiektów o ogromnych rozmiarach, znajdujących się w ogromnych odległościach. Nie potrzebowałyby żadnych urządzeń skupiających.

— No dobrze, wy dwaj geniusze — powiedziała Candace, która odzyskała nieco równowagi — jeśli to naprawdę jest podróżnik kosmiczny, dlaczego musiałby uciekać się do takich skrajności tylko po to, aby dobrze nam się przyjrzeć? Z pewnością ma wiele innych zmysłów - czy też przyrządów pomiarowych. Jeśli nie, to jak w ogóle mógłby tu dolecieć?

Harold Parsons wyciągnął przemoczonego papierosa z równie przemoczonej paczki w kieszeni na piersi. Popatrzył na niego z obrzydzeniem i szybko go wyrzucił.

— Czy nie przyszło ci do głowy, kochanie, że to może nie być takie proste? — zapytał. — Jeśli jego sprzęt wizyjny jest tak zawodny w warunkach ziemskich, to bez wątpienia boryka się on również z innymi problemami.

Przerwał na chwilę, przetarł krótko czoło i dodał:

— Stawiam mój doktorat, że dla naszego przyjaciela jesteśmy równie dużym problemem, jak on dla nas. Wiemy, że jest zdolny do komunikacji radiowej, za pomocą głosu. Ale jak dotąd wszystko, co był w stanie zakomunikować, to fakt, że potrafi kpić z naszych rozmów, jak papuga.

— Hej! — zawołał Truck, który uważnie się przysłuchiwał. — To znaczy, że on nie rozumiał tego, co mówiliśmy.

— Co ty o tym myślisz? — spytał Parsons żonę.

Candace odpowiedziała:

— Wiesz, może to głupie, ale przychodzi mi do głowy pewien film, który kiedyś oglądałam - w którym odkrywca na obcej wyspie musiał nauczyć się dogadywać z tubylcami, wskazując na różne rzeczy, a następnie powtarzając w kółko ich odpowiedniki w mowie. Tubylcy postępowali tak samo.

— Widziała pani to raz? Ja widziałem ten film ze sześć razy — wtrącił Truck. — Facet bez przerwy wskazywał na drzewa i skały, a następnie opisywał je po angielsku.

Hal Parsons w ślad za wyrzuconym papierosem posłał resztę paczki.

— Pewnie mówicie o Robinsonie Crusoe! — wybuchnął. — Ale, po raz kolejny, Truck, ty i Candace możecie mieć rację. Podstawowy problem polega na tym - nie sądzę, by udało nam się przekazać zbyt wiele informacji, gdy nasz kolega będzie jedynie tak ślepił dokoła. — Przerwał na chwilę, po czym dodał ze zmarszczonym czołem: — Jest tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

Wrócili do jeepa. Truck zaczął ładować akumulator, podczas gdy Parsons uruchomił radio. Tym razem nie musiał odzywać się jako pierwszy. Gdy tylko urządzenie zaczęło działać, usłyszał w słuchawkach swój własny głos, powtarzający:

— Kto tam jest? Halo!.. Kto mówi? Halo?

Parsons odpowiedział:

— Witaj. Właśnie cię obserwowaliśmy.

Po chwili nadeszło z powrotem:

— Witaj. Właśnie cię obserwowaliśmy.

I trwało to tak, irytująco, frustrująco - bezrozumne powtórzenie za bezrozumnym powtórzeniem. W końcu, tak jak poprzednio, Parsons musiał zdegustowany dać sobie spokój.

Candace wyciągnęła z zapasów ekspedycji suche papierosy i razem z Halem wypalili je w milczeniu, pod osłoną dachu jeepa. Truck, który był w trakcie treningu, nie dołączył do nich. Była to pełna wilgoci, zniechęcająca chwila oddechu w trudnej sytuacji.

W końcu Candace powiedziała:

— Pamiętajcie o Valley Forge¹. Zawsze najciemniej jest przed świtem.

¹ Valley Forge – dolina, około 40 kilometrów na zachód od Filadelfii, gdzie generał Jerzy Waszyngton i jego żołnierze obozowali zimą w czasie trwania wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Było to ciężkie doświadczenie dla Armii Kontynentalnej (przyp. tłum.).

— Szczerze mówiąc, teraz wolałbym raczej nie rozpraszać się na rozmyślania o Valley Forge — stwierdził Parsons z niezadowoleniem. — Jeśli to stworzenie nie jest w stanie nas zrozumieć dopóki nas nie zobaczy, a nie może nas zobaczyć, to jak, do diabła, my mamy je zrozumieć? Myślę, że lepiej będzie, jeśli sprowadzimy pomoc z zewnątrz – jeśli nam się uda. No dobra, z tym znowu mamy pod górkę.

— Może nie — wtrącił Truck. — Posłuchajcie.

Usłyszeli słaby warkot silników samolotu, który przebijał się przez chmury i stawał się coraz głośniejszy. Parsons odrzucił papierosa i powiedział:

— Chodź, Truck. Jedziemy z radiem.

To był znowu generał, zaniepokojony tym, jak im idzie. Parsons opowiedział mu zwięzłymi słowami. Truck uniósł wzrok znad swojej pracy przy baterii i rzucił:

— Dochodzimy do czegoś, szefie?

W odpowiedzi został nagrodzony gestem zamknięcia ust.

Parsons powiedział:

— Wiem, że to trudne. Ale musicie jakoś do nas dotrzeć. Co pan powie na pomysł zrzuć kilka filologów na spadochronach?

—Może będziemy musieli to zrobić — brzmiała odpowiedź. — Jednak tylko w ostateczności. Do diabła z tym deszczem! Ale idzie panu dobrze, panie profesorze. Niech pan się trzyma.

I to było na tyle. Trójka ludzi, która powoli przemieszczała się po zmokniętym zboczu wzgórza od jeepa do obcego, była w bardzo ponurym nastroju. Powoli obeszli kosmitę dookoła, a następnie stanęli przed nim, przyglądając się, teraz nieco spokojniej, dysko-podobnym, zbyt płaskim soczewkom, które znów zrobiły się nieprzezroczyste.

— Zastanawiam się, czy on w ogóle widzi nas z tej odległości — rozmyślał Parsons. Potem wygłosił niewiele wnoszącą do sprawy uwagę: — Kto by pomyślał, że przy tych wszystkich zasobach współczesnej nauki i Sił Powietrznych, może ich zastopować niewielki deszczyk.

— To nie jest niewielki deszczyk — zauważyła Candace, która przysłuchiwała się rozmowie męża z generałem przez jedną słuchawkę. — To bardzo duży deszcz – i spowodował on zamęt w całej okolicy. Gleba i miejscowe formacje skalne nie są przyzwyczajone do takich ilości wilgoci. Po prostu nie są w stanie tego wytrzymać.

— Miejmy nadzieję, że my jeszcze trochę to wytrzymamy — powiedział Parsons, obejmując ją ramieniem i ściskając ją.

— Nie, kochanie — odparła. — Ja w tej chwili po prostu nie jestem w stanie tego wytrzymać.

— Hej! — zawołał Truck, który przyglądał się potworowi odrobinę z boku. — Patrzcie tylko! Coś się dzieje!

IX

Jak zwykle rozwiązanie okazało się śmiesznie proste, kiedy już podróżnik o nim pomyślał. Większość drzwi w kadłubie otwierała się na zewnątrz i wszystkie były sterowane elektrycznie. Miał idealną kontrolę nad prądem dostarczonym do ich silników. Wiedział, że jeśli nie zatrzaśnie jednych lub paru drzwi, tylko po prostu zamknie je za pomocą silników, będzie mógł bezpośrednio wyczuć wielkość wysiłku potrzebnego do utrzymania ich szczelności w stosunku do ciśnienia wewnętrznego na statku.

Jeśli chodzi o niego, było to rozwiązanie czysto ilościowe - jeśli ciśnienie będzie rosnęło. Gdyby spadło - no cóż, dowie się o tym po dodatkowym wysiłku potrzebnym do otwarcia drzwi. Skoncentrował się teraz na najdrobniejszych szczegółach - i to bardzo dokładnie.

Przy jego urządzeniach, działanie mogło podążać za pomysłem bez żadnych opóźnień. W chwili, gdy doszedł do swojego rozwiązania, z boku wielkiego metalowego jaja, którym kierował, otworzyły się drzwi, i do środka wlało się ziemskie powietrze. Mimo że jego uszczelnienia były dobre, po tysiącletnich spędzonych w kosmosie statek nie zachował w swym wnętrzu żadnych znaczących śladów gazu.

Nie zawracał sobie głowy, opracowaniem planu zwabienia jednej z maszyn przez otwór. Założył, całkiem słusznie, że każdy inteligentny umysł musi mieć w sobie sporą dozę ciekawości. Fakt, że instynkt samozachowawczy może przeciwstawić się temu wpływowi, nie miał, o ile agent wiedział czy nawet podejrzewał, zastosowania w obecnej sytuacji. Ryzyko poświęcenia nawet drogiej zdalnie sterowanej maszyny powinno być warte podjęcia w takich okolicznościach. Po prostu zaczął, aż jedno z urządzeń dostanie się do jego statku.

Zanim jednak to nastąpiło, między obecnymi maszynami i, jak przypuszczał, odległym nadawcą, wywiązała się spora konwersacja - o ile oczywiście można było to nazwać konwersacją. Agent wciąż nie był w stanie pogodzić tego przypuszczenia z brakiem inteligentnego życia w znajdującej się koło niego grupie.

W końcu jednak nastąpiło spodziewane wydarzenie. Jedna z maszyn obróciła się i ruszyła w kierunku otworu w kadłubie. Tuż przed nim zatrzymała się, a agent domyślił się, że nastąpiła krótka wymiana fal ciśnienia atmosferycznego, choć jego manometry nie zareagowały wystarczająco szybko, aby ją wychwycić. Następnie maszyna weszła do środka.

Poruszała się na czterech podporach zamiast na dwóch. Przyjęła poziomą pozycję i przemieszczała się na ruchomych podporach. Najwyraźniej górne, które agent widział, mogły być używane również do poruszania się, kiedy było to potrzebne. Jej wejście na statek było wolniejsze niż zwykłe tempo ruchu tych maszyn, choć agent nie potrafił sobie wyobrazić, dlaczego. Sugestia, że wolniejszy ruch ułatwia obserwację szczegółów, nigdy nie przyszłaby do głowy istocie, której percepcja i rejestracja wykonywanych operacji, zajmowały ułamki mikrosekund. Niezależnie od przyczyny opóźnienia, w końcu maszynie udało się dostać do środka.

Agent nie tracił czasu. Gotów do podjęcia obserwacji wszystkiego, co się wydarzy, zamknął właz.

Wyniki, jak na jego standardy czasu reakcji, były powolne - dodatkowy dowód na to, że w grę musiało wchodzić zdalne sterowanie. Jednostka elektromagnetyczna maszyny zaczęła działać w tej samej chwili, gdy wszystko zaczęło się dziać. Niektóre z maszyn na zewnątrz zaczęły stukać w kadłub jakimiś trudnymi do rozpoznania stałymi fragmentami gleby, zdaje się kawałkami skał krzemianowych. Agent próbował znaleźć w tych uderzeniach jakieś prawidłowości, które można by zinterpretować jako kod komunikacyjny. Nie udało mu się.

Jedna z maszyn, stojąca w niewielkiej odległości, ustawiła jakiś przymocowany do niej metalowy element, tak by wydrążony cylinder - stanowiący jego część - znalazł się w jednej linii z kadłubem. Po dłuższej chwili dalszy koniec cylindra wypełnił się gazem, wystarczająco mocno zjonizowanym, by przybysz mógł go wyraźnie wyczuć.

Gaz musiał znajdować się pod znacznym ciśnieniem, ponieważ niemal natychmiast zaczął się rozprężać, wypychając przed siebie mniejszy kawałek metalu, który zatykał cylinder. Kawałek ten stawał się coraz łatwiejszy do dostrzeżenia wraz ze wzrostem jego prędkości w polu magnetycznym planety.

Wyłonił się z bliższego końca cylindra z wystarczająco dużym pędem, aby przelecieć po niemal liniowej trajektorii, aż do zetknięcia się z kadłubem statku. Agent obserwował z rosnącym podekscytowaniem, jak spłaszcza się on, rozszerza i w końcu rozpada się na wiele drobnych kawałków. Niesamowite! Przeanalizował go, zarówno elektrycznie, jak i mechanicznie, na podstawie sposobu, w jaki się rozpadł. Nie potrafił jednak zrozumieć sensu tej operacji.

Po pewnym czasie stukanie ustało, a dwie z maszyn pozostających na zewnątrz zbliżyły się do siebie. Przez jakiś czas nie wykazywały żadnej wyraźnej aktywności.

Wewnątrz kadłuba miały miejsce ciekawsze, być może bardziej zrozumiałe wydarzenia. W chwili, gdy drzwi się zamknęły, uwięziona wewnątrz maszyna spróbowała się wycofać. Jej działanie było nieco szybsze niż tych, które wciąż znajdowały się na zewnątrz. Agent nie mógł się zdecydować, czy oznaczało to, że reakcja na ucieczkę była automatyczna, czy też odległy kontroler najpierw zwrócił uwagę na uwięzioną maszynę.

Uderzała agresywnie w wewnętrzną stronę drzwi, w ten sam z pozoru bezplanowy sposób, co jej towarzysze. Następnie zwolniła i zaczęła poruszać kolejnym z dziwnie ukształtowanych kawałków metalu rozmieszczonych wokół swojej ramy. Nagle stało się wyraźnie wyczuwalne, że przez pewne części jej konstrukcji zaczął przepływać prąd elektryczny.

Źródłem prądu był, jak się wydawało, niekończący się zapas jonów metalu - najwyraźniej jednak energię chemiczną można było do czegoś wykorzystać. Funkcja prądu była mniej oczywista, ponieważ przepływał on przez przewodnik, którego największy opór był skoncentrowany w ciasnej metalowej spirali.

Spirala musiała być w jakiś sposób chroniona przed tlenem atmosferycznym, ponieważ, choć z pewnością osiągnęła dosyć wysoką temperaturę - jeśli ta chmura jonów wokół niej cokolwiek znaczyła, to jednak pozostawała nieuszkodzona. Rozgrzanie drutu wydawało się wszystkim, co osiągnęło to urządzenie - agent nie mógł uwierzyć, że chmura jonów była wystarczająco intensywna, aby jakoś pomóc maszynie w działaniu lub percepcji. Emitowane światło i ciepło były niewielkie, ale... chwila! Może to było to - może ta maszyna miała oczy!

Agent dokładniej zbadał urządzenie elektryczne i odkrył, że część jego nienaładowanej elektrycznie konstrukcji składała się z w przybliżeniu paraboloidalnego kawałka metalu, który z pewnością musiał być w stanie skupić światło w swego rodzaju wiązkę.

Kilka chwil później stało się oczywiste, że tak właśnie się stało. Ciało agenta było w tej części statku w kilku miejscach odsłonięte i raz po raz jakaś jego część była oświetlana, podczas gdy reszta pozostawała w mniej lub bardziej całkowitej ciemności. Co więcej, kilkuminutowa obserwacja wykazała, że gdy maszyna w ogóle się poruszała, podążała w kierunku, w którym w danym momencie skierowana była wiązka światła.

Czasami nie poruszała się, choć wiązka światła przesuwiała się po komorze. Agent wywnioskował z tego jedną z dwóch rzeczy. Albo urządzenie miało kilkoro oczu, albo to jedno, które miało, było ruchome w praktycznie całej sferze możliwych kierunków. Maszyna dokonywała uporządkowanego przeglądu wnętrza przestrzeni, w której została uwięziona. Ostrożnie powstrzymywała się jednak od dotykania czegokolwiek poza podłogą, na której stała.

To, że część tej podłogi składała się z tkanki agenta, nie robiło różnicy dla żadnej ze stron - o ile którakolwiek z nich o tym wiedziała. Agent zaczął się jednak zastanawiać, jak wiele z odsłoniętej maszynerii statku będzie zrozumiałe dla przypuszczalnego odległego obserwatora.

Co więcej, zastanawiał się, w jaki sposób ten domniemany obserwator utrzymywał kontakt ze swoją maszyną. Przez jego kadłub nie przedostawała się żadna energia - w jakiegokolwiek formie, którą agent potrafiłby wykryć - ani do, ani od uwięzionej maszyny. Niewielkim wyjątkiem mogły być fale ciśnienia generowane przez kamienie uderzające w kadłub. Ale nie udało mu się znaleźć w tych uderzeniach żadnego wzorca, a tym bardziej takiego, który mógłby być skorelowany z działaniami maszyny znajdującej się w środku.

Naturalnie agentowi Służby Utrzymania nie mogła nie przyjść do głowy myśl, że być może maszyna jest urządzeniem automatycznym, podobnym do robotów-kretów. Jeśli tak było, to jej obecne zachowanie było o wiele bardziej skomplikowane niż jakiejkolwiek maszyny tego typu, z którą kiedykolwiek w życiu się spotkał. Ale chwileczkę - już wcześniej musiał zmierzyć się z konsekwencjami tego pomysłu. A więc technologia tej planety pod pewnymi względami była bardziej zaawansowana niż jego własna. Wciąż były jednak sprawy, o których tubylcy nie wiedzieli - sprawy, które z pewnością by im zaszkodziły. Wszelkie obawy, jakie mógł odczuwać o swoje bezpieczeństwo, tonęły w tej poważniejszej trosce.

Zastanawiał się, czy byłby w stanie tak wykorzystać jakiekolwiek własne urządzenia, aby przekazać więźniowi jakąś wiadomość. Z pewnością, jeśli używał on światła jako nośnika percepcji, mógłby wykryć ruch ze strony przekaźników. Na przykład - były one sporo większe niż długość fali promieniowania, które emitował z największą siłą gorący drut.

Na kilkudziesięciu metrach kwadratowych wystawionych na bezpośrednie działanie wzroku więźnia, było ich kilkaset tysięcy, co powinno wystarczyć do uformowania jakiegoś wzorca. To znaczy, jakiegoś wzorca, jeśli ich właściciel będzie w stanie wymyślić, jak je ustawiać nie powodując niewłaściwego funkcjonowania statku.

Wciąż zastanawiał się nad tym problemem, do spółki z pytaniem, co mogłoby być znaczącym wzorcem dla operatorów sterujących maszyną, kiedy jego uwaga została ponownie skierowana na zewnątrz.

Znajdujące się tam maszyny zdawały się zdecydować na konkretny sposób działania. Ponownie zbliżyły się do kadłuba i zaczęły robić z nim coś, czego na początku nie mógł do końca zrozumieć. Szybko jednak stało się to oczywiste. Zaczęła gwałtownie spadać jasność obrazów odbieranych przez oczy, na które naturalnie i tak zwracał bardzo niewiele uwagi. Po około minucie ich soczewki przestały w ogóle przekazywać jakikolwiek obraz.

Jego „zmysł” dotyku składał się w znacznej części z umiejętności analizowania reakcji kadłuba statku na impulsy wibracyjne, które przez niego wysyłał. Jeśli takie impulsy były wiernie powtarzane, mógł być pewien, że żadna masa nie pozostaje w kontakcie z powierzchnią. Z drugiej zaś strony, jeśli były w jakimkolwiek stopniu tłumione, mógł sformułować dosyć dokładne wyobrażenie o wielkości, a nawet niektórych właściwościach fizycznych takiej masy.

W tym przypadku niemal natychmiast odkrył, że soczewki jego oczu zostały pokryte jakąś bardzo osobliwą substancją. Nie tylko że ściśle do nich przylegała, ale zdawała się pochłaniać bez zauważalnej reakcji te same wibracje, które sprawiały, że ziemia tańczyła, usuwając się mu z drogi, jak pyłki letniego kurzu na wietrze. Nie przeszkadzało mu to szczególnie, ponieważ oczy i tak były prawie bezużyteczne do obserwacji maszyn. Wciąż jednak próbował strząsnąć z siebie użyty materiał, zastanawiając się nad wnioskami wynikającymi z tego posunięcia.

Jeden z nich wiązał się z tym, iż maszyny polegały na zmyśle wzroku w znacznie większym stopniu, niż wcześniej to podejrzewał, i musiały przypuszczać, że on również. Innym był fakt, że zamierzały one podjąć jakieś działania, co do których nie chciały, aby je obserwował. Nie martwił się niczym, co mogłyby zrobić z jego statkiem, ale zaczął bardzo uważnie nasłuchiwać ich kroków.

Inna możliwość polegała na tym, że po prostu nie chciały, aby odleciał z przechwyconą maszyną. Dla rasy uzależnionej od wzroku, bez wątpienia pomysł latania z zasłoniętymi oczyma, był nie do pomyślenia. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie powinien przesunąć się o kilkaset metrów, aby zobaczyć, jaki wpływ na nich będzie to miało. Wtedy jednak jego uwagę przykuły czynności, które już zaczęły wykonywać i odłożył ten pomysł na półkę. Zaniepokoiła go nagła zmiana ich planów.

Dwie z maszyn opuszczały jego sąsiedztwo, kierując się mniej więcej w stronę drugiego emitera elektromagnetycznego. Biorąc pod uwagę trudności, z jakimi najwyraźniej borykały się te maszyny, podróżując po nierównym terenie, agent był raczej pewny, że to był ich cel. Druga dwójka pozostała blisko niego i spoczywała we względnym bezruchu. Pocieszał się myślą, że jakikolwiek plan próbują one zrealizować, może on potrzebować odrobinę czasu, aby dojrzeć.

Być może oddalające się maszyny szukały jakiegoś dodatkowego sprzętu, choć wydawało się, że ich cel można by osiągnąć szybciej, wysyłając inne maszyny z punktu sterowania. Możliwe było jednak, że żadne inne nie były dostępne - byłoby to całkiem prawdopodobne nawet na każdej z planet jego rasy, gdzie aż jedna osoba na pięćset została wyposażona w maszyny, a ponad połowa z nich była niezdolna do poruszania się. Na tę myśl rozpierała go duma, lecz odrzucił ją jako niegodną.

Jego monolog wewnętrzny został przerwany przez coś, co nie przydarzyło mu się od czasu, gdy jego statek po raz pierwszy wystartował z planety, na której został zbudowany. Sam incydent był niewielki, ale jego konsekwencje już nie. Wibracje kadłuba, które wciąż wysyłał w pobliżu wszystkich swoich znajdujących się nad ziemią oczu, zatrzymały się w pobliżu jednego z nich.

To nie on je zatrzymał. Polecenie kontynuacji ich starannie zaplanowanego wzorca ruchowego, wciąż płynęło wzdłuż jego nerwów. Powinno to wywoływać odpowiednią reakcję w dosyć dużej grupie przekazników. Coś poszło nie tak i wywołało to nagły kryzys w jego myślach.

Statek oczywiście wyposażony był w fantastyczną liczbę obwodów testowych, i natychmiast zaczął korzystać z ilu tylko się dało. Około trzech milisekund zajęło mu odkrycie pewnego ważnego faktu. Wszystkie niedziałające przekazniki znajdowały się w pobliżu przedziału, w którym znajdowała się uwięziona maszyna. Bliższe sprawdzenie wykazało, że problem miał charakter mechaniczny – ich małe przełączniki

zablokowały się w pozycjach, w których znajdowały się w momencie wystąpienia usterki.

Co gorsza, paraliż stale się rozprzestrzeniał. Rozprzestrzeniał się z przerażającą szybkością. Podstawowa przyczyna nie była trudna do odgadnięcia, nawet jeśli szczegóły nie były oczywiste. Agent natychmiast odblokował drzwi odgradzające swojego jeńca od świata zewnętrznego i poczuł wdzięczność, że elementy sterujące nimi ciągle jeszcze działały.

Obiekt nie tracił czasu, wydostając się na zewnątrz, a pilot zmarnował go jeszcze mniej, bezpiecznie zamykając za nim drzwi. Na razie kompletnie ignorował to, co działo się na zewnątrz, starając się zaradzić swej dziwnej niesprawności. Nie pocieszała go myśl, że właśnie dowiedział się tego, czego chciał.

Jakieś ciało stałe zablokowało przełączniki - a dokładniej uformowało się wokół części ruchomych ich mikroskopijnych przełączników. Cokolwiek to było, musiało początkowo mieć postać gazu, ponieważ nawet w środku wyczułby ciężar cieczy. Większość wnętrza jego statku, a także jego własne ciało, było nadal znacznie zimniejsze niż planeta, na której spoczywał.

Najwyraźniej jeden z produktów wydechu zamkniętej maszyny, uwolniony w postaci gazu, zamarzł w każdym miejscu, gdzie tylko dotknął zimnej powierzchni. Mogła to być woda lub któryś z tlenków węgla. Agent ani tego nie wiedział, ani się tym nie interesował. Przystąpił do przepuszczenia jak największej ilości prądu przez wszystkie swoje obwody testowe, w celu wytworzenia wystarczającej ilości ciepła oporowego, aby odparować osadzony na nich materiał.

Proces ten trwał na tyle długo, że zaczął już poważnie wątpić w poprawność swoich wniosków. W końcu jednak zamrożone przełączniki zaczęły wracać do pracy. Mógłby przyspieszyć ten proces, wznosząc się na wysokość kilku mil i wystawiając swoje wnętrze na działanie obniżonego ciśnienia, a znał fizykę na tyle, by zdawać sobie z tego sprawę.

Fakt, że nie pomyślał o tym, zanim odparowywanie nie zostało niemalże zakończone, świadczył o szoku, jakiego doznał. Na szczęście dla własnego spokoju ducha, zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, co powstała w tym procesie ciekła woda, mogłaby zrobić z jego obwodami. Na szczęście, wytworzona w taki sposób, jak była, woda praktycznie nie zawierała rozpuszczonych elektrolitów i nie powodowała zwarcia.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że pozwolił odwrócić swoją uwagę od poczynąń pobliskich maszyn, na tak długi czas, iż mogło to być nierozsądne, i natychmiast wznowił nasłuchiwanie. Najwyraźniej jednak nadal nic nie robiły. Żadne impulsy sejsmiczne nie dochodziły z obszaru, w którym ostatnio je widział. To nieco uspokoiło jego umysł i powrócił do problemu materiału zakrywającego mu oczy.

Materiał ten zdawał się nieznacznie zmieniać swoje właściwości. Po pierwsze, jego elastyczność wzrastała, a zmiana wydawała się zachodzić szybciej po stronie, z której nadciągały prądy powietrzne. Agent nawet nie potrafił tego wytłumaczyć. Wypróbował różne wzorce wibracji na kleistym materiale, manipulując nimi z wprawą artysty - lecz minęło dużo czasu, zanim odniósł jakikolwiek sukces.

W końcu jednak drobny płatek materiału pękł i odpadł - i mógł naprawdę widzieć! Naprawdę mógł zobaczyć, co tam się działo!

X

Aby zrozumieć to wszystko, co wydarzyło się wokół obcego, aby przenieść to na zrozumiały dla ludzi poziom, obserwator całości wypadków musiałby cofnąć się do wcześniejszego wydarzenia, które związane było z Truckiem.

Gdy Truck zawołał, zdecydowanie coś zaczęło się dziać z przybyszem z kosmosu. Podążając wzrokiem za palcem wskazującym młodego sportowca, Parsonsowie ze zdumieniem zauważyli, że część kulistego metalowego korpusu powoli i systematycznie się otwiera - lub jest otwierana.

Otwór był okrągły, miał może dwie stopy średnicy, a jego sposób pojawienia się wyglądał nadspodziewanie prosto jak na istotę lub maszynę zdolną do lotów międzygwiazdnych. Część całego lub tylko zewnętrznej powierzchni kadłuba statku, po prostu otworzyła się i zawisła na zewnątrz - najwyraźniej na jakichś zawiasach.

— Jakby mu spadły majtki — mruknęła Candace, którą natychmiast uciszyło pełne wyrzutu spojrzenie męża.

Jego twarz pozostawała niezmieniona.

— Wiem, o czym myślisz — powiedział jej. — To wydaje się zbyt proste. Ale weź jedno pod uwagę. Każdy obcy używający takiego urządzenia na obcej planecie, musi mieć cholernie duże możliwości ochrony samego siebie.

— Może to śluza powietrzna — zasugerował Truck.

— Być może — zgodził się Hal Parsons, — ale nie stawiałbym na to. To może być cokolwiek. Nie wiemy wystarczająco dużo o naturze tego... — Przerwał, gdy Candace chwyciła go za rękaw. — O co chodzi, moja droga? — zaczął się dopytywać.

— Hal, kochanie — wykrztusiła, a panika ogarnęła ją niczym strumień wody o wiele zimniejszy niż górski potok. — Hal, kochanie, myślisz, że to coś wychodzi?

— Ono? — zauważył Truck. — Dlaczego nie oni? Dlaczego nie małe zielone ludziki, o których mówił ten gość z góry?

Parsons wpatrywał się z niepokojem w otwór, próbując przeniknąć panującą wewnątrz ciemność. Niczego jednak nie dostrzegł - nawet cienia, który zbliżałby się w ich stronę lub unosił się bez ruchu w mroku. Popatrzył dziwnie na Trucka, po czym zaczął prowadzić żonę w stronę jeepa.

— Chodź, Candace — powiedział. — Lepiej weźmy strzelbę z przyczepy - tak na wszelki wypadek.

Candace zawahała się na chwilę. Była samodzielna, na wskroś nowoczesną kobietą, dumną ze swojej zdolności do radzenia sobie równie dobrze, jak każdy mężczyzna, w prawie każdej sytuacji. Ale jej pewność siebie rozpadła się, gdy ponownie popatrzyła na obcego - ogromnego, kulistego, nieprzeniknionego - ze złowieszczo rozdziawionym wejściem na jednym z boków. To ewidentnie nie była sytuacja, do której należało podchodzić z lekkomyślną pewnością siebie.

Odparła bardzo łagodnym głosem:

— Dobrze, kochanie.

Parsons dodał:

— Lepiej trzymaj się blisko nas, Truck.

— Chcę zobaczyć, co tam się dzieje — oznajmił MacLaurie swym spokojnym, niskim głosem. — W każdym razie nie sądzę, by nasz mały kumpel chciał nam wyrządzić krzywdę.

— Jak na to wpadłeś? — zapytał ostro Parsons.

— Gdyby chciał nas skrzywdzić, zrobiłby to już dużo wcześniej — zabrzmiała rozsądna odpowiedź Trucka.

— Nie bądź głupi, Truck — stwierdziła Candace ponagląjącym tonem.

— Być może, zanim otworzył te drzwi, tylko nas zmiękczał.

Truck uciszył ją słowami:

— Mam wrażenie, że ostatnio czyta pani za dużo science-fiction, pani Candace.

— Więc zaczekaj i nic nie rób, dopóki nie wrócimy — rozkazał Hal. Do żony powiedział przyciszonym głosem: — Ja też niechętnie go tu zostawiam. Ale on już podjął decyzję, a lepiej żeby ktoś miał oko na obcego.

— Jeśli nie robi niczego więcej — mruknęła Candace.

— Co takiego? — zaczął dopytywać się jej mąż. — Co masz na myśli?

— Nic, kochanie — odpowiedziała. Lecz jej niepokój był tak wielki, że po drodze do przyczepy kilkakrotnie oglądała się za siebie. Na szczęście dla jej spokoju ducha za każdym razem, gdy spoglądała, sytuacja pozostawała bez zmian. Truck wciąż stał na swoim miejscu, z rękami przy pasie, z głową przechyloną nieco na bok, spoglądając na groźne, szeroko otwarte drzwi.

— Lepiej się pośpiesz, kochanie — ponagliła męża, gdy zbliżyli się do jeepa. — W każdej chwili może się wydarzyć coś, z czym nie będziemy mogli sobie poradzić!

— Jak dotąd, wydarzyło się cholernie mało — chrząknął Parsons. — Zaczynam żałować, że obcy jednak nie zrobił czegoś groźnego. Ten impas działa mi już na nerwy.

— Nie martwię się tak bardzo tym, co może zrobić obcy — stwierdziła Candace. — Przynajmniej nie w tej chwili. Przeraża mnie raczej to, co może zrobić Truck.

Hal popatrzył na nią sceptycznie. Mimo to przyspieszył tempo swych ruchów. Wyciągnął spod plandeki winchestera, włożył do kieszeni spodni pudełko naboji i niemal biegiem ruszył z powrotem w stronę wzgórza.

Pokonali już dwie trzecie drogi do celu, gdy Candace, depcząc mu po piętach, ponownie chwyciła go za ramię i powiedziała:

— Hal, on to robi. Zamierza wejść do środka.

Parsons zatrzymał się i krzyknął:

— Truck! Nie ruszaj się! Słyszysz mnie? Nie zbliżaj się do wejścia, dopóki tam nie dotrzemy!

Gdy spoglądali po sobie przerażeni, Truck MacLaurie obejrzał się na nich przez ramię. Przez chwilę w deszczu błysnął jego uśmiech. Następnie wystartował z powolnością maskującą szybkość, z jaką się poruszał – sztuczka, której jego przeciwnicy na boisku futbolowym nauczyli się obawiać – podążając prosto w kierunku okrągłych, otwartych drzwi na boku obcego, chwycił się brzegów otworu, podciągał przez chwilę lub dwie, i zniknął w środku.

Chwilę później przez deszcz dobiegł do nich jego głęboki głos.

— Nic mi nie jest! — krzyknął. — Nie martwcie się!

I właśnie wtedy, bez żadnego dźwięku czy ostrzeżenia, otwarte drzwi na boku obcego zatrzasnęły się, zamykając Trucka w środku.

Hal i Candace wymienili przerażone spojrzenia i zaczęli biec w kierunku statku. Candace popędziła ostrym sprintem, potykając się i sapiąc, prosto w stronę zamkniętego wejścia. Uderzyłaby pięściami w metalową barierę, gdyby Hal jej nie powstrzymał.

— Spokojnie — oznajmił tonem, który sugerował spokój utrzymywany tylko z największym wysiłkiem. — Spokojnie, kochanie. Nie ma sensu, byśmy wszyscy wpadli w pułapkę, dopóki nie zobaczymy, co można z nią zrobić.

— Ale ja go słyszę! — zawołała.

I w tym momencie rzeczywiście dało się słyszeć odgłosy czegoś uderzającego o wnętrze obcej pułapki.

— Spokojnie, kochanie — powtórzył Hal.

Nadal ją powstrzymywał, aż w końcu poddała się, a twarz zbieleła jej z przerażenia pod oblepiającym ją błotem. Następnie podniósł kilka luźnych kamieni i uderzył nimi mocno, raz za razem, w część kadłuba, w której otworzyły się drzwi.

— Próbowałam ci powiedzieć, że nie powinniśmy byli go zostawiać — wybuchła, rozglądając się szaleńczo za jakimiś kamieniami, którymi mogłaby walić w obcego. — Kochanie, jesteśmy za niego odpowiedzialni. Powinniśmy zmusić go do pójścia z nami.

— Teraz, trochę już na to za późno, kochanie — odparł Parsons, oddychając ciężko i rzucając kolejnym kamieniem.

W środku obcego statku Hal poczuł się przez chwilę jak larwa owada o miękkim ciele, okrutnie uwięziona w metalowym kokonie. Impuls, który pchnął go do wejścia przez drzwi, był nie do odparcia. Jeszcze zanim Parsonowie dali mu szansę, przyszło mu do głowy, że jeśli obcy statek oferujący takie zaproszenie odleci bez kontaktu, będzie tego żałował do końca życia.

Bardziej niż cokolwiek innego motywowała go myśl o tym, co pewna rudowłosa dziewczyna z kampusu Montana Mines może mieć do powiedzenia na ten temat. Jeśli chodzi o tę dziewczynę, konkurencja była duża – i z tego, co Truck czuł w tej chwili, zajęcie drugiego miejsca uczyniłoby jego życie trudnym do zniesienia.

Próbował pamiętać o niebezpieczeństwie i głupocie nie posłuchania ostrzeżeń Parsonsa. Ale - co miało miejsce nawet w przypadku profesorów - Truck rzadko zaprzętał sobie głowę słowami różnego poziomu kadry nauczycielskiej college'u. Dla Trucka, Parsons był podobny do większości wykładowców, miał skłonność do zachowywania przesadnej ostrożności prawie we wszystkim. Fajny facet, ale cholernie ostrożny.

Były tam drzwi, był tam Truck - a więc rezultat był nie do uniknięcia, tak jak to przewidziała Candace. Truck nie przypuszczał jednak, że jego gospodarz zdecyduje się tak szybko zatrzaskać za nim drzwi.

W środku było ciemno i zimno. Było zimno, przesywający do kości chłód, bezosobowy w charakterze, przypominający naszemu gladiatorowi pomieszczenie magazynowe w firmie pakującej mięso w Arizonie, gdzie dostał pracę na lato, dwa sezony temu. Przez jedną straszną chwilę poczuł upiorną myśl, że jest poddawany jakiemuś procesowi mocnego zamrażania, po którym zostanie zabrany na ojczystą planetę swojego zimnolubnego gospodarza, gdzie zostanie rozmrożony i poddany laboratoryjnej sekcji.

Zbawcza pamięć przypomniła mu, iż zaledwie kilka minut wcześniej bezlitośnie zrugął Candace za to, że czytała zbyt wiele magazynów science-fiction. Teraz, jak się okazało, przysłowiowy kocioł przyganiał garnkowi - a sam smolił. Być może ona czytała zbyt wiele takich historii, ale on zbyt wiele ich przeżył - dokładnie o jedną za dużo.

Lecz ten przelotny kaprys pamięci przywrócił go do stanu, który przekształcił się w dosyć rozchwiany, jednak zawsze rozsądek - a rozsądny Truck MacLaurie, nie był może jakimś umysłowym gigantem, ale w potrzebie zdolny był do sprawnego myślenia i działania. Uświadomił sobie, że jego otoczenie, choć nieprzyjemnie zimne, nie miało wystarczająco niskiej temperatury, by go szybko zamrozić. Proces ten musiałby trwać bardzo długo. Mógłby być nieprzyjemny, ale oferował pewne możliwości ucieczki.

Zastanawiał się, jak wygląda jego otoczenie i natychmiast przypomniał sobie, że przecież tego samego ranka włożył do kieszeni spodni latarkę, na wypadek, gdyby musiał pracować z baterią radiową całkowicie schowaną pod plandeką jeepa, aby nie zamokła. W ciągu dwóch sekund wyjął i włączył latarkę i zaczął przyglądać się dziwnej celi, w której wydawał się być uwięziony.

Tego samego roku, wcześniej, jeden z jego współlokatorów, który był kimś w rodzaju elektryka, rozebrał na części telewizor w domu bractwa. Krótkie spojrzenie Trucka na tę z pozoru nieskończoną i niezrozumiałą płataninę przewodów, w ich różowych osłonkach izolacyjnych, przywiodło mu do głowy wizję ula zaatakowanego przez armię różowych robaków.

Teraz odniósł podobne wrażenie - z tą różnicą, że robaki wydawały się być wykonane z białego metalu, srebra lub platyny, a płatanina była jeszcze większa. Nachylił się nad panelem skomplikowanego okablowania, który wyglądał jakoś mgliście znajomo, po czym podskoczył, gdy z zewnątrz kadłuba rozległo się uderzenie. Po nim szybko nastąpiło kolejne.

„Stary, dobry doktor!” — pomyślał i walił w odpowiedzi, aż zaczęła go boleć ręka. Rozważał użycie w tym celu latarki, ale zdecydował się tego

nie robić. Łomotanie ustało, a on zaczął się zastanawiać, jak czuł się Jonasz w brzuchu wieloryba, nie mając nawet latarki.

„Lepiej będzie się trochę poruszać” — powiedział sobie, gdy poczuł gęsią skórę na przedramionach — „i przy okazji trochę się tu rozejrzeć. Dobrze by było spróbować coś zrobić, żeby ten wieloryb poczuł się na tyle chory, aby mnie wymiotować...”.

Na zewnątrz Hal i Candace Parsonsowie rozpoczęli ponure próby zrobienia czegokolwiek, podczas których Hal przygotowywał się, aby zobaczyć, jaki efekt przyniesie wystrzał ze strzelby.

— Obawiam się, że nie na wiele to się zda — ponuro stwierdził, wsuwając nabój do komory. — Myślałem, że gdyby zaszła taka potrzeba strzelba raczej może przydać się przeciwko temu, co wyjdzie ze statku, a nie przeciwko temu berylowemu jaju, czy cokolwiek to jest.

— No to może lepiej nie strzelaj — powiedziała Candace. — Możesz spowodować, że ono robi coś drastycznego. Możesz sprawić, że zabije Trucka albo ucieknie razem z nim.

— Z drugiej strony — odparł Hal, starając się wycelować w jeden z niewidocznych zawiasów okrągłej zapadni na boku statku — nie sądzę, bym mógł tego stwora poważnie zranić. Ale może uda mi się go zirytować i zmusić do ponownego otwarcia tego przeklętego włazu.

Pociągnął za spust, i mogli zobaczyć, nieco zrozpaczeni, jak stalowy pocisk roztrzaskuje się o nieprzenikalny kadłub statku. Ku ich uldze, nie spowodowało to żadnej reakcji obcego. Ale z wnętrza wielkiego globu nie dochodziły już żadne odgłosy.

— Musimy sprowadzić pomoc — oznajmił cichym głosem Hal, chowając strzelbę do płóciennego pokrowca, zanim deszcz zdążył ją uszkodzić. — Ta sytuacja wymknęła się spod kontroli. Nie obchodzi mnie, ilu naukowców połamie sobie karki, gdy zrzucą ich przez warstwę chmur. Nie możemy stać bezczynnie i zostawić tam uwięzionego Trucka.

— Oczywiście, że nie możemy — zgodziła się Candace. — Cieszę się, że tak bardzo ci na nim zależy. Obawiałem się, że działał ci on na nerwy.

— Oczywiście, że działał mi na nerwy — odparł Hal Parsons nieco gderliwie. — Ale to nie znaczy, że nie polubiłem tego wielkiego... — Przerwał, dokończył nabijanie karabinu i dorzucił krótko. — Chodźmy... ruszajmy stąd. Zanim to zrobimy, upewnijmy się, że oczy naszego kolegi - jeśli to faktycznie są jego oczy - nie będą widzieć tego, co zrobimy.

— Jak masz zamiar zawiązać oczy gigantycznej piłce baseballowej? — spytała Candace.

— Wszystkim, co znajdę pod ręką — odpowiedział jej mąż. — Całkiem nieźle rzucasz kamieniami. Zobaczmy, jak ci idzie rzucanie błotem.

Pokazał jej, co miał na myśli, a błota było naprawdę mnóstwo w zagłębieniach na zboczu wzgórza, które zostało zamienione w wielki magazyn błota, przez potop wywołany przez obcego. Zajęło im około pięciu minut, zanim „przód” obcego został całkiem nieźle otynkowany, podobnie jak jego „oczy”. Kiedy praca została zakończona, szybko wrócili do jeepa i radia.

— Będiesz musiała kręcić korbą, moja droga — powiedział do Candace. — To ja rozmawiałem z tymi ludźmi i nie ma sensu...

— Oczywiście — przerwała mu Candace. — Kochanie, boję się. Przypuszczasz, że ten stwór już...?

Przerwała i oboje stanęli jak wryci. Zza pleców, z odległości stu metrów, doleciał do nich znajomy głos. Nie mogąc uwierzyć własnym uszom, wymienili na wpół wystraszone spojrzenia, po czym powoli odwrócili się w stronę jego źródła. Był to Truck, wymachujący rękoma i zbliżający się do nich kłusem.

— Nie wiem dokładnie, co się stało — brzmiała jego odpowiedź na pytanie, które zadali mu oboje jednocześnie, kiedy tylko ich dogonił. — Nagle - chwilę po waszym strzale - otworzyły się drzwi i uciekłem stamtąd tak szybko, jak tylko mogłem.

— Jak tam było? — spytała Candace. — To musiało być straszne.

— Nie wiem — odparł Truck. — Było w zasadzie ciekawie... ale, Jezu, było naprawdę zimno! Niemalże zamarzłem na śmierć!

XI

Powód był oczywisty. Przy rozmiarach otworu źrenicy wynoszących trzydzieści centymetrów i długości ogniskowej około dwudziestu siedmiu, skupienie soczewek ocznych agenta Służby Utrzymania było krytycznym czynnikiem; przy otworze około pół milimetra, jaki stworzył odłamany przez niego kawałeczek gliny, stało się ono sprawą drugorzędną.

Bez trudu rozpoznał maszyny, znajdujące się blisko krawędzi jego nowego pola widzenia i zaczął pracować nad zasłoną lepiej umiejscowionego oka. Nie do końca mu się to udało, bo kawałek, który wreszcie udało mu się oderwać, był większy, a obraz odpowiednio mniej wyraźny, ale i tak skutek był wystarczająco dobry, aby mógł śledzić wizualnie poczynania urządzeń.

Nie wybierały się w podróż, jak już wydedukował. Co więcej, dołączyła do nich czwarta maszyna, dotychczas przez niego niezauważona. Wszystkie cztery osiadły na ziemi, tak że ich główne ramy przejęły ciężar normalnie przenoszony przez podpory, które wydawały się jedynie stabilizować ich z grubsza cylindryczne kształty w mniej lub bardziej pionowej pozycji. Różne sposoby, w jakie zostało to osiągnięte w różnych przypadkach, nie zaskoczyły agenta. Nie przyszło mu do głowy, aby spodziewać się, że jakiegokolwiek dwie maszyny będą dokładnie takie same, z wyjątkiem być może takich standardowych podzespołów, jak przekładniki. I oczywiście tak się szczęśliwie złożyło, że wszystkie nowe fakty miały miejsce jeden po drugim, umożliwiając mu dokładną ich analizę na bieżąco.

Górne podpory poruszały się raczej bez żadnego celu, ale nie zajęło mu wiele czasu, aby uznać, że ich główną funkcją była manipulowanie. Obiekty, którymi w tej chwili manipulowano, były w większości bezsensowne - najwyraźniej były to kamienie, kawałki metalu bez żadnej oczywistej funkcjonalności, zupełnie nierozpoznawalne rzeczy, które mogły być połączeniami jakichś nieznanych związków węgla, choć agent nie wiedział, jak to wykazać. Był jeden czy dwa wyjątki. Urządzenie, które wystrzeliło w jego kadrę kawałek metalu, było łatwe do rozpoznania, nawet jeśli nie obejrzał go w całości, w chwili, gdy zostało ono użyte.

Próbował zdecydować, które części maszyn funkcjonowały jako ich oczy i udało mu się je znaleźć. Nie było to trudne, ponieważ żadna inna ich część nie była w miarę przezroczysta. Odkrył, że wszystkie narządy wzroku są obecnie zwrócone w jego stronę, lecz nie dostrzegał w tym nic zaskakującego. Operatorzy musieli być zaznajomieni z resztą otoczenia i nie spodziewali się, że pojawi się w nim coś interesującego.

Wtedy podróżnik zauważył, że wszystkie cztery maszyny podnoszą się na swoje podpory. Gdy się temu przyglądał, zaczęły zbliżać się w jego stronę.

W tym samym czasie jedna z nich wysunęła członek manipulujący w stronę mniejszej konstrukcji, która niemal natychmiast okazała się kolejnym promiennikiem elektromagnetycznym. Został on natychmiast wykorzystany, szybko uniesiony do górnej części największej maszyny w pobliżu oczu, podczas gdy jeden z mniejszych wyrostków kończyny manipulacyjnej, która go trzymała, wcisnął przełącznik.

Uruchomiło to częstotliwość nośną, po opóźnieniu, które agent był w stanie zidentyfikować jako spowodowane powolnym rozrostem chmur jonowych w aktywnych elementach urządzenia - najwyraźniej były one wytwarzane poprzez ogrzewanie metalu - oraz niemożliwym do uniknięcia opóźnieniem operacji mechanicznych. Przekazniki w urządzeniu były niesamowicie ogromne. Ich działanie trwało całe milisekundy, a ponieważ ich komponenty składały się z wielokrystalicznych kawałków metalu, ich żywotność musiała być mocno ograniczona.

Najwyraźniej tubylcy nie posunęli się zbyt daleko jeśli chodzi o technologię metalu, nawet na tyle by w pełni wykorzystywać zapasy swej jedynej planety. Była to jednak kwestia poboczna. O wiele bardziej interesujące było odkrycie sposobu modulacji fali komunikacyjnej. Agent zauważył, że jest w stanie dostrzec, w jaki sposób jest ona przeprowadzana.

Otwór w maszynie, tuż poniżej oczu, otoczony niezwykle elastyczną substancją, której natury mógł się tylko domyślać, zaczął się otwierać i zamykać, przechodząc przez serię zmian kształtu. Odkrył, że wiele z tych zniekształceń można było skorelować ze sposobem modulacji sygnału elektromagnetycznego. Najwyraźniej otwór był częścią urządzenia do generowania wzorów fal ciśnieniowych w atmosferze.

Agent przypuszczał, że jakikolwiek plan został opracowywany przez odległych obserwatorów, musi on być właśnie wprowadzany w życie i zastanawiał się, co takiego maszyny zamierzają zrobić. Był oczywiście nieco zaskoczony, ponieważ nie spodziewał się tak dużego tempa rozwoju wydarzeń.

Potem zdziwił się jeszcze bardziej, ponieważ rozpoczęty na niego atak zatrzymał się tak nagle, jak się rozpoczął. Cokolwiek je do niego motywowało, albo ustało, albo wszystko to było częścią większej operacji, której ogólna natura wciąż była dla niego niejasna. Zdecydował, że lepiej będzie założyć to drugie.

Z drobiazgową uwagą obserwował wszystkie cztery maszyny. Stały one teraz w równowadze na swoich podporach. Nie przemieszczały się ani do przodu, ani do tyłu, a ich górne elementy poruszały się w typowy dla siebie, losowy sposób. Wszystkie oczy wciąż były skupione na jego statku.

Potem zauważył, że zespoły fal ciśnieniowych wszystkich czterech maszyn działały, chociaż trzy z nich nie posiadały żadnego nadajnika, którego sygnał mógłby być modulowany. Obserwował to z fascynacją. Czasami - w rzeczywistości zazwyczaj - tylko jedna z nich generowała fale. Kiedy indziej robiły to dwie, trzy lub wszystkie cztery. Nawet ta z

nadajnikiem nie zawsze miała włączony jego główny przełącznik. Zdecydowanie działo się coś dziwnego.

Agentowi już wcześniej przyszło do głowy, że impulsy sterujące tymi maszynami przenoszą fale atmosferyczne. Dlaczego jednak same maszyny miałyby je emitować? Dla tego rodzaju urządzeń powinny wystarczyć same odbiorniki. Wtedy przypomniał sobie inną ze swoich przelotnych myśli, która mogła posłużyć za wyjaśnienie. Być może one wszystkie miały tylko jednego operatora. W końcu, dlaczego by nie? Może lepiej myśleć o całej tej grupie, jako o jednej maszynie.

W takim przypadku fale ciśnieniowe, przemieszczające się między jej komponentami, mogłyby być sygnałami koordynacyjnymi. Po prostu mogło tak być. W każdym razie można było przeprowadzić pewne testy w tym kierunku. Bez względu na ograniczenia, jakie on i jego statek mogli mieć na tej planecie, przynajmniej był w stanie wytworzyć fale ciśnienia w jej atmosferze. Być może udałoby mu się przejąć prawdziwą kontrolę nad jednym lub kilkoma z tych jednostek. Już wcześniej miał taki pomysł, w odniesieniu do fal radiowych, ale nic z tego nie wyszło. Nie było jednak powodu, aby nie spróbować ponownie, z dźwiękiem. Nic nie mogło przewyższyć metody eksperymentalnej, jeśli była ona prowadzona z myślą o jednym, bardzo istotnym prawdopodobieństwie.

Logicznym wzorcem do wykorzystania byłby ten, który kilka chwil wcześniej został przez niego nadany do odległego obserwatora. Był on powiązany z dosyć prostą, określoną serią operacji, a on zarówno słyszał, jak i widział jego wytwarzanie. Spróbował więc go, wywołując ruchy kadłuba w złożonym wzorcu, który jego pamięć zarejestrowała kilka sekund wcześniej. Spróbował po raz kolejny.

— Ten stwór wyje jak syrena strażacka!

Podobnie jak w przypadku tego samego testu z falami radiowymi, nie było wątpliwości, że jakiś efekt został uzyskany, choć nie był to efekt, na który liczył agent. Wyrastki manipulacyjne wszystkich czterech maszyn, rzuciły wszystko co właśnie trzymały i wystrzeliły w stronę górnej części ich ciał. Gdy się tam znalazły, ich spłaszczone końcówki mocno docisnęły się do boków wieżyczek, na których zamontowane były oczy.

Przez chwilę żadna z nich nie wytwarzała własnych fal. Potem ta z nadajnikiem zaczęła go używać, przez bardzo długi czas. Agent zastanawiał się, czy tym razem spróbować odtworzyć cały wzór, którego użył, lecz zdecydował się tego nie robić. Było o wiele bardziej prawdopodobne, że jest to jakaś informacja, a nie sygnał sterujący. Postanowił poczekać i zobaczyć, czy nastąpią jakieś inne działania.

To, co potem miało miejsce, mogło być przewidziane nawet przez kogoś tak słabo zaznajomionego z ludzkością jak agent Służby Utrzymania. Maszyna z nadajnikiem zaczęła wytwarzać kolejne fale ciśnieniowe, obserwując przy tym statek. Agent niemal natychmiast zdał sobie sprawę, że kontroler również eksperymentuje. Żałował, że nie może odbierać tych fal bezpośrednio i zastanawiał się, w jaki sposób sprawić, by inny - lub inni - zrozumieli, że ich sygnały powinny być przesyłane ma falach elektromagnetycznych.

Prawdę mówiąc agent mógłby idealnie wykrywać fale dźwiękowe, gdyby przyszło mu do głowy aby wysunąć w powietrze jeden ze swoich receptorów sejsmicznych. Fala dźwiękowa co prawda niesie ze sobą tylko niewielkie ilości energii i jedynie nieznaczny jej procent przedostaje się z gazu do ciała stałego. Lecz przyrząd zdolny do wykrywania z odległości kilkunastu mil zaburzeń sejsmicznych wywołanych przez idącego człowieka, nie miałby problemów z kwestiami ilościowymi tych rozmiarów. Jednak agent nigdy nie wpadł na ten pomysł. A jednak niewielu nie zgodziłoby się, że i tak poradził on sobie bardzo dobrze.

Tak się złożyło, że odległy obserwator nie potrzebował żadnych wyjaśnień. Musiał dosyć szybko przypomnieć sobie, że wszystkie sygnały imitowane przez agenta zostały nadane drogą radiową i wyciągnąć z tego oczywisty wniosek. W każdym razie nadajnik został wkrótce ponownie uruchomiony. Sygnał nadawany był drogą radiową, a agent natychmiast powtarzał go za pomocą fal dźwiękowych.

Ponieważ agent Służby Utrzymania nie miał najmniejszego pojęcia o treści któregośkolwiek z tych sygnałów, nie było to zbyt pomocne w posunięciu spraw do przodu - ale tubylec miał i na to sposób. Maszyna podeszła do kadłuba statku i zeszkrobała glinę z jednego z jego oczu. To konkretne oko było najdogodniej zlokalizowane, ku irytacji agenta. Ale na szczęście nie było ono jedynym, przez które mógł widzieć co się dzieje.

Następnie rozpoczęto uporządkowaną próbę dostarczenia mu danych, które pozwoliłyby mu nadać znaczenie różnym grupom sygnałów. Kiedy już pojął znaczenie wskazywania, przez jakiś czas sprawy potoczyły się łatwo.

Wskazywali na skały, góry, słońce, siebie nawzajem - każde z nich miało przypisaną inną grupę sygnałów, potwierdzając wcześniejsze założenie agenta, że nie były to identyczne urządzenia. Ale wydawało się, że istnieje też ogólny termin, który obejmował je wszystkie.

Nie był do końca pewien, czy termin ten oznacza maszyny w ogóle, czy też może sugerować, że urządzenia obecne na miejscu były częścią jednego zespołu, jak podejrzewał wcześniej. Podczas gdy lekcje trwały, dwóch z nich powędrowało po dolinie w poszukiwaniu nowych obiektów, które mogliby mu pokazać. Jeden z tych obiektów okazał się iskrą zapłonową dla bardzo produktywnego kierunku myślenia.

Kształt tego obiektu, kiedy został przyniesiony i pokazany mu, był tak samo nie do opisanie, jak w przypadku wielu innych rzeczy, które mu pokazywali. Jego kolor był jasnozielony, lecz agent, postrzegając raczej szersze pasmo częstotliwości niż ludzkie oczy, nie widział go ani nie myślał o nim jako o obiekcie zielonym. Zawęził jego klasyfikację do znacznie dokładniejszego stopnia.

Nie znał chemicznej natury chlorofilu, ale od dawna kojarzył to szczególne widmo odbicia z fotosyntezą. Rzecz nie wydawała się zbyt sztywna. Jej bulwiaste przedłużenia zwisały po obu stronach punktu, w którym była podtrzymywana. Wypustka manipulująca, która ją trzymała, zdawała się lekko zapadać w jej substancję.

Nigdy wcześniej nie spotkał się z takim zjawiskiem, a określenie „mięsisty” nie kojarzyło mu się z żadnym symbolem. Jednak samo pojęcie

rozdźwiewało mu się w głowie, ponieważ maszyny stojące przed nim wydawały się być wykonane z materiału o dosyć podobnej fakturze. Była to osobliwość ich wyglądu, która niepokoiła go podświadomie, odkąd zobaczył je w ruchu. Teraz ta dręcząca go zagadka - podświadoma frustracja zawsze była czymś nieprzyjemnym - zniknęła z jego umysłu.

Powiązanie nie było do końca logiczne. Niewiele nowych idei ma ściśle logiczny związek z istniejącą wcześniej wiedzą. Wyobrażenia podąża często własnymi ścieżkami. Niemniej jednak istniało powiązanie i od chwili, gdy przyszła mu do głowy ta myśl, agent nigdy nie wątpił w to, że zasadniczo ma rację. Rdzenni mieszkańcy tej planety nie tylko używali aktywnych związków węgla jako paliwa dla swoich maszyn. Oni także konstruowali maszyny z tego samego rodzaju materiału!

W istniejących okolicznościach było to rozsądne posunięcie - o ile komuś się to udało. Reakcje takich wytworów chemicznych były bez wątpienia na tyle szybkie, że pozwalały na taką prędkość działania maszyn, jaka tylko była potrzebna - a przynajmniej by maszyny te mogły działać w na tyle dużym tempie, aby można nimi było sterować za pomocą rozważnych myśli. Rasa agenta już dawno temu poznała zagrożenia związane z maszynami zdolnymi do reagowania na przypadkowe, ulotne myśli, a obwody odbiorcze jego statku celowo były zdecydowanie mniej wrażliwe, niż mogłyby być.

Było oczywiste, dlaczego te urządzenia były sterowane na odległość, a nie przez swoich operatorów. W ich wnętrzu musiały zachodzić niebezpieczne reakcje. Agent uznał, że dobrze się stało, iż jego tymczasowy więzień jedynie obejrzał wnętrze statku, niczego nie dotykając, i postanowił więcej nie ryzykować.

W każdym razie nie powinno być już więcej potrzeby prowadzenia tego rodzaju eksperymentów. Lekcje języka były w toku. Zarejestrował niezłą kolekcję rzeczowników, kilka czasowników, które maszyny odegrały, a nawet jeden lub dwa przymiotniki. Zastanawiała go ogromna długość niektórych grup sygnałów i podejrzewał, że są to opisy, a nie pojedyncze podstawowe słowa.

Ale nawet ta teoria napotykała na pewne trudności. Sygnał, który najwyraźniej oznaczał same maszyny, i który logicznie rzecz biorąc powinien wymagać dosyć długiego i szczegółowego opisu, był w rzeczywistości jednym z najkrótszych - choć nawet on zajmował kilkaset milisekund. Agent zdecydował, że nie ma sensu próbować wydedukować zasad gramatyki. Będzie mógł komunikować się za pomocą zapamiętanych symboli i to musiało wystarczyć.

Oczywiście zestaw symboli, które można było zademonstrować na miejscu, nie był wystarczająco duży do wyjaśnienia natury zagrożenia dla Ziemi. Agent Służby Utrzymania już dawno zdecydował, co chce przekazać o tej sprawie i niecierpliwie czekał na zebranie wystarczającej liczby słów, która pozwoli mu to przekazać.

Stopniowo jednak stawało się oczywiste, że jeśli będzie polegał wyłącznie na przypadku, aby wprowadzić niezbędne pojęcia w zakres lekcji, długo będzie musiał na to czekać. Dla niego osobiście miało to niewielkie znaczenie. Ale kreto-roboty nie czekały na żadne instrukcje.

Wkopywały się coraz głębiej. Agent próbował wymyślić jakiś sposób na skierowanie lekcji w pożądanym kierunku.

Wymagało to od niego sporej dozy wyobraźni, choć dla człowieka jego finalne rozwiązanie wydałoby się oczywiste. Pomysł uczenia się języka był dla niego całkowicie obcą koncepcją i wciąż był zdumiony pomysłowością tubylców w wymyślaniu sposobów na nauczanie go. Minęło trochę czasu, zanim dotarło do niego, że pewne czynności równie dobrze wykonać może on, tak jak oni. Jeśli on na własną rękę nie podąży swoimi działaniami za pewnymi grupami sygnałów, ci tubylcy mogliby nie domyślić się, że są one mu potrzebne. Nadszedł czas na bardziej bezpośrednie i zuchwałe podejście do całego problemu, a sama myśl o tym, co zamierzał zrobić, podniosła go na duchu.

Zrobił to. Uniósł statek na kilka stóp w powietrze, osiadł z powrotem na ziemi, aby pokazać, że tak naprawdę nigdzie nie zamierza odlatywać, a następnie wzbił się ponownie. Czekał z niecierpliwością.

- Lot.
- W górę.
- Wznosić się.
- Lecieć.

Każda z obserwujących go maszyn wyemitowała inny sygnał, praktycznie jednocześnie. Trzy z nich były bardzo słabo słyszalne, ponieważ mówcy znajdowali się w pewnej odległości od radia. Był jednak w stanie skorelować każdy z nich z ruchem warg jego wytwórcy. Nie był zbyt zaniepokojony faktem, że użyto różnych sygnałów. Bardziej interesowały go dowody na to, że każda maszyna była kontrolowana przez inną osobę. Było to trochę mylące, biorąc pod uwagę jego wcześniejsze teorie. Trzymał się jednak z zawziętością samego problemu.

XII

Hal i Candace Parsonsowie oraz Truck MacLaurie siedzieli na względnie pozbawionym błota skrawku ziemi, w dogodnej odległości od obcego. Minęli już punkt wytrzymałości jeśli chodzi o swoją ogólną, przemoczoną w deszczu niedolę, a doświadczenia, przez które właśnie przeszedł Truck, zdeprymowały ich do tego stopnia, że rozpaczliwie potrzebowali odpoczynku.

Hal poddawał Trucka maglowi najwyższego stopnia. Starał się wyciągnąć z nienaukowego umysłu biednego sportowca konkretne informacje na temat dokładnej natury wnętrza obcego. Okazało się to trudne, a przy tym jego nerwy i tak nie były w najlepszym stanie.

— Niech to diabli! — wybuchnął, gdy po raz dwudziesty okazało się, że Truck nie ma pojęcia, dlaczego tak nagle pozwolono mu wyjść. — Możliwość stulecia, a musiał ją dostać jakiś tępak z ilorazem inteligencji siedemdziesiąt siedem, który nie potrafi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi!

— Odczep się od niego, kochanie — oznajmiła stanowczo Candace. — Truck nie jest tępakiem. Jego tylko nie interesują pewne rzeczy. Po prostu, nie jest naukowcem.

— Niech będzie, skoro tak mówisz. — Hal niepewnie przeczesał palcami mokre włosy. — Wybacz, Truck. To jest po prostu diabelnie frustrujące.

— Ktoś się zbliża — przerwał mu Truck, z dobroduszną wyrozumiałością, najwyraźniej niezrażony praniem mózgu, jakie właśnie przeszedł. — Popatrzcie tam.

Przez deszcz i mgłę zbliżała się do nich ubłocona, ciężko odziana ludzka sylwetka. Dostrzegłszy ich, pomachała.

Truck, wstał i ruszył po zboczu na spotkanie przybyszowi, podczas gdy Hal i Candace powoli zbierali się na nogi. Gdy podeszli bliżej, okazało się, że był to żołnierz, przemoczony, wyblocony i niosący przewieszoną przez jedno ramię kamerę filmową, a przez drugie coś, co wyglądało na scyntylometr. Truck szybko wziął od przybysza ciężką krótkofalówkę.

— Państwo Parsons? — powiedział żołnierz, podchodząc do nich. — Jestem generał Wallace Eades. To ja dosyć długo rozmawiałem z państwem z góry. W końcu zdecydowałem się sam zeskoczyć na spadochronie.

— Nawet pan nie wie, jak bardzo się cieszymy, że pana widzimy, panie generale — odparła Candace, zauważając dwie srebrne gwiazdki na kołnierzyku jego rozpiętej koszuli. — Po trzech dniach spędzonych z

naszym przyjacielem — tu skinęła głową w stronę beznamietnej, szaro-metalowej kuli — zaczynaliśmy już się zastanawiać, czy my sami jesteśmy ludźmi.

Generał Eades wpatrywał się w monstrualną kulę obcego swymi niebieskimi, niezwykle bystrzymi, młodzieńczymi i czujnymi oczyma, błyszczącymi w pomarszczonej twarzy, i przez chwilę stał pogrążony w milczących rozmyślaniach. Potem przyznał:

— Zaczynałem już myśleć, że to wszystko to jakaś fantasmagoria. Duży z niego facet, co?

Przez kilka kolejnych minut rozmawiał z Halem, pozwalając by geolog poinformował go o ostatnich wydarzeniach. Następnie zwrócił się do Trucka:

— Dla ciebie, młody człowieku, to całkiem niezłe doświadczenie. Jeśli wyjdziemy z tego w jednym kawałku, to za dziesięć dni będziesz już siedział w Hollywood.

— Trenerowi by się to nie spodobało — odparł futbolista. — A ja nie jestem Elvisem Presleyem.

Generał Eades odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Następnie odpiął kamerę filmową i powiedział:

— Wnioskuje, że nie robiliście państwo jeszcze żadnej dokumentacji fotograficznej obecnemu tu naszemu przyjacielowi. Nie wiem jak wy, ale ja nie chciałbym wylecieć ze służby. Wydawało mi się, że mówiliście państwo, iż ma tylko dwoje oczu. Czy to nie jest trzecie? Czy w nie też napchaliście błota?

— Niech mnie diabli! — zawołał Hal. On i Candace wymienili między sobą spojrzenia. Byli zdumieni, zaskoczeni i odrobinę wystraszeni. Zaciskając usta, Hal odparł generałowi: — On jest pełen niespodzianek. Jeśli pan tu zostanie, szybko się pan o tym przekona.

— Mam taki zamiar — powiedział generał Eades. — Pracuję nad tą sprawą już od pierwszego rozbłysku radaru - cztery dni temu. Od tamtej pory nie przespałem nawet dwóch godzin z rzędu. Nie macie państwo pojęcia, jakie zamieszanie wywołał nasz przyjaciel. Armia wysłała dziesięć tysięcy ludzi, którzy próbują przebić się przez dolinę, a dyplomaci i dziennikarze śpią na stołach bilardowych w Butte - o ile udało im się wykupić miejsce na którymś z nich.

Mówiąc to powoli obszedł monstrualną kulę, trzymając kamerę na wysokości oczu i filmując obcego ze wszystkich stron. Wracając, wziął krótkofalówkę od Trucka, który sumiennie jej pilnował.

— W drodze tutaj, z miejsca mojego zrzutu, rzuciłem okiem na rzeczy w państwa jeepie i przyczepie — powiedział generał Eades. — Musieliście wylać więcej niż odrobinę potu, kręcąc tą swoją baterią. Nie widziałem czegoś takiego od czasów drugiej wojny światowej.

— To było najlepsze, co mogła nam przekazać katedra uniwersytetu — odparł Hal, odrobinę defensywnie.

Taktownie wtrąciła się Candace:

— Bardzo się cieszymy, że pan tu przybył, panie generale. Byliśmy nie tylko przemoczeni, ale i stęsknieni nowych twarzy.

— Obawiam się, że moja nie jest tak do końca nowa — zażartował Eades. Potem, uruchamiając krótkofalówkę, stwierdził z rezygnacją. — Chyba lepiej będzie jeśli się zamelduję, zanim przyślą tu wielki desant i zginie wielu żołnierzy. Ta dolina jest pełna skał i wykrotów, a widoczność jest równa zeru.

— Co pan nie powie, panie generale! — odparł Truck.

Meldunek generała, przekazany przez radio, był długi, lecz zwięzły. Nie zdążył go jeszcze skończyć, gdy słuchowisko obcego, naśladującego jego głos, wywołało zakłócenia, które uniemożliwiły zrozumiałą łączność. Opuścił radio, popatrzył na pozostałych i skinął głową w stronę szarej metalowej kuli.

— Czy to jego sprawka? — spytał

— Zgadza się — odpowiedział Hal.

Niemal w chwili kiedy wypowiedział te słowa, do ich uszu dotarł nowy dźwięk - nie z radia, lecz rozchodzący się w powietrzu. Przekaz ryknął gromko, a potem zaczął nabierać głośności w rozdzierającym uszy crescendo, które sprawiło, że popatrzyli na siebie nawzajem, z przestraszeniem.

— Ten stwór wyje jak syrena strażacka! — zawołała Candace, przykładając dłonie do uszu. Pozostali poszli w jej ślady.

Trwało to przez kilka ogłuszających minut, które rozdarły na strzępy ich i tak już rozdygotane nerwy. Potem, wszystko równie nagle jak się zaczęło, ucichło i powoli opuścili ręce.

Candace zastanawiała się, czy bębny jej uszu nie uległy trwałemu uszkodzeniu. Widziała, jak Truck uderza się w bok głowy, jak niedoświadczony pływak, kiedy woda należy mu się do ucha.

Powiedział:

— Jeśli to jego naturalny głos, to tak sobie myślę, jak on brzmi, kiedy jest naprawdę wkurzony.

Hal i generał wymienili znaczące spojrzenia. Dopiero Eades przerwał wytęsknioną ciszę.

— Może on ma rację — powiedział. — Czy to pierwsza próba nawiązania łączności - nie licząc tej powtarzanki radiowej?

— Zgadza się — odparł Hal.

— To znaczące — stwierdził generał Eades. — Cholernie znaczące. Zastanawiam się... To trzecie oko mnie niepokoi. Myślicie państwo, że jemu też przeszkadza?

Podszedł do statku, nie zważając na sapnięcie Candace:

— Proszę uważać!

Delikatnie zeszkrobał błoto z soczewki. Nic się nie stało, ale dźwięk nie powrócił. Stwierdził, spoglądając na soczewkę:

— Powierzchnia wygląda na zbyt płaską, by mógł widzieć z bliska.

— Też tak myśleliśmy — odparł Hal. — Mimo to może widzieć, kiedy tylko chce.

Generał Eades obszedł kulę dookoła, przyjrzał się pozostałym dwóm oczom, zwrócił uwagę na miejsca, w których błoto się złuszczyło.

— Znałem kiedyś pewnego optometrystę — mruknął. — Możliwe, że błoto pomogło mu uzyskać lepszą ostrość widzenia, zakrywając większość soczewki.

— ...większość soczewki — rozległ się głos generała, choć jego usta się nie poruszyły.

Eades drgnął, popatrzył na pozostałych i natychmiast wskazał na jedno ze swoich oczu. Powiedział:

— Oko.

— Oko — odpowiedział mu głos obcego. Żadne z nich nie miało teraz już wątpliwości. Obcy najwyraźniej odkrył jakiś sposób bezpośredniego generowania fal głosowych.

Po kilku kolejnych testach generał wrócił do pozostałych, a jego niebieskie oczy płonęły podekscytowaniem.

— To jest to — powiedział im. — Nasz przyjaciel wydał z siebie ten skowyt, by dać nam znać, że ma do dyspozycji nowy sposób komunikacji.

Hal uciszył go gestem dłoni, i czekali z zapartym tchem. Ale obcy nie powtórzył swego przemówienia ani żadnej jego części. Geolog wysunął się do przodu, wskazał na siebie i powiedział:

— Człowiek.

— Człowiek — powtórzył obcy.

— On zrozumiał — powiedział Hal i głos niemal mu się załamał. — Słuchajmy! — Jego słowom nie towarzyszyła żadna pantomima, i obcy milczał.

— Niech mnie diabli! — oznajmił generał.

— Eureka! — zawołała Candace, wznosząc ręce ku niebu.

— Eureka! — odpowiedział głos z kuli.

— Ostrożnie, kochanie — przerwał jej Hal. — Właśnie dałaś naszemu przyjacielowi niezły wycisk. Nie gestykuluj, jeśli nie pokazujesz dokładnie tego, co masz na myśli.

Od tej chwili, w podnieceniu osiągnięciem przynajmniej podstawowego porozumienia ze stworzeniem z kosmosu, niewielka grupa ludzi na zboczu wzgórza zapomniała o deszczu i fizycznej niedoli. Zapomnieli też o czasie, ucząc obcego znaczenia nowych słów i znosząc mu przykłady różnych elementów wyposażenia oraz lokalnej flory, aby poszerzyć jego słownictwo.

Candace znalazła jakąś wynędzniałą roślinę, wytarła ją z błota i powiedziała:

— Zielona — ściskając łodygę i podnosząc ją do góry, by kosmita mógł ją zobaczyć.

— Zielona — padła odpowiedź. — Roślina - zielona.

— Zielona — powtórzyła Candace. — Zielona przez słońce. — Wskazała w niebo. — Zielona dzięki fotosyntezie.

— Roślina zielona dzięki fotosyntezie — padła oczekiwana odpowiedź. Potem: — Roślina, człowiek zielony - oboje fotosynteza.

— Dzięki Bogu! — zawołał generał Eades. — Jesteśmy na dobrej drodze!

Wtedy odezwał się Hal.

— Czy nie przyszło panu do głowy, panie generale, że nasz przyjaciel może mieć dla nas jakąś wiadomość? Jeśli tak, to może nam zająć cholernie dużo czasu, zanim prześlemy mu właściwe słowa.

Eades pogłaskał się po brodzie.

— Prawdopodobnie miał pan rację, wcześniej prosząc o filologów — oznajmił z niezadowoleniem. — W te klocki, jesteście bandą żółtodziobów.

Zapadła długa, przygnębiająca cisza. Wreszcie przerwała ją Candace, mówiąc odważnie:

— W każdym bądź razie, musimy iść dalej. Nasz przyjaciel może znajdzie na to własną odpowiedź.

— Wiele bym dał za jednego dobrego człowieka, na którego mógłbym liczyć, że dotrze tu żywy — zżymał się generał. — Połączę się z nimi.

Lecz zanim jeszcze zdążył uruchomić radio, spostrzegawczy Truck zawołał:

— Patrzcie! Hej, nie mówcie mi, że on teraz stąd odlatuje!

Wpatrywali się z przerażeniem i zupełną konsternacją, jak wielka, szara bryła obcego wzbija się pionowo w górę, ze swej kałuży błota, w znany już wszystkim oprócz generała sposób. Potem odetchnęli z ulgą. Obcy zawisł zaledwie kilka stóp nad ziemią, po czym osiadł, a następnie wzniósł się ponownie i zawisł nieruchomo.

— Próbuje nam coś zasygnalizować! — krzyknęła Candace, jej głos rozbrzmiewał podnieceniem. — Chce, żebyśmy dali mu znać, co robi.

— Lot! — krzyknął generał.

— W górę — powiedziała Candace.

— Wznosić się! — zawołał Hal Parsons.

— Lecieć! — krzyknął Truck MacLaurie.

Odezwali się niemal jednocześnie, lecz stwór z kosmosu wydawał się zdezorientowany. W ogóle nic nie odpowiedział.

XIII

Agent opadł z powrotem na ziemię i wrócił do swego zwykłego trybu działania. Tym razem odezwał się tylko osobnik z radiem. Słowo, którego użył, brzmiało „Wznosić się”. Było to inne słowo, niż to użyte przez niego poprzednim razem. Aby się upewnić, agent powtórzył czynność jeszcze raz, i otrzymał to samo słowo. Najwyraźniej, kiedy już podjęli decyzję, zamierzali się jej trzymać. Jaki z tego wniosek?

Następnie spróbował wkopać się w ziemię, co wydawało się przydatną czynnością, o której dobrze byłoby wspomnieć. Słowo nadane przez radio brzmiało „kopać”, choć dwie inne maszyny najwyraźniej znów miały inne pomysły.

Nie przyszło mu do głowy, że te stwory mogły wykrywać produkty uboczne jego kopania, albo jego celowe próby wytworzenia fal dźwiękowych. Czy też, że to jego wysiłki, aby uzyskać skupienie soczewki trzeciego oka, moment wcześniej, były tak naprawdę przyczyną ich nagłego zainteresowania jego statkiem w tamtej chwili. Obecnie był za bardzo zadowolony z siebie, aby dopuścić do głowy takie obce mu myśli.

Przejąwszy inicjatywę w kwestii nauki języka, skoncentrował się na słowach, których potrzebował, i w dość krótkim czasie poczuł pewność, że będzie w stanie przekazać słuchaczom podstawowe fakty dotyczące grożącego Ziemi niebezpieczeństwa. Pomimo wszystko w tę ideę zaangażowane były tylko cztery grupy sygnałów. Zadowolony, że ma je poprawnie zidentyfikowane, zaczął używać ich razem. Poczuł przypływ bardzo osobistej dumy z tych postępów.

— Człowiek kopać - góra wznosić się.

Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu nasłuchujące maszyny nie rozpoczęły na tę wiadomość szaleńczej aktywności. Przez chwilę miał nadzieję, że kontrolerzy zmienili sprzęt na bardziej odpowiedni do radzenia sobie z zagrożeniem, odstawiając jako nieaktywny ten, którego wcześniej używali. Szybko jednak zrezygnował tego nieco pobożnego życzenia. Maszyna z radiem znów zaczęła mówić.

— Człowiek kopać.

Pochyliła się i zaczęła spłaszczonymi końcami górnych podpór odsuwać na bok luźną ziemię.

Agent z pewnym przerażeniem zdał sobie sprawę, że jej operator musi przypuszczać, że po prostu kontynuują naukę języka. Powtórzył głośniej trzy sygnały, które tamten zdawał się ignorować.

— Góra wznosić się.

Wszystkie maszyny popatrzyły na wzgórze po drugiej stronie doliny, ale wydawało się, że nie wyniknie z tego nic konstruktywnego. Jeśli będą czekali, aż tamto wzgórze uniesie się do góry, to będzie za późno, by zrobić cokolwiek w celu poinformowania ich o robotach. Gorączkowo próbował wymyślić inne słowa, których się nauczył, lub kombinacje, które mogłyby mu pomóc. Jedna wydała mu się obiecująca.

— Złamać góra - złamać ziemia - złamać człowiek.

Użyty czasownik nie do końca pasował do tego, co miało się wydarzyć, zgodnie z jego wcześniejszą demonstracją, ale przynajmniej sugerował zniszczenie. Słuchacze odwrócili się z powrotem do statku, lecz nie dawali wyraźnych oznak zrozumienia.

Pomyślał o innej koncepcji, która mogłaby mieć zastosowanie, ale żadne związane z nią słowo nie pojawiło się jeszcze w lekcjach. Aby je zilustrować, skierował broń pokładową na kawałek ziemi w odległości stu metrów od dziobu. Dwudziestosekundowa ekspozycja na cienki promień potężnego ognia zamieniła grunt, w który on trafił, w dymiącą lawę.

Jeszcze zanim skończył, jeden z obserwatorów wypowiedział słowo „ogień”. Obserwator nie skomentował faktu, że rura wyrzucająca metalowe pociski przez większą część prezentacji, skierowana była na jego kadłub. Po prostu użył nowego słowa.

— Człowiek kopać - Ziemia ogień - góra ogień.

Jedna z maszyn uruchomiła rurę jonizacyjną i ostrożnie zbliżyła się do plamy stygnącego żużlu. Zawierał on niewielką ilość radioaktywności z wiązki, a jej wpływ na rurę wywołał wymianę wielu wzajemnych sygnałów między maszynami. Zakończyło się to długą transmisją radiową, która nie była skierowana do agenta. Następnie wznowiono lekcje języka, a tubylcy ponownie przejęli inicjatywę.

— Żelazo - miedź - ołów.

Próbki były pokazywane indywidualnie.

— Metal.

Wszystkie próbki były pokazywane razem.

— Stopić.

Zostało to zademonstrowane, gdy w końcu dali mu do zrozumienia, że ponownie powinna zostać użyta broń.

— Duży - mały.

Pary kamieni, kaktusów, monet i figurek, wydrapane na ziemi, zilustrowały ten kontrast.

Liczbę - bez trudności.

— Statek.

Okazało się to mylące, ponieważ agent przypuszczał, że każdy rodzaj maszyny obejmuje słowo „człowiek”.

W końcu możliwe stały się nieco pełniejsze zdania.

— Ogień-metal pod ziemią — spróbowali ludzie.

Agent powtórzył to stwierdzenie, pozostawiając ich w niepewności. Poświęcono parę chwil, w czasie których wyjaśnione zostały słowa „tak” i „nie”. Następnie ta sama fraza przyniosła odpowiedź „tak”.

— Człowiek kopać.

— Tak, człowiek kopać, góra stopiony, góra wznosić się.

— Gdzie?

To słowo zajęło kilka kolejnych chwil i zostało rozwiązane tylko dzięki pantomimie z udziałem wszystkich ludzi. Pojęcia „tu” i „tam” zostały załatwione dzięki tej samej prezentacji. Jednak wiedza o znaczeniu pytania nie ułatwiła agentowi odpowiedzi na nie.

Nie miał żadnych map planety i nie rozpoznałby żadnych map stworzonych przez ludzi, być może z wyjątkiem globusa, który nie stanowi standardowego wyposażenia małej ekspedycji terenowej.

Po dłuższym czasie ludziom udało się jednak przekazać mu pojęcie jednostki odległości i mógł użyć wiązki jonowej do wskazywania kierunku. W ten sposób starał się określić lokalizację kretów.

— Tam! Osiemdziesiąt jeden mil. Dwie mile w dół. — I w innym kierunku. — Tam! Pięćset dwanaście mil. Osiemnaście mil w dół. — Kontynuował to, przechodząc przez całą listę czterdziestu pięciu kretów, które wykrył i zlokalizował.

Zaciekle sporządzanie notatek, które towarzyszyło jego wyjaśnieniom, oczywiście nic dla niego nie znaczyło, choć prawidłowo wydedukował przeznaczenie kompasu magnetycznego, którego używała jedna ze słuchających maszyn. Zdawał sobie sprawę, że podawanie pozycji z dokładnością do jednej mili było żałośnie nieadekwatne, dla problemu faktycznego zlokalizowania kretów.

Ale bardziej precyzyjne wskazówki mógł podać później, gdy tubylcze maszyny zbliżą się do swoich celów. Mógł przyjść im z pomocą, jeśli nie mieli własnego sprzętu wykrywającego, który działałby na takim zasięgu. Agent nie był w stanie odgadnąć, jakie możliwości w tym zakresie może mieć inżynieria organiczna. W każdym razie tubylcy nie uważali, by potrzebna była większa precyzja. Nie prosili o nią.

W rzeczywistości nie wydawali się potrzebować niczego więcej. Spodziewał się, że spędzi dużo czasu na wyjaśnianiu aparatury niezbędnej do przechwytywania i dezorientowania kretów. Ale ten aspekt sprawy w ogóle nie niepokoił tubylców. Czemu, czemu? Przecież to powinno ich zaniepokoić.

Wbrew pozorom agent nie był głupi. O ile było mu wiadomo, żaden z jego rodaków nigdy nie stanął przed problemem komunikacji z inteligentnymi istotami spoza własnej rasy. Starał się podchodzić do tego jak do problemu naukowego. Nie było jego winą, że każde zjawisko, jakie napotkał, miało nieskończenie więcej możliwych wyjaśnień niż dawała to zwykła obserwacja naukowa i trudno było od niego oczekiwać, że odgadnie dlaczego.

Nawet w obecnej sytuacji, zdawał sobie sprawę, że nie można uznać za pewny fakt, iż tubylcy właściwie odczytali znaczenie jego sygnalizacji. Prawdę mówiąc wątpił, by tak było, mniej więcej w taki sam sposób i w takim samym stopniu, w jakim niektórzy fizycy z połowy XIX wieku wątpili w prawa grawitacji i zachowania energii. Postanowił kontynuować sprawdzanie tego tak długo, jak to możliwe, aby upewnić się, że wszystko w porządku.

Istoty ludzkie, częściowo w wyniku większego doświadczenia, częściowo z pewnych czysto ludzkich powodów, również uważały, że

sprawdzanie jest pożądane. Dzięki znacznie lepszemu miejscowemu zapleczu, jako pierwsi podjęli działania. Dla nich ognisty metal, gdy wspomina się o nim w połączeniu z pozytywnym wynikiem testu na radioaktywność, oznaczał tylko jeden rodzaj ognia.

„Człowiek kopać” nie do końca było takie pewne. Najwyraźniej nie mogli zdecydować, czy obca istota udziela informacji, czy porad - czy ktoś już kopie we wskazanych punktach, czy też powinni sami udać się tam, aby kopać. Większość skłaniała się ku temu drugiemu pogładowi.

Aby rozstrzygnąć tę kwestię, jeden z nich wziął saperkę, należącą do ich wyposażenia, i zaaranżował scenkę, która ostatecznie wyjaśniła różnicę między czasem trybem oznajmującym „kopie” - i rozkazującym „kop!”.

W czasie kiedy to się działo, agentowi przyszła do głowy kolejna myśl. Skoro te stworzenia używały różnych słów w odniesieniu do maszyn, które obserwował i tej, przy pomocy której latał, to być może „człowiek” nie było właściwym określeniem dla robotów-kretów, o których próbował im opowiedzieć. Zastanawiał się, jak mógłby to uogólnić. Pod koniec drugiego pokazu scenki wydawało mu się, że znalazł rozwiązanie.

- Człowiek kopie - statek kopie — powiedział.
- Kopie ogień metal?
- Człowiek kopie ogień metal - statek kopie ogień metal.
- Gdzie?

Ponownie przeszedł przez listę lokalizacji, choć trochę nie wiedział, do czego im jest to potrzebne, i pozwolono mu skończyć, ponieważ, choć tego nie wiedział, nikt nie potrafił wymyślić sposobu, jak mu powiedzieć, żeby przestał. Czuł się usatysfakcjonowany, gdy skończył - w umysłach jego słuchaczy nie mogło teraz być już żadnych wątpliwości.

Znowu ze sobą rozmawiali - powód był teraz dosyć oczywisty. Operatorzy musieli znajdować się w różnych miejscach, muszą więc komunikować się ze sobą za pośrednictwem swoich maszyn. Nie miał większych wątpliwości co do tego, co mówili, przynajmniej ogólnie rzecz biorąc.

Co wyglądało źle - ogólnie rzecz biorąc.

- To niejasne - piekielnie niejasne.
- Wiem, ale co innego może mieć na myśli?
- Może po prostu opowiada o naszych kopalniach i pyta, co z nich mamy, albo próbuje nam powiedzieć, że chce mieć niektóre z nich.
- Ale co może oznaczać „ogień metal” oprócz materiałów rozszczepialnych? Którą naszą kopalnię wskazał?
- Nie znam wszystkich wskazanych lokalizacji, ale pierwsza, o której wspomniał - ta najbliższa - z pewnością pasuje.
- Co?
- Osiemdziesiąt jeden mil, kierunek trzydzieści stopni magnetycznych. To tak blisko Anacondy, jak to tylko możliwe, chyba że ta mapa jest do kitu. Tam z pewnością są ludzie, którzy kopią!
- Ale nie dwie mile w dole!
- Będą, chyba że znajdziemy jakiś substytut miedzi.

— Nadal uważam, że to coś mówi nam o istotach własnego gatunku, które wydobywają nasze materiały rozszczepialne. Mogłyby to zrobić z łatwością, gdyby potrafiły kopać w taki sposób, jak ta istota. Jestem za tym, żeby przynajmniej połączyć się z nimi i dowiedzieć się, czy ktoś pomyślał o wywierceniu próbnych rdzeni pod poziomem kopalni i na jaką głębokość. Nie ma sensu kręcić się tu i szukać czegokolwiek innego. Znaleźliśmy naszą kulę ognia, dokładnie w tym miejscu.

Agent był tym zainteresowany, ale nie czuł już niepokoju, kiedy maszyny odwróciły się w jego stronę i ponownie podjęto bezpośrednią komunikację. Zaczynał czuć się coraz mniej spięty i był coraz bardziej pewien, że wszystko pójdzie dobrze, jeśli będzie trzymał się tego sposobu rozmowy.

— Osiemdziesiąt jeden mil w tamtą stronę. Ludzie kopią. Iść teraz.

Zilustrowali ostatnie słowa, odwracając się od jego statku i ruszając w odpowiednim kierunku. Agent nie mógł się tak do końca odprężyć, wciśnięty w przestrzeń zaprojektowaną dla niego na statku, ale poczuł odpowiednie emocje.

Zaczęli wykonywać przynajmniej pierwszy z niezbędnych kroków. Przypuszczalnie pozostałe i bardziej odległe w kolejności, zostaną podjęte, gdy tylko rozejdą się wieści. Te maszyny były bardzo powolne, ale ich impulsy sterujące najwyraźniej już nie.

Przyszło mu do głowy, że skoro nie pozostawiono na miejscu żadnego z urządzeń do komunikacji z nim, tubylcy mogli oczekiwać, iż pojawi się w miejscu najbliższej kopalni - tym, o którym wspomnieli. Im więcej o tym myślał, tym bardziej prawdopodobna wydawała się taka interpretacja ich ostatniej wiadomości. Tak więc, gdy ludzie ledwo zaczęli wracać do czekającego jeepa, agent Służby Utrzymania ze świstem powietrza poderwał swój statek w górę, kierując się na północny wschód.

XIV

To, że pojawienie się wielu różnych odpowiedzi zaintrygowało gwiazdnego podróżnika, stało się oczywiste, gdy tylko opadł on z powrotem na ziemię i przeszedł przez cały proces po raz drugi. Tym razem rozmowę z obcym przejął generał Eades, wykorzystując definicję podaną przez Hala Parsonsa – „Wznosić się”.

Najwyraźniej zmiana komunikatu ze słów jednego członka grupy na innego, zakłopotła kosmitę, ponieważ delikatnie wylądował. Następnie wzniósł się i ponownie zawisł w powietrzu, kilka stóp nad błotnistą ziemią. Generał powtórzył: „Wznosić się”, a po kilku sekundach nieruchomego unoszenia się obcy opadł z powrotem na ziemię i nie powtórzył przedstawienia po raz czwarty.

— Szkoda, że nasi techniczni eksperymentatorzy nie wymyślili takiej antygravitacji — stwierdził z żalem generał. — Z pewnością dałoby nam to niezłą przewagę nad Sami-Wiecie-Kim. Ciekawe, skąd on bierze tyle energii.

— Ja również tego żałuję — mruknął Truck MacLaurie. — Ależ byłaby z niego maszyna do ćwiczeń.

Candace zachichotała, a Hal tylko popatrzył na nią, a potem z rozpaczą na Trucka. Aby dodać mu otuchy, Candace powiedziała:

— Pomyśl tylko, kochanie, jakie postępy poczyniliśmy w ciągu ostatnich kilku godzin. Jeszcze parę chwil temu byliśmy kompletnie w lesie.

— Chciałbym mieć w sobie przekonanie, że to nas dokądkolwiek doprowadzi — odparł niezadowolony geolog. — Kiedy wyruszaliśmy na poszukiwania minerałów, nigdy bym nie przypuszczał, że natkniemy się na coś takiego.

Generał nakazał im milczenie, mówiąc:

— On wymyślił coś nowego. Boże! Spójrzcie tylko jak kopie!

Candace powiedziała:

— Zagrzebuje się! To wszystko. Czego się pan spodziewał?

Truck zawołał:

— On wkopuje się!

— Czy wy się w końcu zamkniecie! — rzucił niegrzecznie Hal, a generał Eades z niezadowoleniem powiódł po nich ponurym wzrokiem, z powodu powstania potencjalnie mylącej możliwości pojawienia się następnych wielu odpowiedzi. Z obcego wydobyło się kolejne wycie syreny. Nie było ono jednak ani tak długotrwałe, ani tak rozdzierające, jak wcześniejszy sygnał.

— Przepraszam, kochanie — szepnęła Candace, kiedy było już po wszystkim.

Szybko stało się oczywiste, że kierownictwo w prowadzeniu lekcji języka uległo odwróceniu. Najwyraźniej zdecydowawszy, że nauczył się wszystkiego, czego mógł się nauczyć z ludzkich demonstracji, przybysz sam zaczął demonstrować, mając nadzieję, że ludzie dostarczą mu definicji, których potrzebował.

— Oddałbym wszystkie swoje gwiazdki, żeby wiedzieć, co on próbuje nam przekazać — oznajmił cicho generał. — To musi być coś bardzo ważnego, skoro przybył aż z Bóg wie jakiej gwiazdy, żeby nam to przekazać.

Rozległo się kolejne warknięcie obcego, co cała czwórka ludzi odebrała jako prośbę o ciszę. Od tej chwili odwrotne nauczanie przebiegało już bez zakłóceń. Jedyna trudność polegała na tym, że słowa, których najwyraźniej szukał przybysz, nie miały większego sensu dla zebranych wokół niego obserwatorów.

— Człowiek kopać - góra wznosić się — zabrzmiała wiadomość.

Wpatrywali się w siebie, nic nie rozumiejąc. W końcu, wzruszając ramionami, generał pochylił się niezgrabnie, obciążony krótkofalówką, i zaczął wydrapywać palcami dziurę w błocie.

— Człowiek kopać — powtórzył Eades.

— Góra wznosić się.

W słowach obcego słysząc było nacisk, co spowodowało, że cała czwórka słuchaczy odwróciła się w stronę poszarpanych szczytów pasma gór, po drugiej stronie doliny, które w tej chwili było ledwo widoczne przez deszcz i mgłę. Nastąpiła dalsza dezorientacja, gdy wielki, szary glob wypowiedział dziwne słowa:

— Złamać góra - złamać ziemia - złamać człowiek.

Potem miała miejsce nagła, nieoczekiwana, przerażająca demonstracja w działaniu. Po raz drugi od momentu odkrycia, w lśniącej, zakrzywionej powierzchni obcego pojawił się otwór – tym razem mniejszy i groźniejszy od tego, który niemalże doprowadził Trucka do zguby.

Pojawiła się w nim lufa, która obróciła się w bok od obserwującej to grupy ludzi, i wystrzelił z niej błyskawiczny, oślepiający promień światła - lub ciepła. Uderzył on w błotniste zbocze wzgórza jakieś sto metrów dalej i z przerażającą, erupcyjną gwałtownością skrawek zamokłej ziemi zaczął bulgotać oraz zmieniać swój kolor, najpierw na czerwony, a potem na biały. Strużka płynnego, stopionego materiału skalnego spłynęła powoli w dół zbocza, a chmura białej pary uniosła się wysoko w powietrze. Ponownie pojawiło się uczucie niemożliwego do wytrzymania gorąca.

— Mój Boże! — wykrzyknął Hal Parsons z pobladłymi ustami. — On podpalił samą ziemię!

Chwycił strzelbę, którą wciąż miał przy sobie, wyciągnął ją z pokrowca i wycelował ją w otwór kadłuba, wpychając Candace za siebie.

— Odłóż tę zabawkę, Parsons — polecił generał z ponurym naciskiem. — To do niczego się nie przyda. Rozumiesz? Odłóż to.

Nieznosny promień ciepła zniknął, a otwór w kadłubie obcego zniknął tak nagle, jak się pojawił. Przybysz powiedział powoli:

— Człowiek kopać - Ziemia ogień - góra ogień.

— Weź scyntylometr — powiedział generał do Trucka. — Do tej roboty będzie o wiele lepszy od tego Geigera, z którego korzystałeś.

— Ja potrafię go obsługiwać — przerwał mu Hal. Wziął przyrząd i wyregulował go, po czym podszedł do szybko stygnącego, lecz wciąż na wpół roztopionego miejsca, które gorący promień zamienił w lawę. Odczyt był coraz silniejszy i szybszy, w miarę jak się do niego zbliżał. Odwróciwszy się do generała, powiedział: — Nie ma co do tego wątpliwości - jest bardzo gorąca.

— Muszę o tym zameldować — oznajmił krótko Eades. — On próbuje coś nam przekazać - i nie podoba mi się to. Może któryś z tych jajogłowych siedzących w Butte da nam jakąś wskazówkę.

Była to dłuższa transmisja, przekazywana przez radio helikoptera unoszącego się nad chmurami. Po jej zakończeniu generał rozłączył się z niesmakiem.

— Jak państwu się to podoba? — powiedział do nikogo w szczególności. — Te pustogłowe tępaki chcą, żebyśmy kontynuowali. — Zaklął, płynnie, sprawnie, a potem dodał do Candace: — Przepraszam panią — bez śladu zażenowania.

Zaproponowała:

— Może lepiej spróbujemy nazw minerałów.

Tak więc lekcja trwała dalej, aż częściowo wyjaśnili sobie pewne nieporozumienia dotyczące rozmaitych skał i metali, oraz natury maszyn. Wtedy padło niepokojące stwierdzenie:

— Tak, człowiek kopać, góra stopiony, góra wznosić się.

— Czy on chce nam powiedzieć, że „ludzie” umieszczają pod nami wulkany? — spytała z niedowierzaniem Candace.

— Próbuje nam powiedzieć, że ktoś lub coś to robi — odpowiedział ponuro jej mąż. — Zapytać go, gdzie, panie generale?

Doprowadziło to do żmudnej wymiany zdań na temat ustalenia pojęcia kierunku i jednostek odległości, po czym obcy zaczął przekazywać swoje informacje na temat lokalizacji jakichś strasznych rzeczy, które się wydarzą, jeśli jego ostrzeżenia zostaną zignorowane. W czasie gdy to miało miejsce, Parsons sporządzał notatki, starając się pisać czytelnie na uginającym się, wiotkim papierze. W końcu Candace, która kiedyś uczyła się stenografii, przejęła tę pracę.

Generał Eades odwrócił się do niej i powiedział:

— To chyba wszystko. Ma pani te miejsca?

— Wszystkie czterdzieści pięć, panie generale — potwierdziła Candace.

— Mam je panu odczytać?

— Jeszcze nie — powiedział Eades. — Chciałbym dokładniej wiedzieć, co on ma na myśli mówiąc o „ludziach” kopiących wulkany.

Wyniki nie były zadowalające, więc kosmita jeszcze raz przekazał całą listę. Następnie, w desperacji, generał ponownie skontaktował się z przełożonymi. Mówił długo, zdecydowanie i autorytatywnym tonem. Zakończył słowami:

— ... Nie ma sensu kręcić się tu i szukać czegokolwiek innego. Znaleźliśmy naszą kulę ognia, dokładnie w tym miejscu.

Przerwał i popatrzył badawczo na beznamietną powierzchnię obcego.

— Coś więcej? — spytał. — Coś jeszcze?

Głos, tak dziwnie ludzki, tak podobny do jego własnego w tonie i wymowie, odpowiedział:

— Osiemdziesiąt jeden mil w tamtą stronę. Ludzie kopią. Iść teraz.

— No dobrze — powiedział generał. — Tak brzmi wiadomość. I do obcego: — Osiemdziesiąt jeden mil w tamtą stronę. Ludzie kopać. Iść teraz. — Kiwnął na pozostałych, by poszli za nim i poprowadził ich przez deszcz w kierunku jeepa.

— Nie zamierza go pan chyba zostawić? — spytała z niedowierzaniem Candace.

— Żeby wydostać się z tej przeklętej doliny, możemy być potrzebni wszyscy — odparł Eades. — Jeśli to co powiedział jest prawdą - nieważne, jak bardzo zniekształconą - mamy do wykonania zadanie w Anacondzie. Według niego, to tam są najbliższe kłopoty. Do jutra dotrą tu pojazdy terenowe z ekipą, która przeprowadzi odpowiednie badania. Pełne naukowców... — A potem dodał, z przepraszającym spojrzeniem: — Przepraszam, państwa, miałem na myśli specjalistów. Państwo świetnie się spisali.

— To absolutnie w porządku, panie generale — stwierdził Truck charakterystycznie dla siebie swobodnie przeciągając zdania.

Pozostali się roześmiali.

Candace powiedziała:

— To pewnie głupio zabrzmiało, ale będzie mi brakowało naszego kulistego przyjaciela. On był...

— Nie on... to — zauważył Parsons. — Dlaczego musisz nadawać mu płęć?

— Zapomnijcie państwo o sprawach płci — powiedział im generał, maskując uśmiech. — My będziemy mieli jedno przyjemne zadanie - żeby się stąd wydostać.

Candace obejrzała się, przebijając się wzrokiem przez mgłę, deszcz i ciemność nadchodzącego zmierzchu i nagle wydała z siebie okrzyk przerażenia.

— Patrzcie! — zawołała, chwytając za najbliższe ramię, które akurat należało do generała. — On odlatuje!

Wszyscy obserwowali, z mieszanymi uczuciami, jak obcy wzbił się pionowo ze swojego łoża na zboczu wzgórza i zawisł na chwilę na poziomie szczytu góry. Potem nagle skręcił, szybko skierował się na północ i zniknął.

— No cóż — stwierdził Truck. — Do widzenia.

I to wydawało się podsumowywać całą sprawę. Zanim dojechali jeepem do połowy przełęczy, deszcz ustał i na zachodnim niebie pojawiła się złota poświata.

W tej samej chwili, gdy wzbił się ponad dolinę, agent Służby Utrzymania ponownie wychwycił wiązki radarowe - wiązki, które go zaskoczyły, kiedy po raz pierwszy zbliżył się do tej dziwnej planety. Podobnie jak przy wcześniejszej okazji, wystarczyło kilka milisekund, aby skupiła się na nim znacznie większa ich liczba.

Najwyraźniej podczas tej podróży był obserwowany. Jednak nie spodziewał się już, że wiązki te będą stanowiły nośnik dla inteligentnej mowy. Mimochodem zanotował punkty początkowe ich emisji. Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy nie byłoby warto zbadać je później, ale był raczej pewien, że nie będzie takiej potrzeby. Całą uwagę skupił więc na swoim celu.

W czasie lotu z oczu odpadły mu skorupy z gliny i znów mógł widzieć jedynie na duże odległości. Zbliżając się do wyznaczonego miejsca, dostrzegł rozległe, tarasowe wyrobiska wielkiej kopalni miedzi, lecz nie potrafił dokładnie określić natury poruszających się w nich obiektów. I tak nie uważał wzroku za szczególnie przydatny i wygodny zmysł, więc wylądował na ziemi pół mili od krawędzi zagłębienia, wwiercił się w ziemię jak poprzednio, i zaczął badać otoczenie za pomocą detektorów sejsmicznych i zmysłów elektrycznych.

Oczywiście, wiedział już o istnieniu tej wielkiej dziury. Z tego miejsca do jego pierwotnego punktu lądowania docierała znaczna fala aktywności sejsmicznej, co umożliwiło mu dosyć dokładną dedukcję odnośnie jej kształtu. Teraz jednak zdał sobie sprawę - i to po raz pierwszy - z ogromu faktycznie prowadzonych tu prac. Znajdowało się tu wiele maszyn widzianego już wcześniej przez niego typu, nie były więc one dla niego specjalnym zaskoczeniem. Ale było też wiele innych i fakt, że większość z nich zbudowana była z metalu, mocno go zaskoczył.

Występowała tu duża aktywność elektryczna i początkowo miał nadzieję, że odnajdzie w końcu prawdziwego tubylca. Jednakże nadzieje te szybko się rozwiały, gdy odkrył, że w aktywności tej nie ma niczego, co wskazywałoby na istnienie wzorców myślowych. Niektóre maszyny były napędzane magnetycznie. Inne najwyraźniej używały regularnych impulsów elektrycznych do inicjacji reakcji chemicznych, zapewniających im główne źródło energii.

Naprawdę zaskakującym faktem była głębokość dołu. Gdyby prace tutaj rozpoczęły się w chwili otrzymania jego informacji, nędzne, przestępcze roboty powinny zostać schwytane bez najmniejszego trudu.

Według standardów jego percepcji, upłynęło trochę czasu, zanim w jego umyśle pojawił się nieco bardziej prawdziwy obraz sytuacji.

Kopanie dołu wcale nie rozpoczęło się ostatnio. Postęp kopiących był fantastycznie powolny. Niezdarne metalowe czerpaki podnosiły kilka ton materiału na raz i umieszczały go w ruchomych pojemnikach, które szybko go wywoziły. Fragmenty ściany szybu były okresowo wyrzucane w powietrze przez rozszerzające się chmury zjonizowanego gazu, najwyraźniej powstałe na drodze chemicznej. Wstrząsy wywołane przez te chmury były ewidentnie przyczyną większości wstrząsów, które wyczuwał z tego źródła, kiedy przebywał jeszcze osiemdziesiąt mil stąd.

Dopiero analiza elektryczna wreszcie dostarczyła mu szeregu zaskakujących, niewiarygodnych faktów. To była kopalnia miedzi – wydobywająca rudę o wiele gorszej jakości, niż jakakolwiek ruda, na wykorzystanie której mogliby sobie pozwolić jego rodacy. Rasa ta z pewnością z jakiegoś powodu ograniczona była do swej rodzimej planety i zmuszona była pozyskiwać coraz uboższą rudę, aby utrzymać cywilizację.

Rozwój maszyn organicznych pozwolił im na chwilowe odsunięcie w czasie problemu stoczenia się w barbarzyństwo i ostatecznego wyginięcia, lecz z pewnością nie mógł ocalić ich przed tym na zawsze. Dlaczego na galaktykę, nie używali organicznych robotów do bezpośredniego kopania, jak to widział podczas lekcji języka? Można by pomyśleć, że dla ludzi przywiązanych do jednej planety, metale powinny być zbyt cenne, aby nawet żelazo marnować na nieporęczne, niezdarne urządzenia, takie jak te, które pracują tutaj!

Nawet zakładając, że maszyny, które pierwotnie widział, a które wydawały się najlichniesze, nie były idealnie zaprojektowane do prac wydobywczych, z pewnością dałoby się stworzyć lepsze. Rasie, która potrafiła robić to, co ta rasa zrobiła ze związkami węgla, nie mogło brakować pomysłowości – czy też, mówiąc bardziej precyzyjnie, twórczego geniuszu.

Stopniowo, bardzo powoli, zrozumiał, dlaczego oni tego nie zrobili i dlaczego jego misja była daremna. Zrozumiał, dlaczego ci ludzie skazani byli na zagładę, nawet gdyby krety w ogóle nie zostały uruchomione. Podczas rozmowy zauważył coś istotnego, ale przeoczył zdumiewające implikacje tego zagadnienia. Związki organiczne były zbyt miękkie. Wyginały się, wiotczały i poddawały się wszelkiego rodzaju zewnętrznym wpływom mechanicznym. Kiedy już o tym pomyślał, zdziwił się, że widziane przez niego wcześniej maszyny, tak dobrze zachowywały swój kształt. Bez wątplenia musiały one posiadać jakąś konstrukcję nośną, być może częściowo metalową, chociaż jej nie zaobserwował.

Lecz tego rodzaju maszyny nigdy nie zdołałyby przebić się przez skałę. Kopać mogli jedynie za pomocą metalowych środków pomocniczych – prostych, takich jak te używane do zilustrowania mu odpowiedniego czasownika, lub bardziej rozbudowanych i złożonych, takich jak te wykorzystywane tutaj.

Ta rasa skazana była na zagładę, na długo przedtem, zanim kłusownicy zbliżyli się do ich planety. Stworzenia te potrzebowały metalu, jak każda cywilizacja. Były uwiązane do swojej planety, lecz nie mogły się

po niej poruszać, gdyż nawet jedna osoba na tysiąc nie miała możliwości podróżowania przy użyciu maszyn, tak jak to było w przypadku rasy agenta. Silników organicznych nie można było używać jako pojazdów. Nie można było ich w ten sposób wykorzystywać, ponieważ ich zasadniczy charakter, czyli konstrukcja chemiczna, czynił je delikatnymi.

Ci ludzie wpadli w swoiste błędne koło, wykorzystując swój metal do wydobywania większej ilości metalu, oszczędzając go w niewielkim stopniu na budowę maszyn elektrycznych i innego wyposażenia niezbędnego dla funkcjonowania cywilizacji, mając z każdą chwilą coraz mniej zapasów i z każdą chwilą zużywając coraz więcej, aby je zdobyć. Pomysł, że mogliby przetrwać, do czasu gdy naturalne procesy działania planety nie odnowią jej zasobów, był absurdalny.

Krótko mówiąc, było to dokładnie takie samo tragiczne koło, jakiego rasa agenta z trudem unikała, tysiąclecie po tysiącleciu, poprzez swoje złożone harmonogramy dostaw przy pomocy frachtowców, które rozprawdzały metale z każdej planety po kolei wśród tysięcy innych, a następnie albo czekały, aż natura odnowi ich zasoby lub „łaskotali” niezdatne do zamieszkania światy, tak jak kłusownicy zrobili to na tym.

Metale pozwalały utrzymywać maszyny w działaniu. Maszyny dostarczały żywność ogromnej większości osób, które nie mogły podróżować, w jej poszukiwaniu. Jedna przerwa w harmonogramie transportu mogła zgłodzić tuzin planet. W najlepszym razie był to bardzo kruchy system i żaden członek jego rasy nie lubił myśleć - a tym bardziej spotykać się - z przypadkami w których zawodził.

Narastający dyskomfort agenta, kiedy rozważał sprawę Ziemi, był naturalny i nieunikniony. Rasa ta była w sytuacji, w jakiej mogłaby być jego rasa, setki milionów lat wcześniej, gdyby nie wynaleziono środków do podróży kosmicznych. Prawdopodobnie wyginie ona, zanim roboty kłusowników zaczną działać, co niewątpliwie należało uznać za miłosierdzie.

Agent nie był w stanie im pomóc. Nawet gdyby problem komunikacyjny został rozwiązany, jeszcze przez niezliczone tysiąclecia nie dałoby się wprowadzić ich do sieci transportowej cywilizacji. Nie, byli naprawdę zgubieni – rasa skazana na wyginięcie. Niezbędna reorganizacja byłaby przerażająca w swojej złożoności, nawet dla niego. Nauczenie ich zasad budowy i używania wyposażenia jego statku byłoby całkowicie bezsensowne, ponieważ miało ono w pełni metalowy charakter i znaleźliby się w jeszcze gorszej sytuacji niż w przypadku urządzeń organicznych.

Już w obecnej chwili, prawdopodobnie za pomocą środków chemicznych, oczyszczali rudy wydajniej niż jego rodacy, więc nie mógł im w tym pomóc. Nie, było niemal pewne, że kiedy skorupa planety zacznie falować w wyniku nagromadzenia się pod nią gigantycznych batolitów, kiedy z otworów wentylacyjnych rozsianych po całej planecie wyleją się rzeki lawy, nie będzie już nikogo, kto musiałby stawić temu czoła.

W pewnym sensie to była dobra wiadomość. Agent aż nazbyt wyraźnie wyobrażał sobie trudną sytuację istoty, której bliski przyjaciel, znajdujący się zaledwie kilka mil dalej, zostawał pochłonięty przez lawę, i istota ta musiałaby potem spędzić wiele godzin, a nawet lat w niepewności,

zastanawiając się, kiedy jej własny teren zostanie zalany – i wreszcie dowiadywałyby się tego i czekała.

To było najgorsze. Jeśli chodzi o świadomość tego co się wydarzy, było mnóstwo sygnałów ostrzegawczych. Od minut wcześniej do lat i tysiącleci, jeśli ktoś naprawdę potrafił liczyć. Wiadomo więc było co się stanie i gdyby się miało maszynę mobilną, można by się usunąć lawie z drogi. Nawet te maszyny organiczne poruszały się na tyle szybko, aby to zrobić. Ale tylko maszyny mogły pozwolić istocie zejść z drogi rzece lawy - a do tego czasu nie będzie tutaj już żadnych maszyn.

Każdą cząstką swego istnienia pragnął, aby nigdy nie odkryć kłusowników, nigdy nie widzieć na oczy tej nieszczęsnej planety ani nie słyszeć o jej rasie. Nic dobrego z tego nie wynikło - a w każdym razie bardzo niewiele. Trzeba przyznać, że wkrótce będą tu nowe złoża metali wyniesione przez przepływy magmy, przetransportowane przez prądy konwekcyjne w znajdującym się pod skorupą płynie naprężeniowym, który tworzył większość masy tej planety.

Kłusownicy wrócą po nie, a on przynajmniej mógł pozbawić ich tej zdobyczy. Prześle raport w stronę serca galaktyki, upewniając się, że nie będzie on możliwy do odebrania z kierunku, w którym udali się oni. Wtedy znajdą się frachtowce, które będą mogły ich uprzedzić.

W pewnym sensie, co za ironia. Gdyby ktokolwiek z tej rasy przetrwał zamieszanie, które przywróci planecie złoża metali, miałoby ono zbawienny charakter zarówno dla jego gatunku, jak i cywilizacji. Najprawdopodobniej jednak jedynymi świadkami całego wydarzenia będzie tylko kilku na wpół zagłodzonych, otępiałych barbarzyńców, którzy może zastanowią się mgliście przez chwilę, co się dzieje, zanim trzęsienia ziemi na zawsze nie roztrząskają ich ciał.

Nic go tu nie trzymało, a to miejsce było odpychające. Coraz więcej organicznych robotów zbliżało się do jego pozycji, ale on nie chciał już z nimi rozmawiać. Chciał zapomnieć o tej planecie, wymazać ją na zawsze ze swej pamięci.

Z nagłą determinacją odepchnął ziemię od kadłuba statku, w postaci chmury wznoszącego się pyłu, skierował tępy dziób statku w niebo i włączył napęd. Powstrzymał się tylko na tyle, aby utrzymać temperaturę kadłuba w bezpiecznych granicach, dopóki jeszcze był w atmosferze.

Następnie, mając przed oczyma baterię detektorów, zawrócił na trajektorię swej orbity patrolowej i zaczął przyspieszać, oddalając się od Układu Słonecznego. Nieświadom rozgrywających się za nim wydarzeń, nawet nie wyczuł przelotu metalowych maszyn o skośnych skrzydłach, które przemknęły tuż koło niego, gdy był jeszcze w atmosferze, ułamek sekundy po tym, jak oderwał się od ziemi.

Tak samo nie zauważył dodatkowej wiązki radarowej, która uczepiła się jego kadłuba, podczas gdy emitująca ją maszyna pędziła po niebie, obliczając kurs przechwytyjący. Szkoda, bo znajdujące się w tej maszynie

przełączniki spowodowałyby, że poczułby się jak w domu, a jej mechanizm napędowy dałby mu jeszcze więcej do myślenia.

Mógłby poczuć jej detonację, gdyż jego prześladowca przenosił głowicę nuklearną. Jednak wbudowany w ścigającą go maszynę mózg zdał sobie sprawę równie szybko, jak sam agent, że w granicach jego parametrów, żadne przechwycenie nie było możliwe. Poddał się więc, odciął paliwo i wykręcił z powrotem w stronę stacji startowej. Nawet stopy aluminium w kadłubie rakiety bardzo zainteresowałyby agenta, ale on próbował myśleć już o wszystkim innym, a nie o Ziemi, jej mieszkańcach i ich przerażającej technologii.

Jego orbita patrolowa przeniesie go z powrotem w te okolice za jakieś pół miliona lat. Frachtowce powinny być tu wcześniej.

Zastanawiał się, czy będzie w stanie zmusić się do spojrzenia na martwy świat.

Generał udzielił Parsonom wyjaśnień kilka tygodni później, na uniwersytecie. Powiedział:

— Musiał się diabelnie śpieszyć. Jedyne, co zrobił, to przekazał nam ostrzeżenie, rzucił szybkie spojrzenie na Anacondę i odleciał. Obrona przeciwlotnicza wysłała raketę nuklearną, aby go przechwycić, ale dzięki Bogu, uniknął jej w samą porę! Zapewniam, że po tym faulu potoczyło się mnóstwo głów. Banda idiotów z palcem na spuście!

Candace, wyglądająca wyjątkowo uroczo w nowej, leciutko niebieskawej, lnianej sukience, która niemal w cudowny sposób dopełniała zarówno jej figurę, jak i urodę, powiedziała:

— Ja też się cieszę. Z tego, co udało mi się dowiedzieć, musiało to mieć coś wspólnego z jego intuicyjną czujnością. Być może myślał, że ta planeta wybuchnie lada moment.

— Ha! — rzucił generał Eades. — Zlokalizowaliśmy już dziewięć z tych przeklętych podziemnych świrdrów, o których nam powiedział. Przy tempie, w jakim one się poruszają, nasi potomkowie za pięćdziesiąt pokoleń sami będą już od dawna w kosmosie, zanim wydarzy się coś katastrofalnego. Do tego czasu wykryjemy i rozbroimy całą tę grupę.

Przerwał, ponownie zachichotał i dodał:

— Najbardziej niesamowite jest to, że dwadzieścia siedem tych przeklętych potworów wykonuje swoją robotę pod ziemią krajów za żelazną kurtyną.

Hal Parsons stwierdził w zamyśleniu.

— Czytałem niektóre reakcje na czołówkach gazet, generale. Czy to wszystko nie pozbawi pana pracy?

— Nie w najbliższym czasie — odparł Eades. — Prawdę mówiąc, to mam taką nadzieję. Żaden odpowiedzialny żołnierz nie pragnie wojny - nigdy. Przez nie nasze mundury za bardzo się brudzą.

— Nadal żałuję, że nie wiem, jak wywołał ten deszcz — powiedziała Candace. — Do innych moich obowiązków dodałam meteorologię, mając nadzieję, że dotrę do sedna sprawy.

— Pewnie chciał się wykąpać — zażartował Eades. W zamyśleniu zaciągnął się cygarem i dodał: — Dobrze słyszeć, że dzięki tej całej sprawie otrzymał pan tytuł pełnego profesora, panie Parsons, i że tak samo na dobrej drodze do niego jest pani Parsons. — Dotknął nowej, jasnej, dodatkowej gwiazdki na swoim kołnierzyku, po czym zapytał: — Co się stało z tym dużym, przystojnym chłopakiem, którego mieliście ze sobą? Myślałam, że do tego czasu na pewno będzie już w Hollywood.

— Och, biedny Truck — odparła Candace. — Był już gotów do wyjazdu. Najpierw jednak chciał zagrać w meczu powitalnym. Złamał nos i w tej chwili szefowie filmowi nie są nim zupełnie zainteresowani. Wydaje się jednak, że mu to zupełnie nie przeszkadza. Dobrze sobie radzi z jedną z tych uroczych, rudowłosych studentek na kampusie.

— Miło mi to słyszeć — roześmiał się generał. Przerwał, marszcząc brwi. — Wiecie państwo, to zabawne, ale odkąd ten przeklęty metalowy potwór wyleciał z naszego życia, czuję się, jakbym stracił przyjaciela.

— Czuję dokładnie to samo — stwierdził Hal.

— Myślę, że wszyscy tak uważamy — zauważyła Candace. Jako kobieta była o wiele za mądra, żeby dodać: „A nie mówiłam”.

KONIEC